PAŹ ZŁOTOWŁOSY.

TOM I.

PAŹ ZŁOTOWŁOSY,

czyli

WIECZORY SUŁTANA.

Przez

AUTORA LISTOPADA.

TOM I.

LWÓW, 1858.

NAKŁAD I DRUK E. WINIARZA.

Przedmowa.

Może się wyda komu, że pozwoliłem sobie wystawić w tém dziełku obrazy niektóre zanadto wolne. Na to nic innego nie odpowiem, tylko to co powiedział jeden filozof francuzki z końca XVIII stulecia: że tylko zepsucie razić się może wystawieniem rzetelném zepsucia. Jest to rzecz tak prawdziwa, że im więcéj obyczaje narodu się każą, tém więcéj jego mowa staje się skromniejszą. Są niektóre wyrazy w naszym języku, co je nasi przodkowie obojéj płci nietylko bez wstrętu powtarzali, ale nawet można je wyczytywać w nabożnych książkach ich czasów, a dziś już ich wymawiać nie można przy świadkach, bez popadnienia pod zarzut bezczelności. A jednak któż nie przyzna, że nasze obyczaje od tego czasu wiele się zniżyły?

W płodach literatury można być nieskażonym w wystawieniu obrazów, a przecie być gorszącym pisarzem. Bokacy i Ariost nikogo nie zepsuli, chociaż wolność ich pędzla przechodzi wszelkie granice. Tego powiedzieć nie można o panu Miszele, o Heglu, którzy w pismach swoich wystawiali rzeczy z wzorową przyzwoitością, a jednak wiele nieszczęśliwych ofiar zarazili jadem niemoralności. Bo nawet złe czynności, nie są tyle niebezpieczne dla ludzkości, ile rozprzestrzenienie śmierciodajnych zasad.

Na zarzut wolności mego pióra, jestem obojętnym, byle mi nie zarzucano niemoralności w duchu mojego utworu. Zdaje mi się albowiem, że z nięgo możnaby owszem wydobyć naukę moralną, potrzebną, jakkolwiek często powtarzaną: że ani rozkosze, ani wziętość, ani bogactwa tego znikomego świata szczęścia nie zapewniają, i że wszystko to co karmi pychę, upaja zmysły, i przywabia uwielbienia trzody dwunożnéj, jest tylko ułudą, zbiorem przypadłości, a nie rzeczywistem i przezsięstojném jestestwem.

Drugi zarzut często mi czyniony, a nierównie boleśniejszy, jest, że zbieram wzory z żyjących, i że wystawiam w moich pismach osoby między nami bytujące. Jednak nie wiem czy mam się smucić z takowego zarzutu, czy zań podziękować, bo każda figura wymarzona w mózgownicy pisarza, jeżeli nosi w sobie trochę prawdy, musi być do kogoś podobna; jeżeli nikogo nie przypomina, tém samém musi być fałszywą,

jakimś potworem, ale z tąd nie wypływa żeby autor miał kogoś na celu. Cała tajemnica, że umiał dobrze, czyli właściwie myślić, a więc koniecznie jego fantastyczne osoby muszą być podobne do rzeczywistych. Takowego zarzutu powieściopisarzom tuzinkowym i jednookim — rozumié się powieściopisarzom obyczajowości współczesnéj, uczynić nie można. A dla czego? Oto dla tego, że ich osoby są to jasełka, ruszające się za pomocą sznurków, ale życia prawdziwego nie mają; jakże mogą przypominać osoby żyjące? Dla tego samego u tych belletrystów, nawet popularnych, u téj ślepéj publiczności spostrzedz nie możemy dialogu, bo jakże ma być dialog, tam gdzie ciągle sam autor mówi przez usta to jednego, to drugiego automata? Ale niech-no prawdziwy powieściopisarz, jak Chodźko, Grabowski, Kaczkowski ogłosi swój utwór, wszystkie osoby które występują na scenę zaraz witam jak dawnych znajomych, a przecie są między niemi tacy, którzy umarli nim Kaczkowski się urodził; dowód oczywisty, że z nich nie zdejmował wzoru.

Zresztą, powieściopisarstwo nie tylko obyczajowe, ale nawet historyczne, wedle mojego zdania już się wyczerpało, albo przynajmniéj jest tego blizkie. I na tém, opieram moje przekonanie, że już i piérwsze i drugie uformowało jakieś mizerne a płodne szkolarstwo, koléj w którą wpada każda forma literatury, skoro już jest zużytą; a więc potrzeba szukać nowych form, inaczéj

publiczność nasza zaskorupieje w chińskiéj głupocie. Coraz nudniejsze elukubracye wychodzą z pod prass. Grabowski i Chodźko, zawsze trzeźwi w płodności, coraz mniéj się wypisują. Nawet pierwszy, jak się zdaje, opuścił zawód który mu natchnął Stanicę Hulaj-polską, Tajkury, i jeden z najpiękniejszych utworów naszéj literatury: Stepy Ukraińskie. A jakkolwiek zasób Kaczkowskiego jest trudniejszym do wyczerpania, niż dzisiejszych bezbarwnych koryfeuszów naszéj publiczności, nie można taić że jego nowsze rzeczy, acz zawsze pełne zalet, przecie są niższe od niektórych jego tworów poprzedniczych.

W tém przekonaniu, że nam potrzeba innych, świeższych form, bo ta już zaczyna wydawać poronione płody, które tylko warszawskim czasowym pisarzom podobać się mogą, rzuciłem się na inną drogę, na któréj zdaje mi się jeszcze jakiś czas pochodzić można; tą jest: powieściopisarstwo fantastyczne, i ogłaszam mojego **Pazia,** czyli **Wieczory Sułtana.** Jak tylko spostrzegę że i ta forma już zbabiała, będę szukał innéj, ale do dawnych nie wrócę, bo wtedy wszyscy za mną im powiedzą: requiescat in pace.

Ogłaszam to pismo nie w Warszawie, ale we Lwowie; i winienem się wyspowiadać że w tém byłem powodowany może próżnością. Ale każdy ma swoje słabości, a ja niestety więcéj od innych. Nie umiałem się oprzeć chętce być ogłoszonym w części dawnéj

I.

— „Nudzę się!“ rzekł Sułtan Damaszku do otaczających go Emirów.

— „Niech Pan nasz przejedzie się konno,“ odezwał się Wezyr.

— „Odkąd moja ulubiona Gazeli, co ją otrzymałem w darze od wielkiego Padyszacha, padła podemną, jeszcze bok mój nie może przyjść do siebie. Nie prędko pozwolę sobie téj rozrywki.“

— „Niech Pan nasz,“ przemówił Kislar Aga, „rozkaże swoim niewolnicom tańczyć w haremie. Między tylu nadobnemi dziewicami, znajdzie się zapewne taka, która go zdoła rozerwać.“

— „Moje niewolnice mnie obrzydły. Jedne a jedne twarze, jedne poruszenia; każda z nich, co powiedziała wczora, powtórzy i dziś, powtórzy i jutro. Najpiękniejszą z moich Odalisk obdarzę tego, który mnie zdoła zabawić.“

— „Niech Pan nasz,“ dorzucił Seraskier, „stojąc na ganku, rozrzuci kilka worów pieniędzy na motłoch, a między niemi kilkanaście nożów. Motłoch

rzuci się na pieniądze, poczém wydzierając jeden od drugiego, zaczną się kłuć nożami, a krwawa bitka tych nikczemników rozweseli jego wielkie serce."

— „Wy wszyscy, chociaż i bez nożów, ciągle siebie kolécie w przytomności mojéj, a przecie to mnie nie wiele bawi. Wymyślcie coś lepszego, bo tego żąda wasz Pan."

— „Panie nasz," na to Reis Effendi, „jest kilkaset złoczyńców w więzieniu; niech nasz Pan pozwoli, żeby im wszystkim głowy pościnano pod zamkiem pałacu. Wszak krew winowajców rozwesela Boga, i serca sprawiedliwych."

— „Jakto! chcesz żeby odźwierni więzienia, niemając kogo pilnować, darmo mój chléb jedli? i żeby naród, patrząc na puste więzienia, zaczął myśleć że te gmachy są niepotrzebne? Czy zastanowiłeś się, Reis Effendi, nad radą którą mi dać się odważyłeś?"

— „Święte słowa twoje o Panie," odezwał się powtórnie Wezyr. „Więzienia nigdy niepowinny być próżne, tak jak bułat wojownika musi być zawsze w użyciu, żeby niezardzewiał. Niech nowi więźniowie przybędą, dopiéro wtedy można będzie koniec zrobić ze staremi."

— „Nie źle się odezwałeś Wezyrze, ale przed wszystkiém trzeba mnie rozerwać, na to was, panowie rada zebrałem, a dotąd żaden z was nic rozumnego nieobmyślił."

— „A gdyby" przeciągnął Wezyr, „Pan nasz,

jak to jest w obyczaju rządcy prawowiernych, rozkazał sobie bajki mówić?“

— „Mój Wezyrze, widzę żeś się zestarzał, kiedy mnie do tak dziecinnéj zabawy nakłaniasz. Odkąd panuję nad wami, samych tylko bajek słuchać muszę; ale wy wszyscy, urzędowi i nieurzędowi bajacze, już od dawna takeście się wypróżnili, że nic nowego nie umiécie powiedzieć. Wymyśl coś lepszego, Wezyrze, jeżeli pragniesz bym wierzył, że twoja głowa się nie przeżyła, i że jesteś do mnie przywiązany.“

Wezyr zaczął sobie brodę drapać, co u niego było oznaką głębokiego rozmyślania, i sam nie wiedział z czém ma się odezwać, kiedy jeden młody dworak, jeszcze nieposiadający żadnego urzędu, ale który z wielkim strachem panów rady im się wnęcał do względów Sułtana, zabrał głos uśmiechając się.

Był to Hanul, syn niegdyś Teftedara państwa. Był z niego człowiek wielkiego dowcipu, i niepospolity mistrz w nauce życia. W dziewietnastym roku wieku swojego odziedziczył ogromne dostatki swojego ojca, i wziął się do trwonienia tych dostatków z większą nierównie skwapliwością, niżeli jego ojciec do ich uzbierania, nie bez krzywdy Sułtana i jego poddanych. Tak dalece, że kiedy po trzech czy cztérech latach, umocowany Sułtana przybiegł do młodego marnotrawcy z rachunkiem w ręku, a z trwogą na czole, by mu objawić, że jego passivum i activum są tak dobrze jak zrównoważone, Hanul parsknął śmiéchem

i wykrzyknął tryjumfalnie: a więc restytucyja źle nabytego majątku już się dopełniła! niech będzie błogosławiony Allach i jego Prorok! Pokąd były dostatki, warto było ich używać, a że już ich nie stało, trzeba pomyśleć o ich nabyciu.

I zaczął bywać u dworu, dotąd przez niego zaniedbanego, pokąd fortuna mu się uśmiechała. Sułtanowi, Panu swojemu, miał szczęście się podobać, tak dalece, że chociaż ten jeszcze nic dla niego nie zrobił, przecież mógł czekać cierpliwie skutków jego łaski, żyjąc po dawnemu. Bo na odgłos że Sułtan przywyka rozmawiać z nim poufale, komu był dłużny, taki o zwrot długu się nie upominał, a od kogo żądał pożyczki, ten mu nie śmiał odmawiać. A tak, trzymając się wielkiéj klamki, o nic się nie troszczył.

„Najjaśniejszy Sułtanie, a Panie nasz niezwyciężony, — rzekł Hanul,— bajarzom koncepta muszą się przebrać, a wreszcie bajka jest zawsze tylko bajką. Ale ja mam niewolnika z Lechistanu. Mój nieboszczyk ojciec kupił go od jednego korsarza z Algieru, w tym samym roku kiedy mnie osierocił. On prawdę będzie mówił miłościwemu Panu, bo przygody swojego żywota będzie opowiadał, a przecie te przygody są tak dziwne, że można by je wcisnąć między temi powieściami, którémi mądra Szeherazada umiała tak zajmować wielkiego Szachriara, jéj dostojnego małżonka.“

„Zważ Hanulu“ wyrzekł poważnie, cedząc każdy wyraz jeden po drugim, Reis Effendi „że twój nie-

wolnik, będąc z Lechistanu, musi być Nazarejczykiem. Czy można go przypuścić do takiéj poufałości z prawowiernym Sułtanem, by aż mu opowiadał swoje życie? i to jeszcze wtedy, kiedy pod mądrem panowaniem tego wielkiego naszego pana Islam tak zakwitnął w całym państwie Damaszku, że już ołtarze wszystkich niewiernych są powywracane. W prawie, cośmy ogłosili, stoi wyraźnie, że żaden Nazarejczyk do najmniejszego urzędu nie ma prawa dostąpić, a możeż być świetniejszy urząd, jak mieć ku sobie zwrócone ucho Najjaśniejszego Pana?“

„Siwą masz brodę, a brwi czarne“ ofuknął go Sułtan, „to też widać żeś więcéj szczękami niż głową pracował. Że Hanul dla mnie obmyślił zabawę, już i zawiść w tym starym niewolniku wzbudził! Przyprowadź swojego niewolnika, Hanulu; a jeżeli mnie rozerwie swojém opowiadaniem, przez brodę Mahometa, tego żałować nie będzie!“

Hanul padł czołem pod stopy Sułtana, powstał, wyszedł, i po niedługim czasie powrócił z swoim niewolnikiem. Ten padł o ziemię, i na niéj leżąc, a głowy nie podnosząc, czekał rozkazów Sułtana.

„Powstań, Nazarejczyku“ przemówił Sułtan łagodnie. „Wypadki twojego żywota mają być ciekawe; opowiedz je przedemną, a sowita nagroda ciebie nie ominie. A ty Reis Effendi, że się gorszysz wszelkim stosunkiem z Nazarejczykami, odejdź; bez ciebie będziemy jego słuchali.“

Sułtan usiadł na miękkiéj sofie, dworzanie w półkole na ziemi, a niewolnik Nazarejczyk, stojąc między niemi, tak zaczął:

— „Urodziłem się szlachcicem w Lechistanie.“

— „Co to znaczy szlachcic?“ zapytał Sułtan.

— „Jest to coś nakształt Sułtana. Sułtanowi jeden tylko koran jest prawem obowiązującém, a szlachcic jest tylko honorowi posłusznym, bo honor jest jego koranem.“

— „Bagatela!... a wiele takich Sułtanów u siebie macie?“

— „Mnóstwo, Najjaśniejszy Panie. Ile mrówek w kilkunastu mrowiskach, ile gwiazd na niebie, tyle jest szlachty w Lechistanie. Jeden ma tysiące poddanych, drugi seciny; są tacy co mają ich kilkadziesiąt, kilkanaście, a wszyscy uważają siebie za równych między sobą.“

— „A twój ojciec wiele też miał poddanych?“

— „Ani jednego. A chociaż był Sułtanem, równym wszystkim innym, że był ubogim Sułtanem, niemającym własnego chleba, więc musiał jeść chléb cudzy, służąc bogatym Sułtanom.“

— „Czy ty oszalał, Nazarejczyku, myśląc że podobnym baśniom uwierzę? Jak to? twój ojciec był Sułtanem bez poddanych i siebie oddawał w służebnictwo? piękny to Sułtan, którego nikt nié słucha, a dla kęsa chleba zostać musi niewolnikiem!“

— „Nie Najjaśniejszy Panie, on nie zostaje nie-

wolnikiem, i ani chwili nie przestaje być równym tego któremu służy.“

—„Niewolniku, ty coraz głębiéj zabijasz klin w moją głowę. Cały naród złożony z samych Sułtanów?... Żałuję żem kazał odejść Reis Effendemu. On by to mnie jakoś wytłómaczył; wszak ja mu za to płacę, żebym wiedział co się dzieje w obcych państwach.“

—„To coś na bajkę zakrawa“ wtrącił Wezyr.

—„Mniejsza z tém“ odparł Sułtan. „Postępuj Nazarejczyku. Cóż ci się stało w ojczyźnie twojéj, w narodzie samych Sułtanów?“

—„Ojciec mój miał zasługi w domu jednego z najmożniejszych Sułtanów Lechistanu; oddał mnie do jego dworu na pazia (tak u nas nazywają Ikoglanów). Miałem lat siedmnaście, dziewczęta mówiły o mnie żem piękny i gładki, mężowie sędziwi znajdowali mnie dowcipnym. Moje złote włosy spadały mnie w pierścienie, aż do pacierzowéj kości. Grałem dobrze na lutni, śpiéwałem najnowsze piosenki, a nawet do nich z głowy dobiérałem nóty. Tak, że wkrótce pan Wojewoda, mój Pan, nad wszystkich swoich sług mnie sobie upodobał, i powierzył mnie straż swoich sokołów. Pan Wojewoda był wdowcem, posiadał obszerne włości, tłumy niezliczone niewolników, psów, koni; miał skarby nieprzebrane w swoim zamku, który tak był obronnym, że jak podniosą most zwodowy, nikogo w nim się nie boi. A nad wszelkie skarby, miał córkę, Ga-

lindę, jednym rokiem odemnie młodszą, na którą wszystkie jego dostatki kiedyś spaść miały.

Można wyobrazić sobie, ile to Sułtanowiczów starało się ją dostać. Ale Wojewoda nie miał czego się spieszyć z wydaniem córki, raz, że była młodą, powtóre, że dla niéj pragnął coś najosobliwszego; tak wysoko ją cenił, i było co cenić. Galinda była tak piękną, że nie było jéj równéj w całkowitym Lechistanie, chociaż ta ziemia obfituje w prześliczne niewiasty, jak raj Mahometa. Bo to wzrost słuszny, kibić jak u łani, płeć jak muszla perłowa, usta świéże kwiaty Gulistanu, oczy w których się mieściło niebo z wszelkiemi jego skarbami, rączka pulchna jak pierś łabędzia, a nóżka tak zgrabna, że można było zazdrościć ziemi, po któréj stąpała, a szyja, plecy...

—„Daj pokój tym wszystkim szczegółom, Nazarejczyku“ przerwał Sułtan. „One dla mnie nie są żadną nowością. Moi nadworni poeci mówią to samo o każdéj kobiécie, która im da jakiś upominek. Żeby ich androny były zdolne mnie zabawić, po nich a nie po ciebie bym posłał. Mów co kto robił, a nie jak wyglądał.“

—„Najjaśniejszy Panie! trudno nie puścić się przynajmniéj pamięcią z przedmiotem, który kiedyś serce zniewolił, i swój obraz wyrył w sercu tak głęboko, że dotąd nie zupełnie się zatarł.“

—„Dość tego, Nazarejczyku! Pod łaską moją przykazuję tobie, żebyś mnie do saméj rzeczy prowadził,

a nie wodził mnie po jakichś wydrożach. Nic ci nie braknie, jak rzucić się w opisanie krajobrazów, na które patrzałeś, i pleść o mruczących strumykach, o wyniosłych palmach, o ponurych cedrach, o poryku trzód, o harmonijno-melancholicznym śpiéwie słowików, o bladém i zadumanie pobudzającém świetle księżyca, jak tym nie przestają uszów piłować nasi pisarze i wiérszem i prozą. Niech cię Bóg strzeże, Nazarejczyku! od ich naśladowania!"

—„Było nas ośmiu paziów; między nimi byłem najmłodszy, ale najwyżéj stanąłem w łasce Wojewody, który mnie dał nazwisko złotowłosego, i nie inaczéj odtąd mnie mianował."

—„A czy wszyscy, jak ich nazywasz, paziowie, byli jak ty, synami Sułtanów?"

—„Wszyscy, Najjaśniejszy Panie."

—„Jednak to jest rzecz dziwna, nie prawda Wezyrze!... No, i cóż Nazarejczyku?"

—„Piękna Galinda z swoim kobiécym dworem, zajmowała jednę basztę zamkową. Miała przy sobie ochmistrzynię sprowadzoną z Frankistanu, a któréj Wojewoda zupełnie był zaufał. Była to kobiéta w wieku, prosto się trzymająca, i wiele wymagająca, bo jéj we wszystkiém dogadzano. Ona swoją dostojną uczennicę doskonale wyuczyła tego wszystkiego, na czém się opiéra u nas wychowanie dziewicy wysokiego rodu; a przez to stara Frankistanka coraz większe względy zaskarbiała sobie u Wojewody.

Do baszty zamieszkałéj przez Galindę, żadnemu mężczyznie, oprócz nadwornego kapelana nie wolno było przystąpić. Ale Wojewodzianka miała do usług swoich mnóstwo niewolnic, a nawet zacnych szlachcianek. Codziennie z ochmistrzynią i swojemi pokojówkami przychodziła do kaplicy zamkowéj, często przechadzała się po wałach, a na porę obiadową stawiła się przed ojcem na pokojach, gdzie gości przyjmował. Po kilkakrotnie na dzień, my paziowie mogli napawać się jéj obliczem, zwłaszcza usługując do stołu.

W niewinności mojéj, nie umiałem wytłómaczyć sobie, co znaczą te wzruszenia wewnętrzne, jakie jéj widok sprawiał na mnie. Dla czego, kiedy do mnie przemówi swoim srebrzystym głosem, serce moje bije gwałtownie? Dla czego, oczy utkwiwszy w okna jéj baszty, często godzinę i więcéj stałem nieruchomy? Dla czego, ile razy jaki Wojewodzic, siedząc obok niéj za stołem, zdawał się ją zajmować swoją rozmową, coś nakształt zimnego żelaza na wskróś mnie przeszywało, że nieraz farfurka z rąk moich padała na ziemię, i rozbijała się z łoskotem o marmur podłogi? Moje usługi zdawały się jéj być przyjemniejsze, niżeli innych paziów. Ile razy z ojcem wyjeżdżała na łowy, z mojéj tylko ręki przyjmowała sokoła. Ja jeden umiałem jéj podawać strzemię, mnie jednego z pomiędzy wszystkich rada była słuchać śpiéwającego przy nierozdzielnéj odemnie lutni.

Galinda grywała na arfie, a jéj śpiéwanie było

pełne wdzięku, aczkolwiek głos jéj nie zupełnie był wyrobiony. Ale, że miała nadzwyczajnie rozwinięty zmysł muzykalny, a mój kunszt miał szczęście się jéj podobać, uprosiła u ojca, który jéj nic nie odmawiał, żebym codzień przychodził do niéj z moją lutnią przed południem, ażeby się wprawiała do muzyki i śpiéwu. Ja jeden więc byłem świeckim mężczyzną, który otrzymał przywiléj dostąpić do komnaty Galindy. Ach, Najjaśniejszy Panie, godzina obok niéj przepędzona, była chwilką tylko, ale jaką chwilką!... Ona przy arfie siedziała, a ja obok niéj z lutnią. Twarze nasze były do siebie zbliżone; upajałem się jéj wonnym oddechem. Głosy nasze mieszały się z sobą w tchnieniu wspólném. Jéj piersi, rozżarzone zapałem boskiego kunsztu, podnosiły się jak fale rozhukanego morza, a te drogie skarby, na pół obnażone, w części przynajmniéj odkrywały się przed moim spragnionym wzrokiem. Całe moje jestestwo wynurzało się w moim śpiéwie. To co wtedy doświadczałem, tego wypowiedzieć nie zdołam, ani w mojéj mocy dobrać wyrazów, któreby mnie uczyniły zrozumianym.“

— „Ale rozumiem bardzo dobrze, czego się tobie zachciwało! I my nasze córki każemy uczyć śpiéwu, tylko, że na nauczycielów dajemy trzebieńców. Z czego podwójny zysk: po piérwsze, że u nich głos wyższy niżeli u was, a tém samém, więcéj zbliżony do białogłowskiego; powtóre, że oni podobnych roztargnień nie doświadczają. A w co byśmy się obrócili,

gdyby podobne ptaki swobodnie wchodziły do naszych kobiét, niby dla uczenia ich śpiéwu?... Czy uważasz Wezyrze, co to się dzieje u tych niewiernych! Sułtan posyła swojego Ikoglana do komnaty swojéj córki, żeby z nią śpiéwał! I nie domyślał się, co z tego wyniknąć mogło! Nie wiem do jakiego stopnia wy jesteście przenikliwi, ale co do mnie, już widzę, jakby na dłoni, jakie będzie tego wszystkiego rozwiązanie. Mów daléj, niewolniku."

— „Ochmistrzyni nas z oczów nie spuszczała."

— „A przecie!"

— „Ona siedząc z robotą na przeciwko nas, często się uśmiechała, patrząc na mnie, zwłaszcza kiedy utopiony w Galindy wdziękach zmylałem śpiéw. Wtedy i Galinda odzywała się wesoło. Co się z tobą stało, paziu złotowłosy, że ciągłe robisz omyłki? Prawdziwie tego nie rozumiém, mój paziu!"

— „Ba! niby tego nie rozumié, ale ja to dobrze rozumiem" przerwał Sułtan. „Słucham."

— „Najjaśniejszy Panie, dopiéro poznałem, że ją kocham szalenie, a zdarcie zasłony z téj tajemnicy, rozpacz wznieciło w mojém sercu, i postrachem je przeszyło."

— „Dla czego? ona była Sułtańską córką, ty byłeś Sułtańskim synem. Dopiéro powiedziałeś, że byłeś równy swojemu Panu. Zamiast oddania siebie bojaźni i rozpaczy, czemu nie udałeś się do ojca z prośbą, by ci swoją córkę oddał za żonę?"

— „Gdzież mnie ubogiemu Sułtanowiczowi można było z tym się odezwać! Mój pan był jednym z dwunastu Wojewodów, co z naszym Padyszachem rządzą całkowitym Lechistanem. Żebym się odważył prosić go o rękę córki, niezawodnie kazał by mnie powiesić na wałach swojego zamku.“

— „Tego już nie rozumiem! Jak widzę między wami osobliwsza równość. Ja nikogo nie mam równego sobie, a wszystkie moje siostry porozdawałem przecież między moimi poddanymi. A u was Pan powiada swojemu słudze, że go ma za równego sobie, a kiedy ten prosi go o córkę, za to każe go powiesić! Czy uważasz, Wezyrze, co to za dziwne obyczaje w tym Lechistanie? Jeżeli tak jest u was, niewolniku, to twój Wojewoda musiał być wielkim głupcem. Bo jeżeli nie wolno było sługom podnieść oczów na jego córkę, czemuż jéj po naszemu nie zamykał?... Postępuj w opowiadaniu swojém, niewolniku, bo co raz w wyższą ciekawość mnie wprowadzasz.“

— „Przez kilka księżyców, Najjaśniejszy Panie, codziennie całą godzinę z nią prześpiewałem, a kiedym odchodził, po odbytéj nauce, miała w zwyczaju, na znak zadowolnienia, podawać mnie swoją białą rączkę.

— „Co raz lepiéj!“

— „Zaledwo śmiałem przybliżyć usta moje do téj rączki; aż razu jednego, nie wiem co się stało ze mną, ale kiedy mi podała rękę, wpadłem w jakieś

zachwycenie, które mnie odjęło wszelką przytomność. Obecność ochmistrzyni, różnica położenia towarzyskiego, wszystko zniknęło przedemną. Ukląkłem przed nią, kilkakrotnie jéj rękę do ust przycisnąłem, a łzy obfite puściły się z mych powiek."

— „A ona co na to?" przerwał Sułtan z pośpiechem.

— „Ona wyrwała rękę z rąk moich, spojrzała na mnie z zadziwieniem, i skinieniem ręki dała mi znak, żebym odszedł."

— „Otóż nowa zagadka!" rzekł Sułtan.

— „Nazajutrz, na próżno czekałem, by o zwykłéj godzinie mnie do niéj przywołano, nikt nie przyszedł. Dzień minął, znowu na próżno oczekiwałem niewolnicy, która po mnie przychodziła. Nakoniec sam ośmieliłem się pójść do białogłowskiéj baszty; ale giermek od straży mnie nie puścił, i wręcz mnie powiedział, że Wojewodzianka dała rozkaz, żeby po dawnemu żaden mężczyzna nie ważył się wnijść do jéj baszty. — Wróciłem do mojéj izby, włosy rwałem na głowie z rozpaczy, tarzałem się po podłodze gorzkie łzy wylewając; słowem jednêm: byłem szalony. Przyszła pora obiadowa mojego Pana. Wolał bym siedzieć w samotności z moim smutkiem; ale cóż? służba wolność traci. Trzeba było z innymi paziami służyć do stołu. Podawałem jak zwykle talerze Galindzie, ona jak zwykle łagodném spojrzeniem okazywała, że wdzięcznie przyjmuje moje usługi. Tydzień po tygo-

dniu upływał, a przystęp do jéj komnaty ciągle był dla mnie wzbroniony. Przeciwnościami moja miłość jeszcze gwałtowniéj się rozzarzała. Ale czyż może być większe udręczenie, niż miłość bez nadziei? Smutek wewnętrzny rozlał się na mojéj powierzchni, zacząłem więdnąć jak skoszona trawa; wybladłem, zżółkłem, a paź złotowłosy już nie zawiści dworzan, ale ich politowania wkrótce został przedmiotem.

Na większe jeszcze moje nieszczęście, zaczął bywać w zamku i zalecać się Galindzie, Wiesław ze Skrzynny, syn jednego z dwunastu Wojewodów, kolegów mojego Pana, a rodzony synowiec Prymasa, to jest wielkiego Muftego całego Lechistanu. Mój Pan dla niego był wylany, i było widać dość wyraźnie, że niczego tyle nie pragnął, jak go mieć za zięcia, ile że był związanym najściślejszą przyjaźnią i z jego ojcem i z jego stryjem. Zresztą Wiesław miał to wszystko co zniewolić może serce najwznioślejszéj dziewicy. Nadzieja najpiérwszych w kraju dostojeństw, warowne zamki, sioła napełnione niewolnikami, krew połączona z krwią monarchów, do tego uroda prawdziwie bohaterska, i sława głośna po szerokim świecie. Na wszystkich turniejach, na których się znajdywał, zawsze jakąś nagrodę otrzymał, a tak był obojętny dla płci pięknéj, że tych nagród waleczności nie złożył u nóg żadnéj kobiéty. Kiedy Król Lechistanu wyprawiał poczet szlachty do Palestyny pod dowództwem Jaxy, Księcia Serbskiego, czyniąc w tém zadość woli

Césarza Rzymskiego, Wiesław świéżo pasowany na rycerza, towarzyszył mu na téj wyprawie, i tylu wawrzynami się ozdobił, że Książę Jaxa ofiarował mu swoją córkę. Ale Wiesław tak był nieczułym dla wdzięków niewieścich, że podziękował Księciu, oświadczając, że ma zamiar wstąpić do zakonu rycerzów Dobrzyńskich, by w nim ślubować czystość, i żyć tylko dla Boga i sławy. Galindy jednak wdzięki zdołały roztopić lody jego serca.

Wiesław ciągle bawił w naszym zamku, gdzie hojnością swoją tak dalece wszystkich sług zobowiązał, że każdy o niczém nie mówił i nie myślał, tylko o szczęściu jakie na nas wszystkich spadnie, skoro po najdłuższém życiu Wojewody, on jako jego zięć zostanie właścicielem zamku i spadkobiercą jego dóbr. Każda pochwała jego osoby tém więcéj rozdzierała moją duszę, że nie mogłem taić przed sobą, że była zasłużoną. Galinda upajała się ciągle jego rozmową. Usługując jéj do stołu, nie raz przysłuchiwałem się tym ich rozmowom, jak on przy niéj siedząc opisywał bitwy, w których się znajdował; jak pod Nazaretem miał szczęście ocalić życie Césarzowi Rudobrodemu, za co z rąk jego otrzymał ten łańcuch złoty, co go zawsze odtąd nosi na piersiach. Nie uszło to mojéj uwadze, że kiedy wspominał niebezpieczeństwo w jakiém wtedy się znajdował, Galinda bledniała. — Razu jednego opowiadał, jak sam jeden wpadł w zasadzkę Saracenów, którzy go otoczyli, jak się prze-

rzynał przez tłum, mieczem torując sobie odwrót, jak oni padali jak muchy pod jego ramieniem, dopóki nie udało mu się dostać na most, od którego oni go byli odcięli. Ale kiedy już był na nim, chmury strzał na niego wypuścili, że wyglądał jak jéż, tak wielka ilość strzał sterczała na jego zbroi, ale że dwie strzały przerznęły się przez kułczugę niżéj zbroi utkwiły w jego ciele, tak że w ucieczce ciągle mu krew się sączyła po kulbace, a kiedy się złączył nakoniec ze swoimi, a jego giermkowie przyskoczyli do niego i pomogli mu zsiąść z konia, on zemdlał i padł w ich objęcie. Galinda to słysząc, w gwałtownem wzruszeniu porwała rycerza rękę, przybliżyła ją do serca, — poczém raptownie się opamiętała, swoją rękę cofnęła, a karmazyn zaległ jéj oblicze, jak natwarznik szyszaka lice rycerza gotującego się do boju.

Ja na to patrząc, nie padłem jakby piorunem przeszyty, ale nogi drgały podemną; zimny pot wystąpił na mojém czole. Uczułem jak krew zakipiała w moich żyłach. Oj, co to za stan tego...“

— „Znowu rzucasz się niewolniku w szczegóły wcale niepotrzebne,“ przerwał Sułtan. „Przykazuję ci, żebyś się nie rzucał na drogi, które od wypadków oddalają tylko; to dobre dla tych nudnych powieściopisarzy, co na łokcie księgarzom przedają swoje roboty, bo im więcéj łokci, tém więcéj pieniędzy, kiedy im niedostaje konceptów, a więc zapełniają karty ja-

kiemiś szczegółami krajobrazów, albo jak je nazywasz uczuciowemi, a które tylko ziewanie pobudzają. Nie idź za przykładem tych głupców, Nazarejczyku, których my cierpiemy, żeby głupotę rozprzestrzeniali między naszymi poddanymi; bo jak słusznie mówi Wezyr, kiedy lud nabędzie światła, Bóg wie czego mu się zechce. Przystępuj do rzeczy prostą drogą. Słucham ciebie.“

— „Najjaśniejszy Panie, w smutku który mnie trapił, nie mógłem nie unikać towarzystwa moich kolegów. Często po zachodzie słońca wymykałem się z zamku, żeby samotnie, bo tylko z mojemi smutnemi marzeniami, błąkać się po lasach posępnych, niedaleko wałów zamkowych położonych. Razu jednego, gdy wyszedłem zmrokiem na moją zwyczajną przechadzkę do lasu, który od zamku był przedzielony wygonem obszernym, przeszedłem blisko szubienicy, na środku wygonu wystawionéj. Na niéj prawie co dzień wisiał jakiś winowajca, by zadość uczynić sprawiedliwości Wojewody. Wprzódy ta szubienica była na wałach zamkowych, ale że Galinda w wieczorach pogodnych rada była przechadzać się po wałach, uprosiła więc u ojca, ażeby to narzędzie odstraszające od zbrodni, już nie raziło jéj oczów. Jako téż zaraz przeniesione zostało za wały.

Noc wtedy była ciemna; dążąc ku laskowi, mimochodem zbliżyłem się do téj szubienicy, do któréj przed kilku godzinami przyczepiono starą czarownicę.

Wieśniacy dnia wczorajszego przytaszczyli ją do zamku, ze skargą, że co nocy przedzierzga się w wilczycę, i czyni im niezliczone szkody. Wojewoda po wysłuchaniu skarg i obron, przekonany o jéj zbrodni, kazał ją powiesić z wielką radością całéj gminy. A baba, stósownie do naszych praw, miała wisieć przez całkowitą dobę, poczém miano ją odczepić i na zapalony stos położyć, żeby wiatr rozniósł jéj popioły. Doszły do mojego ucha jakieś charkania, wychodzące z szubienicy, które mnie nauczyły że baba jeszcze dysze. Litość się we mnie wzbudziła. Zakochani, zwłaszcza nieszczęśliwi, są zawsze skłonni do litości. Pomyślałem sobie, kiedy wola Boża żeby żyła kilka godzin po powieszeniu, niechże sobie i dłużéj żyje, kiedy może. Wdrapałem się na słupy szubienicy, dobyłem z kieszeni kozika, i oderżnąłem postronek. Baba padła o ziemię, a żeby jéj do końca usłużyć, oswobodziłem jéj szyję od zaciśnionéj konopnéj obróżki, a że baba miała szczeki jakby z sobą zlutowane, palcami, nie bez trudności, rozdzieliłem jéj szczęki.

Baba silnie kichnęła, i natychmiast przyszła do siebie. „Szlachetny paziu,“ rzekła do mnie, „wyrządziłeś mnie nie małą przysługę, bo bez ciebie życie bym za chwil kilka postradała. Winnam się tobie odwdzięczyć; ale wprzódy uzupełnij okazaną dla mnie twoją życzliwość. Zaprowadź mnie do tego lasu, i tam mnie pomóż z gałęzi związać miotłę, bo tak jestem osłabiona, że z miejsca ruszyć nie mogę i sobie

nie dam rady." Zadość uczyniłem jéj woli, zaniósłem ją do lasu, i tam jak umiałem sporządziłem dla niéj miotłę. „Dziękuję ci, szlachetny paziu! a na dowód mojéj wdzięczności przyjm ten upominek." Po czém wyrwała sobie jeden włos z siwéj swojéj głowy i dodała: „Masz go paziu; zachowaj ten włos starannie, a jeżeli będziesz kiedy w wielkiém niebezpieczeństwie, rozerwij tylko ten włos, a ja natychmiast w pomoc ci przybędę." To rzekłszy, usiadła na miotle i jakiemiś niezrozumianemi wyrazami zaczęła bełkotać, miotła się wzniosła do góry, i z babą zniknęła w przestrzeni.

Wróciłem do zamku, poszedłem do mojéj kwatery i piérwszą rzeczą com w niéj zrobił było, że okręciłem około małego palca lewéj ręki włos czarownicy."

— „Wybornie, Nazarejczyku!" przerwał Sułtan, „wielce mnie zajmujesz swojém opowiadaniem. Radbym ciebie całą noc słuchać, ale już późno, a jako rządca prawowiernych, muszę, skoro się pokaże jutrzenka, być w meczecie. Teftedar! daj temu niewolnikowi pięć kies; jest to tylko zadatek moich łask, o ile dalszém opowiadaniem, podobném do dzisiejszego, na nie zasłużysz. Dziękuję ci Hanulu, żeś mnie uprzyjemnił wieczór twoim niewolnikiem; przybądź z nim i jutro, i co dzień, póki się nie dowiem o wszystkiém, co się wydarzyło w jego życiu. Idźcie więc do spoczynku. Czekam z niecierpliwością jutrzejszego wieczora."

Wszyscy padli czołem przed majestatem sułtańskim, i zostawili go z jednym tylko Kislar Agą, który go zaprowadził do Haremu.

II.

Kiedy następnego wieczora zebrali się Emirowie w około Sułtana, a między nimi i Hanul z swoim niewolnikiem, Sułtan z czołem wypogodzoném odezwał się: „Nazarejczyku, choćby wszyscy Emirowie mojéj rady mieli pęknąć z zawiści, powiem otwarcie, żeś mnie więcéj zajął wczoraj przez chwil kilka, niż oni wszyscy razem, odkąd przy mnie służą. A ty, Hanulu, ani się spodziéwasz, do jak wysokich dostojeństw podnieść się możesz, mając takiego niewolnika. Ja ci to zapowiadam. Pilnuj go jak oka we łbie... Stanęliśmy na tém, jakeś obkręcił swój mały palec włosem czarownicy. Czy uważasz Nazarejczyku, jak ze mną nie ma ani jednego słowa straconego? Mów daléj."

Paź złotowłosy padł o ziemię, poczém powstał i tak się wziął do rzeczy.

— „Pomyślałem, że ten włos może mi się przydać kiedyś, bo po tém co widziałem, wątpić nie mógłem o potędze téj czarownicy. Ale wkrótce to wyszło z mojéj pamięci, bo myśl zajęta obrazem Galindy, już do czego innego oprócz jéj saméj nie była zdolną

zwracać uwagi. Nazajutrz doniesiono Wojewodzie, że baba zniknęła z szubienicy. Jego nadworni mędrcowie usiłowali to wydarzenie tłómaczyć, mnóstwo próżnych a nawet niezrozumiałych wyrazów puścili w obieg, a że niczyj domysł nie padł na mnie, więc ta gadanina ani słuchaną była przezemnie, ile że ani do słów, ani do obcowania z mędrcami i pisarzami, nigdy nie czułem w sobie pociągu.“

— „Pokazuje się, że masz rozum, Nazarejczyku. Ja ich także ciérpiéć nie mogę, bo to są uprzywilejowani nudziarze. Istne wykpigrosze! My Muzułmanie tego nie znali, a świat podbili, dopiero Kalif Harun-al-Raschyd te księgozbiory zaprowadził w Bagdadzie, a ztamtąd książki się rozlały po całym Islamistanie, że już od téj choroby wyzwolić się nie można. Rad nie rad, tym mniemanym mędrcom każę coś rzucić niekiedy w kieszeń, na instancyję Wezyra i Reis Effendego; ale do siebie im przystępu nie daję, bo nudów boję się jak zarazy. Wolałbym bawić się z moim Hamuko, czyli błaznem nadwornym, który jak mówią bardzo jest oczytany, i dla tego właśnie tak się powtarza, że ledwo raz na tydzień każę go wołać, bo już i on nudzić mnie zaczyna...... I cóż? Nazarejczyku!“

— „Utwierdzili się tylko wszyscy w przekonaniu, że była z téj baby potężna czarownica, i jak to zwykle bywa, w kilka dni po tym wypadku, przestano o nim mówić.

Wkrótce potém Wojewoda dał wielkie polowanie dla Wiesława. Mnóstwo panów i szlachty zjechało na łowy, i Galinda z swoją ochmistrzynią chciała w nich wziąść udział. Przygotowano psy i sokoły, ruszyliśmy wszyscy w las. Wiesław o krok nie odstępował Galindy, a my rozpierzchnęli się w puszczy. Odgłos trąb, gonienie ogarow, świst strzał, rozległ się po lasach. Błądząc po nich, spotkałem ochmistrzynię; ona w tém zamieszaniu oddaliwszy się od Galindy, bo wartkości jéj rumaka nie mogła sprostać, sama nie wiedziała gdzie się znajduje. Skoro mnie spostrzegła: „Paziu złotowłosy! przemówiła, proszę ciebie wyprowadź mnie z téj puszczy do zamku, a ja ci za to powiem coś takiego, co rozweseli tobie serce.“

Odprowadziłem ją do mostu zamkowego. W ciągu téj przejazdki taka między nami była rozmowa: „Wiém miły paziu, jaka jest przyczyna tego smutku, który już na twoich licach wyrył ślady aż nadto widoczne. Ty kochasz Galindę.“ — Co? ja? odpowiedziałem zmieszany, jabym podobne szaleństwo przypuścił do myśli? Pani jak widzę chcesz się zabawić moim kosztem. — „Na próżno chcesz ukryć przedemną tajemnicę twojéj duszy! Ale nie masz czego rozpaczać. Nie myśl żeby twoja miłość była wzgardzoną. Galinda owszem odpłaci się tobie wzajemnością. Ona zmuszoną jest uczucie swoje przed wszystkiémi ukryć, nawet przez długi czas jéj duma walczyła z miłością, która ją pożéra. Aż nakoniec miłość zwy-

cięztwo otrzymała. Ja jedna zostałam jéj powiernicą. Ona kocha ciebie aż do szaleństwa, i pozwoliła, bym tobie to odkryła.“ — Co śmiesz mówić, pani! najświetniejszy rycerz Lechistanu ciągle z nią zostaje w nierozerwanéj parze. Widzę codziennie z jakiém upodobaniem Galinda go słucha, a chcesz żebym uwierzył, że ona myśli może o biédnym paziu? — „Nie inaczéj. Wedle wszelkiego podobieństwa ona zostanie żoną Wiesława, bo jakże jéj się opiérać woli ojca i temu, do czego ją nagli jéj wysokie położenie, ale bądź pewny że tylko ciebie kocha, tém więcéj, że wié iż jest od ciebie kochaną. Bladość twoja, rozpacz malująca się na twoich obliczach o tém ją oświeciły. Nie uwierzysz ile ona wczoraj na moje łono łez wylała, mówiąc, że uczucia twoje ciebie na końcu zabiją, i że ona tego nie przeżyje. Zlitowałam się nad nieszczęśliwą wychowanką, i sama ją namówiłam do kroku, którego byś się nigdy nie spodziéwał. Ale jéj życie jest mi nadewszystko milsze.“ — Mów pani. — „Oto dzisiejszéj nocy chce przyjąć ciebie w swojéj komnacie.“ — Ach pani, nie najgrawaj się z tych uczuciów, coś je we mnie umiała odgadnąć, a które radbym przed sobą samym zakryć. Jaż to bym jéj serce tak dalece zniewolił! Powiedz pani, jakim sposobem takiego szczęścia dostąpić mogę?.“

— „O tóż to“ przerwał Sułtan, na co wyszły te nauki śpiewu i grania na arfie! Ja od razu to przewidziałem, i wczoraj pokazałem, że umiem zga-

dywać. Wielce pobudzasz moją ciekawość, chociaż już wiem na czém twoje opowiadanie się skończy. No słucham daléj.“

— „Zaprzysiąż, rzekła ochmistrzyni, że co do joty spełnisz to wszystko co ci rozkażę.“ — Poprzysięgam! odpowiedziałem z uniesieniem, poprzysięgam na moje szczęście, na mój klejnot herbowy, na moje zbawienie, że poddaję się bezwarunkowo twojéj woli, że nic innego nie uczynię, tylko to, co mi rozkażesz.— „Słuchajże paziu: Dziś w nocy, skoro dzwon zamkowy dwanaście razy uderzy, pójdziesz prosto do naszéj baszty. Giermek od straży ciebie zapyta, czy kur już zapiał? ty mu odpowiesz, nie jeszcze, ale kury już kwokczą. — Na te słowa on ciebie wpuści do baszty. Ty pójdziesz schodami prosto na nasz kurytarz omackiem, ale będziesz się trzymał lewéj strony. Staniesz przed trzeciemi drzwiami, trzy razy w nie stukniesz, a ja ci drzwi otworzę, i zaprowadzę ciebie do Galindy. Ona cię przyjmie w swojéj komnacie bez światła. Ale żebyś się nie ważył milczenia przerywać; żebyś został zupełnie niemym, a jak ciebie z lekka trzy razy uderzy po ramieniu, żebyś natychmiast wyszedł i powrócił tą samą drogą, którą przyszedłeś. Jeżeli w czémkolwiek zboczysz od tego zalecenia, co go ci posyła przezemnie Galinda, na zawsze ją utracisz; jeżeli będziesz posłusznym, co nocy będziesz szczęśliwym w jéj objęciu, a ja ciebie co dzień naucze słów jakie masz mówić giermkowi, który

ma cię puścić do baszty, gdyż one co dzień się odmieniają. Prócz tego, pamiętaj ażebyś niczém nie zdradził twojego porozumienia z Galindą. W nocy będziesz jéj kochankiem, w dzień jéj sługą, i niczém więcéj." — Na wszystko chętnie się zgodziłem, nie mogąc jeszcze wierzyć mojemu szczęściu. Odprowadziłem ochmistrzynią do mostu zamkowego, a sam na odwrót przypuściłem mojego konia, i wkrótce złączyłem się w lesie z łowcami.

Gdym wracał do swoich, zacząłem zastanawiać się nad tém co mi dopiéro spotkało. Cała szkarada moich żądz stanęła przed oczami mojéj duszy. Miałem że zdradzać mojego, tak ku mnie łaskawego Pana, i korzystać z słabości jego córki, żeby ją zhańbić? bo mi tajno nie było, że przez żaden sposób nie mogę zostać jéj małżonkiem, honor i sumienie wzięły górą nad gwałtowną namiętnością. Postanowiłem mimo siebie puścić to, co mi była powiedziała Frankistanka; ale czułem, że już mnie w służbie Wojewody nie można było dłużéj pozostać. Pomyślałem sobie, jutro przed świtem opuszczę na zawsze to siedlisko, w którém się wychowałem i wzrosłem. Galinda pójdzie za godnego rycerza, i wkrótce o mnie zapomni, a ja udam się z moim koniem do Dobrzyńca. Rycerze Dobrzyńscy mnie, szlachcicowi, przystępu do ich zakonu nie odmówią. Wypełnię między nimi śluby zakonne, jak to chciał kiedyś Wiesław uczynić. Zostanę mnichem-rycerzem, i śmierci

lub sławy szukać będę, walczyć z pohańcami Litwy i Pomorza.

Ale zaledwo złączywszy się z łucznikami, spojrzałem na Galindę, któréj znój tyle jeszcze wdzięków podawał, tak ją znalazłem piękną, tak serce moje bić gwałtownie zaczęło, że te wszystkie moje piękne postanowienia zczezły. Nadzieja tak wielkiego szczęścia, od którego tylko kilku godzinami przegrodzony byłem, i głos sumienia i wszelkie zgryzoty unicestwiła. Rumieniec, od tak dawna wygnany z moich lic, na nowo na nich zabłysnął; tak że kiedy po szczęśliwych łowach wróciliśmy do zamku, gdzie dla myśliwych miała być wielka uczta, pobiegłem do mojéj kwatery dla przebrania się w najbogatszą swoją odzież, a tak ubrany przybyłem do rzęsisto oświeconéj sali, gdzie już i państwo i dwór byli zebrani; z niemałą pociechą poznałem że wszyscy przytomni, piękność i gładkość przyznali paziowi złotowłosemu.

Zauważyłem że Galinda z swoją ochmistrzynią coś po cichu rozmawiały, i czasem na mnie spoglądały. Zdało mi się nawet, że ile razy Galindy oczy spotykały się z mojemi, już koloryt jéj jagód żywszym błyszczał szkarłatem. Wiesław, jak zwykle, nią jedną był zajęty, ale już we mnie zazdrości nie mógł wzniecić; bo lubo ona z równém przymileniem zdawała się go słuchać, śmiałem się w duchu z nadziei, którą sobie roił, bo wiedziałem że serce Galindy mnie jednemu było oddane.

Galinda na mnie kiwnęła ręką, ja spiesznie do niéj się zbliżyłem. Ona obracając się do Wiesława, „może nie wiesz rycerzu, rzekła, że ten piękny paź jest mistrzem w śpiewie i graniu na lutni. Przynieś paziu swoją lutnię, i rozwesel lub zasmuć nas jaką baladą.“ — Natychmiast zniknąłem, i wnet pojawiłem się, w rękach trzymając moją lutnię. Wszyscy mnie otoczyli, a ja zacząłem śpiewać znaną baladę o Dobieszu ze Skałki. Wszyscy z natężoném uchem słuchali szczegółów jego miłościów z Haliną, pasterką gór Tarnowskich. Jak on za nic mając i przestrogi króla, ni przekleństwo ojca, Pana na Skałce, ożenił się z nią potajemnie; jak później Pan na Skałce, zniewolony wdziękami i dobrocią synowéj, wrócił Dobieszowi afekt ojcowski. Ale kiedy przyszedłem do tego, jak ów niewdzięczny małżonek, zdradził Halinę dla Hrabiny z Sącza, a biedna Halina ciągle płacząc przelała siebie nakoniec w krynicę, którą pokazują w Tarnowskich górach, a Dobiesz złorzecząc swojemu obłąkaniu opuścił świat i został pustelnikiem przy téjże saméj krynicy, taką umiałem rzewność dać mojemu śpiewowi, że nie tylko Galinda, ale nawet rycerz ze Skrzynny łez nie mógł wstrzymać.

Jak się wszyscy rozeszli, wróciłem do mojéj kwatery, gdzie oczekiwałem dwunastu uderzeń dzwonu z większém jeszcze upragnieniem, niż żeglarz skołatany burzą wygląda łagodnego promienia słońca. Doczekałem się nakoniec czego łaknąłem. Zawinąłem

się w płaszcz i udałem się do białogłowskiéj baszty. Giermek mnie zatrzymał z swojém zapytaniem, ale nie natrafił na nieuka. Poszedłem a raczéj poleciałem do trzecich drzwi kurytarza. Stukałem — drzwi na pół się otworzyły. Ujrzałem ochmistrzynią, trzymającą w ręku ślepą latarnią, którą zaraz i zgasiła. Wziąwszy mnie za rękę, drżącą jak liść topoli, zaprowadziła do drugiéj komnaty. „Czekaj paziu, rzekła cichym głosem, za chwil kilka przybędzie twoja Galinda.“ I zostawiła mnie samego w ciemności. Ach, najjaśniejszy Sułtanie, co to za chwila ta, w któréj się oczekuje przedmiotu swoich zapałów! Ciągle się wydaje że drzwi zaskrzypnęły, — na lada szelest, serce już z piersi zdaje się wyskoczyć..... Trzeba tego doświadczyć, żeby pojąć co się w tenczas musiało dziać ze mną. Powiem tylko ze myśli.....“

— „Zmiłuj się, niewolniku“ przerwał Sułtan, „nie zapędzaj się w swoje wywody, które tylko od saméj rzeczy oddalają! Ja czekam jak tylko co niewidać, że Wojewoda wpadnie, każe ciebie wbić na pal za twoją zuchwałość, a baba czarownica na ratunek twój pospieszy. A co? niewolniku, czy nie umiem zgadywać?“

— „Prawie, najjaśniejszy Panie, jednak nie ze wszystkiém. — Kiedy się tak dręczyłem myślami ciągle przerywanemi, drzwi, zwolna, ale rzeczywiście, skrzypnęły, stopki cichuteńko dały się słyszeć. Ja posunąłem się naprzód i prześliczną dziewicę przyjąłem

w swoje objęcia. Ona nietylko że się nie wzbraniała, ale położyła usta swoje na moich ustach spieczonych, i dała mnie pocałunek, ale jaki! Nie było we mnie ani jednéj żyłki, na któréj by ten pocałunek się nie wraził. Był to wstęp do jeszcze większego szczęścia. Z ust lubych piłem zachwycenie, nurzałem się w nurtach rozkoszy..... Jedném słowem nie miałem nic już do żądania, kiedy lekkie uderzenie po mojém ramieniu dało hasło do mojego odwrotu. Odszedłem tędy, którędy przybyłem, spotkałem pod schodami tegóż samego czuwającego giermka, i wróciłem do swojéj kwatery.“

— „Otóż masz“ przerwał Sułtan. „A to osobliwszy człowiek ten niewolnik! Kiedy nudzi swojemi uwagami, z pod pięty umie wydobywać wyrazy, ale tam gdzie prawdziwie jest coś ciekawego, gdzieby się chciało dowiedzieć o jakichś szczegółach, pędzi językiem jakby strzałą.“

— „Co mam w szczegóły się zapędzać, odrzekł paź. Mądréj głowie dość dwie słowie. Najpotężniejszy i najmądrzejszy Pan nasz dobrze wié, jak się rzeczy mają w podobnych okolicznościach. Dość że przez siedmnaście nocy kosztowałem szczęścia bez goryczy. Ale ośmnastéj, podczas kiedy spoczywałem w objęciach kochanki, podwoje raptem otworzyły się z trzaskiem, rażące blaski rozwidniły komnatę. Patrzę, poznaję Wojewodę, Wiesława, kilku nadwornych rycerzy, a każdy

trzymał pochodnię w ręku! Miłe spotkanie dla mnie, leżącego na pościeli...

— „Doigrałeś się przecie“ na to Sułtan „mów co chcesz, ale od pala się niewykręcisz, chyba przez swoją czarownicę.“

— „Ach gorzéj niż od pala Najjaśniejszy Panie.“

— „Jak to gorzéj?“

— „Nieinaczéj! Wolałbym zostać wbitym na palu, niż doświadczyć tego, co mnie w ówczas spotkało... Zapomniałem był o sobie; los Galindy jedynie mnie obchodził. Spozieram na nią — przebóg! to nie była Galinda ale jéj stara ochmistrzyni!“

— „Doskonale z ciebie zadrwiono“ rzekł Sułtan parsknąwszy śmiechem. „Teraz rozumiem dla czego przy duszy zostałeś. A co by się z tobą stało, żeby to była Galinda? Wasz Wojewoda musiał się za boki trzymać od śmiechu i na tem się skończyło.“

— „Gdzietam! Najjaśniejszy Panie! Wojewoda uczuł siebie być wielce obrażonym. „Nędzarzu, odezwał się piorunującym głosem, znieważyłeś dom twojego Pana, a ja od nikogo zniewagi znosić nie umiém! Jeden ci pozostaje tylko środek, do zasłonienia siebie od mojego strasznego gniewu. Skoro słońce zejdzie, weźmiesz ślub w mojéj kaplicy z tą Frankistanką, którą uwiodłeś, a o waszym przyszłym losie, ja pospołu z moim przyszłym zięciem myśleć będziemy.“

—Co? ja! odpowiedziałem, miałbym pojąć za żonę tę przebrzydłą babę? ja miałbym sobie széroki świat

z nią zawiązywać? na to się nigdy nie zgodzę! wolę być przyczepiony do téj szubienicy, która stoi za wałami. — „Ach łotrze, ach hultaju, przerwał Wojewoda, ty nie możesz zostać mężem téj, którą uwiodłeś? któréj jesteś kochankiem? każe ciebię okuć w podziemnéj ciemnicy zamkowéj, i z niéj nie wyjdziesz tylko mężem ochmistrzyni mojéj córki.“ — Ona mnie uwiodła, a nie ja ją. — „Milcz nikczemniku.“ Dał znak ręką: dworzanie ku mnie się rzucili, porwali, spuścili mnie potém do ciemnicy. Tam mnie przykuto do ściany, postawiono przy mnie bochenek czarnego chleba, dzban wody, i zostawiono mnie samego.

— „Już późno“ odezwał się Sułtan. „Pora się udać do wczasu, żeby się nie zaspać, jak da się słyszeć o świcie głos z minaretu, powołujący prawowiernych do miasta. Teftedarze! Wypłać temu Nazarejczykowi drugie pięć kies; on na nie zasłużył. Jednak, Hanulu, jest to rzecz dziwna, to rozwiązanie. Zamiast młodéj i pięknéj Sułtanki, stara i szpetna ochmistrzyni! Jakże twój niewolnik na tém się nie poznał?“

— „To wszystko się robiło po ciemku“ odpowiedział Hanul, „a w koranie jest napisano, że w nocy każdy kot wydaje się szarym.“

— „Ba! czyż na to oczów potrzeba, żeby rozeznać dziewicę od baby? Już by mnie nie oszukała! Chyba, że Frankistanki inaczéj stworzone, jak inne niewiasty. Wiesz Hanulu, że nigdy nie miałem Franki-

stanki w moim haremie. Twój niewolnik pobudził do nich moją ciekawość. Wezyrze! rozkazuję ci, żebyś się postarał o niewolnicę Frankistankę dla mnie, choćbyś miał i pięćset kies na nią wydać. Tymczasem, dobranoc niewolnicy!"

Wszyscy padli na twarz na pożegnanie Sułtana i jego zostawili, jak zawsze z Kislarem Agą.

III.

Emirowie zebrali się około Sułtana. Sułtan, zasiadł na swojéj wywyższonéj sofie, a paź złotowłosy tak zaczął mówić:

— „Najjaśniejszy Panie, ledwo ci siepacze odeszli, jakkolwiek moje położenie nie było wygodne,— bo co to jest być przykutym do ściany ciężkim a niedługim łańcuchem, mieć pod sobą ziemię przemokłą wilgocią, a w sobie serce przepełnione goryczą,— jednak od tego zacząłem, że kułak podłożywszy pod głowę, twardo zasnąłem, jakby na najmiększéj pościeli tak dalece byłem zmęczony.“

— „Nic dziwnego, że twoje stosunki z starą Frankistanką znużyć ciebie musiały! I cóż się z tobą stało, jakeś się obudził?“

— „Okropność! ciemność, chłód, a nadewszystko samotność, bo innego nie miałem towarzystwa tylko szczurów, nietoperzy i smutnych moich myśli... Płakałem rzewnie nad sobą; bo i nędza i wstyd miotały mną na przemian. Wprawdzie pozostawał mi

środek do wyratowania siebie, a ten był przyzwolenie na małżeństwo z niegodziwą i bezwstydną babą; ale taki ratunek wydawał mi się straszniejszy od wszystkich udręczeń jakich już doświadczałem, i jakich w przyszłości doświadczyć mogłem. Postanowiłem, bądź co bądź, dotrwać w uporze, pokąd sił stanie, gdyż oprócz wstrętu jaki na mnie sprawiało samo wspomnienie obrzydliwéj powierzchowności ochmistrzyni, czułem jeszcze do niéj nienawiść, za to jéj oszukaństwo, którém tak mnie upokorzyła. Wiedziałem, że jak tylko zostanę jéj mężem, obrócę się w przedmiot pośmiewiska powszechnego. Czasem przystępowała do mnie myśl, zezwolić na dożywotny związek z niegodziwą i bezwstydną babą, żeby pierwszéj nocy po ślubie własnemi rękoma ją zadławić..... Koniec końców stanęło na tém, że obmyśliłem głodem siebię umorzyć; a żeby nie było pokusy, cisnąłem o kilka kroków od siebie bochenek i wodę rozlałem.

Ale wkrótce po tém, głód tak mnie zaczął męczyć, że doświadczyłem katuszy większéj niżeli niewola, niżeli wstyd, jedném słowem: niżeli wszystkie cierpienia duszy. Do tego stopnia głód mnie dokuczył, że kiedy przyszedł dozorca więzienia, starzec dobrze mi znany, trzymający w jednym ręku pochodnię, a w drugim odnowienie mojéj dziennéj strawy, i zapytał mnie czy chcę się żenić, czy dłużéj mieszkać w więzieniu,

ja nic nie odpowiedziałem, tylko rzuciłem się na chléb co mi go przyniósł, i w okamgnieniu go zjadłem.

Rozśmiał się starzec, spostrzegłszy opodal odemnie chléb wczorajszy leżący na ziemi, i powiedział: „Często więźniowie od tego zaczynają, że głodem chcą siebie umorzyć, ale jakoś do tego nigdy nie przychodzi. Jak widzę, paziu miły, niepospolitéj musiałeś doświadczyć tęsknoty, kiedy aż odrzuciłeś z pogardą bochenek, co go tobie wczoraj zostawiono. Powinien bym odnieść z sobą ten dar Boży, przez ciebie wzgardzony; ale ja ci go oddaję, bo zawsze czułem słabość ku tobie. Wszakże radziłbym, po dawnéj znajomości i przyjaźni, byś jak wprzódy zajadał schaby i pieczenie zamkowe, bo one ci szły na zdrowie.“ — A to daj je! odpowiedziałem. — „W takiéj ciemnicy łakocie nie dają się strawić. Powiedz tylko, że chcesz się ożenić z swoją dojrzałą kochanką, a ja ciebie należycie nakarmię, i to ci pójdzie na pożytek, gdyż po obiedzie pozwolę ci użyć przechadzki do woli.“ — Powiedzże mi poczciwy starcze, za kogo byś mnie miał, żebym z tą przeklętą babą się ożenił? — „Za kogo? zabawne pytanie! dla czego byś nie miał być mężem téj, któréj mogłeś być kochankiem?“ — At! szeroko o tym król Dawid by napisał... Ale powiedz szanowny starcze, jaki diabeł mnie przed Panem oskarżył? — „Giermek od warty doniósł Panu, że co nocy ktoś przychodzi do baszty białogłowskiéj, a taki mądry, że hasło tak recytuje jak pacierz, ani się za-

tnie. Pan nie wiedział kogo ma podejrzywać, aż sam poszedł na zwiady; bo byli tacy, co nawet samą Wojewodziankę posądzali. Szczęście że się na ochmistrzyni skrupiło! Ona na górze zamknięta w areszcie, podczas kiedy ty wieżę in fundo przesiadujesz. A od ciebie zależy, byście oboje byli wolni, i żeby cały ten rejwach na dobro wasze się obrócił. Może tego nie wiesz paziu, że za tydzień wesele Pana ze Skrzynny, z naszą Wojewodzianką. Zabawy, jakich tu nigdy nie bywało, przynajmniéj pare tygodni się przedłużą. Ma być wielki turniéj. Coś przebąkują, że sam król ma tu zjechać. A ty kiedy nad głową twoją wszyscy bawić się będą, masz się poniewierać w téj ciemnicy o głodzie i chłodzie? Nie bądź głupim paziu!" — Przebóg! krzyknąłem, Galinda za tydzień ma być żoną Wiesława. — „I czegóż się zżymasz? odparł oddzwierny. Albo to jedno nie dla drugiego? Pan z Panią, rycerz z pięknością, Wojewodzic z Wojewodzianką. Ta para lepiéj dobrana, niż ty z twoją ochmistrzynią, bo kręć, czy nie kręć głowy, ona ciebie nie ominie. To prawda że ona porządnie szpetna; ale łańcuch i koza szpetniejsze, i trudniéj do nich się przyzwyczaić niż do podżyłéj baby. A wreszcie, jeżeli ona była dla ciebie dość piękną przez kilkanaście nocy, za cóż i na dal nie miałaby nią być? Wszak gdzieś napisano, że tylko piérwszy krok nieco trudny." — A wolałbym być żywcem spalony. — „Unosisz się bez potrzeby. Wszyscy

ciebie lubią. I rycerz ze Skrzynny, i nasza Panna, i sam Wojewoda nawet tęskni za twoim spiewem. Pan Wiesław dał się z tém słyszeć, że jak się ożenisz, będzie pasował ciebie na rycerza; że będziesz mógł spiewać przed królem, a co więcéj potykać się na turnieju, a sam wiesz że tego zaszczytu uwodziciel niewiast dostąpić nie może. Pójdź do głowy po rozum, paziu miły, wyrzeknij tylko to jedno słowo przystaję, a ja zaraz sprowadzę oblubienicę i księdza. On wam da ślub, poczém nie tracąc czasu pójdziecie za mną do Wojewody, padniecie mu do nóg, prosząc o błogosławieństwo, toż samo naszéj Pannie i jéj narzeczonemu. Obaczysz że parę wiosek dostaniecie, i będziecie hulać po dawnemu. Czyż to każdemu mieć piękną żonę? czyż to jeden Wojewoda, choć Pan, przecie żyć musi z koczkodanem? a tobie szlachcicowi wymyślać! prawdziwie ty jesteś jak niedźwiedź, co mu ledwo uszów nie wyrywają ciągnąc go do miodu, a potém ledwo go ogona nie pozbawią od miodu go odciągając! opamiętaj się paziu. Wszak ja twój przyjaciel." — Jeżeli nim jesteś, przynieś mi moją lutnią. — „Jest! powiedział co wiedział! ot czego mu się zachciało!.. Choć szczérze ciebie miłuję, wszak nie do tego stopnia, żebym pragnął być z tobą razem przykuty łańcuchem do ściany. Nie dla twojéj rozrywki dano ci tu komorę i wikt... Ale posłuchaj mnie starego. Ty wiesz, że djabeł mądry, dla tego że stary. Uprzesz się dzień, dwa, tydzień, po-

zwólmy przez cały księżyc, choć i dłużéj, a koniec końców to się tobie tak naprzykrzy, że byle wyjść z jamy, nie tylko z babą, ale z niedźwiedzicą byś się ożenił. Więc to co niezawodnie ma się stać kiedyś, czyż nie lepiejby żeby od razu się stało? O tyle ci ubędzie cierpień. Bo jušci lepiéj być za przewozem niż przed nim. Pluń na swój upór, będzież szczęśliwy, i mnie podziękujesz za radę. Czy myślisz że to mnie przyjemnie dokuczać tobie? moje obie wnuczki płaczą za tobą tak, że rady im dać nie mogę, powtarzając że już nie mają z kim spiewać. Nie wyobrażasz sobie ile mnie dręczy twój nierozsądny upór."

Tu na szczęście przypomniałem sobie, że mój palec był okręcony włosem staréj czarownicy. Starcze, rzekłem, jeżeliś mi przyjacielem, pomóż mnie, żebym z tąd uciekł. — „A to co znowu? ja mając dzieci i chléb spokojny, miałbym..... No, paziu drogi, jeszcze doba nie upłynęła odkąd wleciałeś w klatkę, a już zajączki skaczą po twojéj głowie! Radzę ci wyspać się, żeby twoja gorączka się uspokoiła. Snu spokojnego życzę waszéj paziowskiéj mości." — Poczekaj, poczekaj. Czy wiész, że jeżeli ciebie o to proszę, to jedynie żeby mieć powody wdzięczności, dla tak jak ty poczciwego człowieka. Bo jak tylko zechcę, i bez twojéj pomocy, nawet na przekor tobie, z tąd wyjdę. — „Za cóż na przekor? wyjdziesz, jak się ożenisz z ochmistrzynią, i ja z wielką moją radością ciebie z tąd sam wyprowadzę." — Daj temu

pokój! ja i bez tak uciążliwego warunku z tąd się wyniosę. — „Gorączka, jak widzę, co raz silniejsza! Ciekawy jestem jak to ci się uda, mój paziu?“ — Zaraz się o tém dowiesz. Tonący brzytwy się chwyta; przerwałem włos. Natychmiast dał się słyszeć przeciągły świst, a zaraz potém łoskot przeraźliwy.

Sowa ogromnéj wielkości stanęła przed nami. Odźwierny tak się przestraszył, że gębę rozdziawił, i zaczął się trząść od stóp do głowy. „Czego chcesz?“ zapytała sowa, spozierając na mnie. — Oto tego, żebyś na mojém miejscu okuła tego starego gapia, a ztąd mnie wyprowadziła, tam gdzie ani on, ani ochmistrzyni, ani Pan Wojewoda nie będą mogli mnie już dokuczać, ani rozkazami, ani radami.

Ledwom to wyrzekł, sowa zaczęła wytrząsać z siebie piérze; a co które wypadnie, zaraz w węgiel się przekształca. Potém zakiwała się, a wnet jéj głowa od ciała się oderwała, padła na ziemię i przemieniła się w miech kowalski. Z jéj brzucha zrobiło się kowadło, a każde udo przedzierzgnęło się w kowala.

Jeden z nich trzymał młot, drugi obcęgi. Położyli wszystkie węgle na kowadle, zapalili je siarniczkiem, rozżarzyli je miechem, i wzięli się do roboty. Szybko mnie rozkuli, a na mojém miejscu przykuli odźwiernego, który już nie wiedział czy spi, czy czuwa, bo był mało przytomny sobie.

Nie koniec na tém. Kowale zaczęli maleć, i z każdego z nich zrobiło się powtórnie udo z nogą,

grube i pokrzywione. Na te uda wskoczyło kowadło, i zaraz przemieniło się w tułów babski, a miech, już powrócony do postaci głowy, skoczył na tułów; i okropna baba stanęła w swojéj postaci, ta właśnie, którą oderznąłem od szubienicy. „Szlachetny paziu, rzekła do mnie, trzeba nam pomyśleć o naszym odwrocie, a na biédę, mając skrzydła, zapomniałam wziąść z sobą miotły. Czy się nie znajdzie tu czego do jéj zrobienia?" Szukaliśmy wszędzie; nic oprócz gołéj ziemi nie było. Aż baba, wpatrując się w odźwiernego, na głos się rozśmiała, mówiąc: „Przecie znalazłam co mi potrzeba. Oddaj mi twoje wąsy, stary grzybie, i przypatrz się, jak z nich zrobi się miotła. Oto masz flaszę gorzałki za twoją szczecinę, możesz się nią zabawić, póki ciebie nie rozkują." To rzekłszy, wyrwała mu wąsy, że aż zaczął wrzeszczeć przeraźliwie. „Cicho głupcze, dodała, patrz, a potém opowiész swojemu Panu co będziesz widział. I nie zapomniéj jemu się kłaniać od téj staréj czarownicy, którą kazał powiesić, a któréj nazajutrz już nie było na jego szubienicy." I jak się wzięła do strzępienia wąsów, potém do ich plątania, w jednéj prawie chwili wielka zrobiła się miotła. Baba usiadła na tych exwąsach, mnie rozkazała siąść obok niéj, kiwnęła palcem na starego, mówiąc: „Bywaj zdrów i wesół starcze!" wymówiła jakieś wyrazy niezrozumiałe głosem chrapliwym, i oboje podnieśliśmy się aż tam, gdzie się rodzą szrony i grady.

Przyznam się waszéj Sułtańskiéj mości, że przez całą tę podróż głowa bardzo mi się kręciła. Ściskałem śmierdzącą babę w mojém objęciu, jakbym saméj Galindy silniéj nie przyciskał do siebie. Bo kto u nas nie jest pasowany na rycerza, w takich strach gwałtowniejsze wzbudza poruszenie niżeli miłość; a strach był wielki latać po powietrzu. Ciągle miałem oczy zamknięte, żeby mi nie zakręciło się w głowie, patrząc na ziemię z takiéj wysokości. Słyszałem tylko jak baba rozmawiała po swojemu z łatawcami, którzy się i nam w nocy pokazują w postaci gwiazd spadających. Miarkowałem z domysłu (bo za nic bym oczów nie otworzył), że musieliśmy się wznieść do niezmierzonéj wysokości. Zaklinałem moją opiekunkę, żeby raczyła się spuścić, jeżeli nie chce, żebym umarł z zimna i strachu. Baba na to tylko się śmiała, a jakieś jeszcze przeraźliwsze śmiéchy jéj wtórowały, że aż na mojéj głowie wszystkie włosy sterczały. Od przytomności odchodziłem.

Widząc, że moje prośby na nic mi się zdały, zamknąłem usta jak oczy, i milczę. A baba ciągle coś plecie, to z latawcami, to z innymi mieszkańcami gwieździstych szlaków. Nakoniec ucichło, i zdało mi się, że już się spuszczamy, bo zimno zdawało się zmniejszać, a nareszcie już i ciepła doświadczyłem. Ale jakaż była moja radość, kiedy spuszczając nogi, uczułem pod niemi twardą ziemię. Dopiéro otworzyłem powieki, zeskoczyłem z miotły, i obaczyłem że

jesteśmy w dolinie, nad którą wznosił się pałac, którego wszystkie okna i podwoje były otwarte. Baba rzekła: „już jesteś bezpieczny od wszelkiéj pogoni, ruszajże sobie, i szukaj szczęścia gdzie ci się uda.“ — Gdzież mam się udać? odpowiedziałem; jestem głodny, grosza nie mam przy duszy, nie wiem co z sobą rozpocząć. — „Oto masz nad twoją głową pałac, wnijdź do niego, a czego tylko zapragniesz tam dostaniesz.“— Ale jakże mam wnijść do niego, nie mając przynajmniéj listu do gospodarza? — „O to się nie troszcz; tam nigdy nie było gospodarza. Każdy gość rozkazuje w tym pałacu, a jego rozkazy, jakie by nie były, są natychmiast spełniane. Bywaj zdrów, synu! z tobą dłużéj zostać nie mogę, bo zaraz muszę być na Łyséj Górze, gdzie mój Pan kulawy daje bal, na który jestem zaproszona.“ Rzekła, i lotem sokoła wzniesła się na swojéj miotle ku obłokom.

Na tém się skończył trzeci wieczór, po którym paź złotowłosy dostał taką jak w dniach poprzednich nagrodę.

Zostałem tedy sam jeden i w części byłem rad, żem się uwolnił z towarzystwa téj bezecnéj baby. I zaraz się wdrapałem po skałach, i dostałem się do krużganku tego pałacu. I okna i drzwi, jak to już powiedziałem, były otwarte. Wchodzę do piérwszych drzwi, jakie przed sobą znajduję, i widzę sień obszerną. Postępuję daléj przed sobą, wchodzę do sali równie obszernéj jak sień, a któréj ściany odbijały

wszystkie barwy, jakiemi tęcza nas rozwesela. Ale co mnie najwięcéj się podobało, na środku sali był stół zastawiony półmiskami z rozmaitém a najwykwintniejszém jadłem. Mnóstwo biesiadników pożerało potrawy, które liczna liberyja roznosiła. Między temi gośćmi było najwięcéj takich, których odzież zdradzała ubostwo, bo między niemi pokazywały się nawet łachmany; a przecie i tym liberyja usługiwała z taką uprzejmością, jakby od nich oczekiwała sowitéj nagrody.

Wszyscy łakomo pożywali łakocie i popijali strawę najwyborniejszemi trunkami. Będąc zgłodniałym, wcisnąłem się w grono biesiadników, i zacząłem zajadać to wszystko, do czego miałem skłonność. Bo ledwo czego zażądałem, o to prosić nie miałem potrzeby, gdyż lokaje każdą myśl moją zgadywali, i natychmiast mnie przynosili, czego mi się tylko zachciwało. Jadłem, jak zwyczajnie młodzieniec zgłodniały; ale jedzeniem głodu nie mogłem zaspokoić. Wszystko było smaczne, jadłem żarłocznie, a zawsze czułem tę samą czczość w żołądku. Nie syty, ale zmęczony tém jałowém jedzeniem, puściłem się do innéj sali. A ta była tak obszerną, że na progu stojąc, z trudnością można było przeciwległą stronę zobaczyć. Dziwne widowisko w niéj odkryło się przedemną.

Ściany téj sali były z kryształu jasno zielonego i przezroczystego, toż samo i pułap, i kolumny na których się opiérał. Igranie światła w tym krysztale,

sprawiało prześliczne zjawisko. Ale nic się nie przedstawiało w statecznéj postaci. Każden przedmiot ciągle odmieniał i barwę i kształty. Osoby znajdujące się w sali, kolejno pokazywały się przecudnéj urody, i znowu ohydnéj szpetności. Jakem się w nie wpatrywał, nie mogłem schwycić nigdy ani ich wzrostu, ani ich kształtów. Wszystkie one z nadzwyczajną chyżością kręciły się, szpetniały, wzrastały, malały, niknęły, wskrzesały. Obraz z razu przyjemny, ale nakoniec dręczący, bo sprawujący odurzenie. W téj sali nie było ani sof, ani krzeseł, tylko mnóstwo chojdałek, wiszących w rozmaitych kierunkach. A jeżeli jaki gość znużony usiędzie na jakiejś chojdałce, natychmiast jakieś postacie, w różnych kształtach unoszące się w powietrzu, przyskakują do niego, żeby go kołysać, co raz silniéj, dopóki nie zaśnie.

W życiu mojém nie widziałem bogatszych i smakowniejszych odzieży jak te, które nosiły te powietrzne posługacze. Jedni mieli zbroje i szyszaki srebrne, tak połyskujące, że mogłyby nocne ciemności rozwidnieć. Na ich puklerzach widać było godła sławy i miłości, w rękach trzymali gałęzie laurowe, któremi opędzali muchy od tych, co na chojdałkach spoczywali. Drudzy w długich płaszczach, z brodami przypruszonemi szronem, unosząc się poważnie nad innemi chojdałkami, kołysali je w takt, przesuwając przed oczyma tych co ich brali w opiekę jakieś księgi tajemnicze, a tak prędko, że nie było możności w nich czytać, i

nie przestawali nad ich głowami powtarzać: „Mądryś, mądryś! zaszczycie narodu, który cię na świat wydał, a który ciebie zapoznaje,“ pokąd znużeni tym jednogłosym szmerem nie zasypiali. Inni, w odzieży z różnobarwnych sztuczek uszytéj, jedną ręką kołysali chojdałkę, a drugą podawali temu co na niéj siedział pargaminy oprawne, na których okładce były zapisane złotemi literami tytuły rozmaitych projektów dla urządzenia i uszczęśliwienia narodu, dopóki ukołysany nie zasnął. Wtedy przez sen dawał groźnie rozkazy, nakazywał milczenie, widać było iż marzył, że został piérwszym ministrem. Gęba mi by się nie zamknęła, żebym opowiedział to wszystko, na co wtedy patrzałem.

I tak: Jeden z chojdających się, siedział zamyślony w sukni złotem szytéj. Zdawał się być pogrążonym w smutku, a jednak, ile razy ktokolwiek do niego się przybliżył, kłaniał mu się piérwszy z wielką uprzejmością w poruszeniach, i z uśmiéchem na uściech. W tém pokazała się na powietrzu unosząca się figurka królewska, bo miała na główce koronę, w ręku berło i była obwiniętą w płaszczu z karmazynowego aksamitu, gronostajami podszytym. Jak ją spostrzegł galonowany, chciał zaraz wyskoczyć z swojéj chojdałki. Ale osoba królewska tego nie dopuściła, i sama skoczyła na chojdałkę, żeby usiąść obok niego. Potém zarzuciła ramię na jego szyi, i zaczęła coś mu szeptać do ucha; chojdałka niezwykłego ruchu nabrała. Figurka

zniknęła, ale siedzący na chojdałce zupełnie się odmienił. Rysy jego twarzy zrobiły się wyrazistszemi, ciało stało się jakby opuchłe nadęciem. Już nikomu się nie kłaniał, owszem, kto tylko do niego śmiał się przybliżyć, wnet ofukniętym został, a kto się odważył przed nim otworzyć usta, zamiast odpowiedzi, groźne spojrzenie otrzymał. Aż nakoniec zasnął, nosa do góry zadzierając.

Daléj siedział na chojdałce, a raczéj leżał, starzec. Jego nogi obwinięte były w plastry, twarz pomarszczona, głowa obnażona z włosów, pokrytą była kupną młodocianą czupryną. Wonne balsamy któremi był oblany, nie mogły zwalczyć nieprzyjemnych wyziewów jego ciała. Stękał, jęczał, można było spodziewać się, że strupieszały starzec lada chwila zamieni się w zupełnego trupa. W tém przyskoczyła do niego dziewczyna miłości, Bajaderka z ognistém okiem, z wiośnianym rumieńcem. Odzież jéj więcéj zdobiła niż okrywała jéj członki. Pusta dziewczyna skoczyła na kolana starca; lekka jak piórko, ani uraziła schorzałych kolan, i na czole porytém i pożółkłém starością i chorobą, położyła pocałunek rozciągły, a tak głośny, że odgłos jego odbił się po całkowitéj sali. Po czém zarzuciwszy nagie i zaokrąglone ramiona na szyi już gasnącego starca, przytuliła jego twarz do swoich obnażonych piersi. Starzec zdawał się być orzeźwionym. Wyprostował się na swojéj chojdałce, uśmiechnął się lubieżnie do swojéj Bajadery, a z uśmiéchem

ślina gęsta i brudna pociekła z jego rozdziawionéj gęby. Usta zwiędłe i obrzydliwe, szukały ust świéżych i wonnych jak majowe wyziewy. W tém Bajadera, śmiejąc się na cały głos, zeskoczyła z jego kolan i znikła. Starzec zaczął jęczeć przeraźliwie, i padł bez czucia na kiwającéj się aż pod pułap chojdałce.

Daléj widziałem następną scenę. Na jednéj wzniesionéj chojdałce siedział jakiś król, jak mógłem osądzić po jego ubiorze. Wielu ludzi bogato ubranych klęczało u nóg jego. Na skinienie króla, jeden z jego dworzan podał mu złote naczynie, kilka słomek, kawał mydła i wodę letnią w kubku złotym, ozdobnym drogiemi kamieniami. Król sam rozpuścił mydło, i zaczął robić bańki. Co téż za szmer powstał między jego dworzanami na widok latających baniek! Każdy, królewskie nogi całując, prosił o bańkę.

Jeden z tych dworzan prowadził za rękę niewiastę rzadkiéj piękności. Król na nią zdawał poglądać pożądliwém okiem. „Królu, rzekł jéj przewodnik, o to jest moja żona, która przed kilku tygodniami na jednym balu dworskim miała szczęście twoją królewską uwagę ku sobie zwrócić. Trzy lata zalecałem się o jéj rękę, a dopiéro drugi księżyc jak ją dostałem. Daj mnie ,Najpotężniejszy Panie, bańkę, a ja chętnie jego Majestatowi odstępuje wszelkich praw, jakie mam do niéj.“ — Drugi, który to słyszał, a prowadził pod ręką dziewicę nadobną, a tak skromną, że ciągle trzymała oczy spuszczone, był mężem podżyłym. Odezwał

się: „Niezwyciężony i Najjaśniejszy Panie! Czy to jest godną ciebie ofiarą, ze strony poddanego, kiedy ci oddaje to, co już sam miał w użyciu? Oto masz moją córkę, łagodną jak synogarlica, niewinną jak fiołek, nadobną jak jutrzenka. Weź ją sobie, Królu! umieść ją między twojemi nałożnicami, a nie odmawiaj wiernemu i staremu słudze téj barwistéj i iskrzącéj bańki, co ją masz teraz na końcu swojéj słomki."

Inny, na którego obliczach wyrytą była chciwość, przynosił ze sobą znaczną część swoich skarbów, uzbieranych pasmem nieprawości. Od lat pięćdziesięciu był urzędnikiem, miał czas do nieczułości zatwardzić swoje sumienie. Otóż ten zastarzały obłudnik, od którego trudno było z worka szeląg wyciągnąć, przynosił do podnóża tronu nie małą część swoich zbiorów, wydzierał sobie jakby wnętrzności, żeby za taką ofiarę Król mu się wywiązał wiotką bańką! — A wieluż w mojéj przytomności oddawało chętnie życie Królowi, dla dostania bańki, któréj zaledwo dotknęli, zaraz i pękła."

— „A to szczęśliwy Pan, ten Król!" Wykrzyknął Sułtan. „Nic nie daje tylko mydlane bańki, a wierni poddani za nie mu przynoszą żony, córki, skarby, życie. To coś lepiéj niż u nas, Wezyrze! Co każdego sługę trzeba nagrodzić nie tylko póki żyje, ale i po jego śmierci nawet, i to nie bzdurstwem; choć Bogiem a prawdą, ledwo dziesiąty między moimi sługami rzeczywiście pracuje, a dziewięciu opłacam jedy-

nie dla tego, że w mojéj służbie żyją. Żeby to można było wszczepić w Damaszku tę pożądliwość do baniek mydlanych, które wypuszczać będę! Wezyrze, wnieś do tego projekt mojéj radzie, a ja chcę być przy jéj rozprawach."

— „Najjaśniejszy Panie," odpowiedział Wezyr, „Twoi wierni poddani o to się ubiegają, żeby wolę twoją spełniać, a przynosząc wszystko w ofierze swojemu Panu, o żadnéj nagrodzie nie myślą. Nawet ten żołd, co go twoi słudzy pobierają, nie jest w skutku ich domagań, ale łaski twojéj. Dziś odejm im ten żołd, a oni z równą wiernością i jutro służyć będą. Żaden służby nie porzuci, i zaręczam, że darmo służąc, jakoś dadzą sobie radę przy Bożém błogosławieństwie, że na niczém im zbywać nie będzie."

— „Ba" odparł Sułtan, „wy wszyscy ciągle mnie powtarzacie, że jedynie z miłości a nie dla korzyści osobistych mnie służycie. Ale ja temu gadaniu albo wierzę, albo udaję że wierzę. To moja rzecz. To tylko powiem otwarcie, że wolałbym żeby mnie urzędnicy mniéj kochali, a mój lud więcéj. A co się tyczy tych baniek, musisz na to pozwolić, Wezyrze, że to jest wielki wynalazek! Nazarejczyku, wielceś mnie dziś ubawił twojém opowiadaniem. Wiele ciekawych rzeczy i widziałeś i doświadczyłeś! Już to, czy ty po szczéremu mówisz samą prawdę, czy do niéj coś z własnego konceptu domieszujesz, chyba jeden z dziewięciu Proroków to pozna. Mniejsza z tém, mów da-

léj, Nazarejczyku, bo tak w swojéj relacyi zabrnąłeś, że wielkiéj sztuki dokażesz, jeżeli z niéj wybrniesz.“

— „Najjaśniejszy Panie, jeżeli Wasza Sułtańska Mość mnie nie wierzy, to pocóż mam postępować w mojém opowiadaniu. Właściwiéj mnie milczéć, niż kłamać przed Panem Panów.“

— „Za gorąco przyjmujesz Nazarejczyku, to co ci mówię; zwyczajnie żeby mówić, abyś nie myślał, że spię kiedy mówisz. Bo to nie z jednym mi się zdarza, ale nie z tobą. A że ciebie słucham, muszę się zdobyć na jakąś uwagę... Mów, niewolniku, co ci ślina do gęby przyniesie; a ja ci z góry zapowiadam, że uwierzę to wszystko, co mi opowiesz. Ażebyś nie wątpił, żeś umiał mnie zająć, Teftedar! dziś nie pięć, ale dziesięć kies wręczysz niewolnikowi Hanula. Czy słyszysz, Nazarejczyku?“

Paź padł czołem o ziemię przed Majestatem Sułtańskim.

— „Powstań, powstań!“ rzekł Sułtan „i mów daléj; ciekawy jestem dowiedzieć się, co się działo z tobą w tym pałacu.“

— „Najjaśniejszy Panie, napatrzywszy się wielu podobnym zjawiskom, spostrzegłem wolnym krokiem wlokącego się starca. Tak był obciężony workami napełnionemi pieniędzmi, że ledwo mógł się ruszać. A było widać po jego zszarzanéj odzieży i po jego połataném obuwiu, że bardzo mało miał potrzeb, jakem się późniéj z jego własnych słów przekonał. Oprócz

tych worków, które omal że nie były z nim zrośnięte, posiadał zamki, wsie, żyzne i rozciągłe pola uprawiane przez tłumy niewolników, a miał siebie za najuboższego nędzarza. U siebie tylko chlebem i cebulą się żywił. Żeby go czasem jaki sąsiad na obiad nie zaprosił, w nadziei, że mu pożyczy jakąś kwotę pieniędzy (nadzieja, która zawsze zawodziła), nie miał by wyobrażenia o najmniejszym wyrobie kunsztu kucharskiego. A żył w ciągłéj obawie, żeby jego majątek do śmierci mu wystarczył, i żeby nie umarł z nędzy. Z taką nieufnością w przyszłość, tarzał się po skarbach swoich, które codziennie wzrastały, że ciągle marzył, że nie ma czém zaspakajać piérwszych potrzeb życia. Był to jeden z tych ludzi, co przez całe życie wskazują siebie na najdotkliwsze ubóstwo, żeby po ich śmierci o nich mówiono, że byli bogatymi. Posuwał się ten rzeczywisty nędzarz, bo swoich skarbów nie był władzcą ale niewolnikiem, spozierając chciwym wzrokiem na to wszystko, co było złotem i śrebrem w tym pałacu; a że był znużony, i że za wypocznienie w chojdałce nie wymagano opłaty, wlazł w nią, opiérając się na swoim sękowatym kiju. I zaczął krzyczéć: „Pieniędzy, pieniędzy! Kto w Boga wierzy, niech mnie da pieniędzy!“ Ledwo to wyrzekł, dwaj murzyni do jego chojdałki przyskoczyli, i zaczęli ją gwałtownie kołysać. Ich postać była szkaradna, mieli skrzydła nietoperzy, języki wiszące do piersi, oczy zakrwawione, i jakiś uśmiech szyderczy, tak okro-

pny, że aż dreszcz po mnie przechodził. A na domiar tych wdzięków, gęsta i cuchnąca para wychodziła im z ust. Starzec z razu okazał przestrach; ale jak murzyni podnieśli sażnisty wór, i jęli na niego wytrzęsać z wora złote pieniądze, wyraz przeraźliwéj radości ale razem niczém nienasyconéj żądzy zakwitł na jego obliczach. Murzyni skrzydłami swojemi poruszali powietrze, chojdałka kołysała się z niewypowiedzianą szybkością, a tymczasem pieniądze sypały się a sypały na zgrzybiałego skąpca, który w tym pędzie to palcami, to kolanami, to gębą je chwytał, i robił najdziwaczniejsze pantomimy. Ale co uchwyci jaką garść złota, ta natychmiast zamienia się w pajęczynę, tak, że od stóp do głowy został okryty pajęczynami jak grobowiec. Ale on tego nie uważał za brud, tylko chwytał a chwytał, póki na koniec w tém kołysaniu oczy mu się nie skleiły....

Co do mnie, odurzony tém wszystkiém na co patrzałem, znękany widowiskiem tych rozmaitych scen tak szybko przesuwających się przed mojemi oczyma, że z wielką trudnością mogłem się im przypatrzyć, uczułem się zmęczony do tego stopnia, że już chwiać się zacząłem na omdlałych nogach. Spostrzegłem próżną chojdałkę i na niéj usiadłem. Zaraz kilka postaci, w różnych kształtach i odzieniach, przyskoczyło żeby chojdałkę kołysać. Te osóbki tak szybko jedne drugie luzowały, a do tego były tak nieforemne, że nad niemi nie mogłem robić spostrzeżeń. Nie spa-

łem, bo miałem oczy otwarte, i samopoznanie mojego bytu; a jednak wszystko przesuwało się przedemną,... jakbym był w śnie gorączkowym. Walczyłem z sobą, opiérałem się snowi, który mnie przygniatał; usiłowałem wyskoczyć z chojdałki, w tém stanęła przedemną Galinda. Jedną rękę oparła na krawędzi chojdałki, drugą wzięła mnie za rękę. Nigdy nie wydała mi się tak piękną. Miała na sobie sukienkę z tkanki cienkiéj i przezroczystéj jak pajęczyna, w któréj igrały najżywsze barwy. Zgrabność i wdzięki Galindy zawsze były wyższe niż możność ich należytego opisania; ale nigdy nie widziałem w niéj ani takiego zaokrąglenia w ramionach, ani tak wabiącego spojrzenia, ani tak ujmującego głosu.

„Paziu złotowłosy, rzekła do mnie, utopiwszy we mnie wzrok zwilgotniały żądzą miłości. Czyż już zapomniałeś twojéj Galindy? Jeżeliś się dla niéj nie zmienił, jeżeli jeszcze zachowujesz pamięć mojego przywiązania, usłyszysz z przyjemnością co ci objawię. Żebym ciebie mniéj kochała, nigdy bym tobie nie przebaczyła, żeś się dał uwieść pozorom, myśląc że moja ochmistrzyni napawała ciebie pieszczotami. Ta dobra kobiéta poświęciła się dla mojego bezpieczeństwa, dla mojéj sławy. Ona mnie wyprowadziła zręcznie, skoro usłyszała stąpanie mojego ojca, i moje miejsce zajęła, ale ze mną, jedynie ze mną byłeś szczęśliwy!.... Tyś moim kochankiem, moim mężem, moim panem. Odtąd dla siebie tylko żyć będziemy. — Patrz, jak

szaleję za tobą! Opuściłam ojca, dostatki, rodzinny zamek; a nie zrobiłam żadnéj ofiary, bo to wszystko jest dla mnie niczém bez ciebie! Chatka i twoja miłość, a zawsze będę szczęśliwą.“ — Tu siadła na moich kolanach, chojdałka jak najchyżéj zaczęła się kołysać, — a ja byłem w ciągłém zachwyceniu. Nakoniec odezwała się powtórnie temi słowy: „Chodź, paziu miły, mój drogi, mój mężu, mój panie! Idź ze mną, niech ci pokażę ile ciebie miłuję.“ Skoczyła z lekka z moich kolan, ja za nią, i splotszy nasze ramiona unosiliśmy się po powietrzu, oddalając się od sali. Drzwi po drzwiach otwierały się przed nami. Utopiony w Galindy wdziękach, nic oprócz niéj nie widziałem. Aż odkryła się przed nami komnata bogato przybrana, a oświecona wiszącemi diamentami, które blaski równe dziennym rozsiewały; bo już było po zachodzie słońca. Na środku téj komnaty było łoże małżeńskie, ozdobione złotemi godłami przecudnéj roboty, a na niém puchy i jedwabie. Galinda usiadła na łóżku, przyciągnęła mnie ku sobie, i wzięła mnie w swoje objęcia. Byłem najszczęśliwszym z ludzi. Topnąłem w ogniach miłości i rozkoszy.....

W tém dał się słyszeć huk — wszystko w około mnie kręcić się zaczęło, jakby w wirze. Galinda zniknęła, cały pałac runął na mnie. Przez czas jakiś wszystkie zdolności umysłowe odstąpiły odemnie. Po tém przebudziłem się jakby ze snu dręczącego; otwiéram oczy, wracam do przytomności, widzę że

leżę na przemokłéj ziemi, raczéj w bagnie smrodliwém. Czuję że trzęsę się z zimna, że jestem osłabiony głodem, i sam nie wiem co z sobą rozpoczynać."

— „Masz! odezwał się Sułtan." To wszystko tobie się śniło! a czy wiész, niewolniku, że kazałem ciebie przyprowadzić na to, żebyś mnie opowiadał zdarzenia twojego żywota, a nie na to żebyś mnie zajmował twojemi snami."

— „Nie, Najjaśniejszy Panie; nie był to sen. Wszakże wątpić nie mogłem, że czarownica wyzwoliła mnie z więzienia, że na miotle wędrowałem z nią między gwiazdami, że byłem w pałacu."

— „A to prawda! Musiałeś być w pałacu Eblisa, gdzie wszystkie postacie są kłamane. Bo Eblis ciągle robi sobie igraszki z tych, których wielki nasz prorok szczególną opieką nie zasłania. Nie prawda, Wezyrze! że tak mnie nauczał mądry Hafiz, co go nieboszczyk aż z Korduby dla mnie sprowadził. On coś był na kształt tego, co w pałacu Eblisa przesuwał pargaminy, na których były zapisane złotemi literami projekta dla uszczęśliwienia ludów; on wiedział co było, co jest, i co będzie; a jednak nie dowiedział się nigdy o tém co my wszyscy wiedzieli, że jego żona ciągle go oszukiwała, i to w najprostszym sposobie. Pamiętasz, Wezyrze, jak on nam dowodził aż do naprzykrzenia, że niewstrzemięźliwość w pokarmie, jest rzeczą bydlęcą a nie ludzką? a sam umarł prze-

ładowawszy sobie żołądek wątrobą hipopotama!....... Tymczasem do jutra sprawa. A ty, Teftedarze, nie zapomnij dać temu niewolnikowi co ci rozkazałem.... Zostawcie mnie niewolnicy!“

V.

Piątego wieczora paź tak zaczął:

— „Najjaśniejszy Panie, noc była późna, ale jak oczy wzniosłem do góry, dziwną rzecz spostrzegłem. Po prawéj stronie niebo było rozwidnione, bo mu przyświecały gwiazdy, o kilka razy na sób jaśniejsze niż zwyczajnie. Po lewéj niebo było zupełnie ciemne, bo chmury gęste i czarne były na niém rozpostarte. Spuściwszy oczy do ziemi w około siebie, od téj strony gdzie niebo było rozjaśnione, spostrzegłem scieżkę ciasną i krętą, od strony zaś ciemnéj pokazała się droga tak szeroka, że kilka pojazdów obok siebie mogło by się po niéj toczyć wygodnie. Po prawéj stronie stał przed drożyną pielgrzym z brodą długą i białą, z postacią sędziwą, po lewéj był rycerz w czarnéj zbroi, trzymający za cugle konia dziwnie pięknego, także czarnego, w pełnym modelunku.

— „Młodziencze, odezwał się pielgrzym, lituję się nad tobą. Podaj mi rękę, a ja ciebie wyprowadzę na miejsce bezpieczne.“ — „Nie słuchaj tego dziada, odrzekł rycerz. Wolisz mnie podać rękę. Jużci wy-

godniéj na koniu odbyć podróż, niż męczyć się pieszo z tym ciemięgą.“

Pielgrzym: „Patrz jak od mojéj strony gwiazdy Najwyższego sieją blaski, ze mną zbłądzić nie możesz.“

Rycerz: „Prawda że od mojéj strony ciemno. Ale lepiéj konno, choć po ciemku, postępować po szerokim szlaku, nie tak stromą scieżką drapać się choćby wsród dnia.“

Pielgrzym: „Ty jesteś zgłodniały i znużony, dam tobie pokarm i odpoczynek.“

Rycérz: „Na odpoczynek każe ci z sobą pielgrzymować! a co do zywności, ciekawy jestem czém ciebie nakarmi ten, co sam żyje korzonkami i napawa się wodą, jak bydlę; ze mną pójdziesz wierzchem, a mój rumak tak lekko nosi, że na nim mógł byś bezpiecznie zasnąć. Głód swój zaspokoisz po rycersku, a nie po pielgrzymsku. W gospodzie, przed którą ten rumak stanie, znajdziesz stoły zastawione najsmaczniejszemi potrawami, gdzie tobie nadobne dziewczęta usługiwać będą.“

Pielgrzym: „O biedny paziu! z błędów w błędy się zapuszczasz; zamiast do Boga, udałeś się po wsparcie do obrzydłéj czarownicy, a ta nie przestaje z ciebie się naigrawać. Daj mi rękę, a będziesz szczęśliwy.“

Rycérz: „Nie dasz siebie oszukać przez tego żebraka, szlachetny paziu! Wyrzuca tobie żeś użył pomocy czarownicy. A cóż! miałżeś się żenić z starą

babą, lub zgnić w kajdanach? kiedy on tak dobry, czemuż w ten czas ciebie nie ratował? Chodź do mnie, daję ci słowo rycerskie, że zrobię ciebie szczęśliwym. Wszakżeś szlachetnie urodzony, prędzéj uwierzysz rycerzowi, niż pielgrzymowi, który z tego żyje, co u prostaczków wydrwi.“

Pielgrzym: „Biedny paziu, nie opieraj się moim prośbom, a jeżeli drożyna, przez którą ciebie zaprowadzę, wydaje ci się ciasną i skalistą, ledwo po niéj z odwagą kilka kroków uczynisz, coraz stanie ci się szérszą i wygodniejszą.“

Rycérz: „O prawda! myśli że natrafił na głupca, który mu zaraz i uwierzy. — Ty przecie dworak paziu. Wszyscy podziwiają twój dowcip. Nie dasz się złowić na miękisze, jak młody wróbel. Siadaj na konia, co go ci podaję, jak szlachetny młodzieniec, a nie jak wyrobnik, co pieszo paść musi nierogate bydło. Aż mi wstyd za ciebie, że tak długo słuchasz tego fixata. Siadaj na konia, czeka na ciebie uczta.“

Pielgrzym: „Jużeś bywał na ucztach tego obłudnika, a po nich sytym nie byłeś.“

Rycérz: „Zawsze są one lepsze od twoich korzonków. Piękny paziu, pogłaskaj przynajmniéj mojego rumaka. Patrz jaki z niego zwiérz szlachetny.“

Pielgrzym: „Co robisz nieszczęsny! nie dotykaj się tego konia, bo jak się do niego zbliżysz, nie wytrzymasz, i zaraz zechcesz go mieć pod sobą; a nie wiesz gdzie on ciebie zaniesie.“

Rycérz: „Uważasz, jak dziad ciebie krzywdzi! albo ty, jak on, nie szlachcic, żebyś nie umiał kierować koniem?“

Najjaśniejszy Panie, jestem Lechitą i szlachcicem; u nas koń jest wszystkiém. Nie umiałem oprzeć się chęci przynajmniéj jego pogłaskania. Bo téż to był koń tak piękny, tak zgrabny! Jakżem go pogłaskał, zapomniałem o świecie. Co za sukienka! jaka długa szyja! jaka odsada ogona! co za ród! skoczyłem na niego, żeby go przypuścić, i na miejscu osadzić po naszemu. Pielgrzym zajęknął i zniknął; rycerz parschnął przeraźliwym śmiechem i także zniknął. Koń rzucił się ze mną w lewą stronę i szerokim gościńcem, pędem strzały, leciał, a tak lekko nosił, że żadnego poruszenia nie czułem.

Nie wiem ileśmy czasu ubiegli, kiedy stanął przed pałacem tak oświeconym, że wydawał się być w ogniu.“

— „To już zupełnie jak w bajkach“ przerwał Sułtan. „Ile razy potrzebujesz spoczynku, zaraz i pałac staje na zawołanie.“

— „Bo téż on tylko same bajki plecie“ dorzucił Wezyr. „A ktoby podobnym baśniom uwierzył?“

— „Kiedy jaśnie wielmożny Wezyr mnie zarzuca, że się odważam kłamać przed Najjaśniejszym Panem, już nie mam odwagi postępować w mojém opowiadaniu, bo nierównie dziwniejsze rzeczy mam przed sobą. Nic mi nie pozostaje jak milczéć i odejść“ rzekł paź.

— „I owszem, mów, Nazarejczyku, a nie uważaj na to co sobie Wezyr przebąkuje. Byle ja tobie wierzył, o innych nie dbaj. Nic potém odezwałeś się, Wezyrze, jakby żak, co wszystkiemu przeczy, myśląc że przez to uchodzić będzie za mądrego. A czyż dziwniejsze nie bywają rzeczy na świecie? Na co daleko szukać! Ty masz ośmdziesiąty siódmy rok, Wezyrze, a przeszłéj jesieni pięcioro dzieci tobie się urodziło! a jak mówisz wszystkie do ciebie podobne. Wszak prawda Wezyrze?“

Wezyr skłonił się do ziemi.

— „To coś nie mniéj dziwnego od tych pałaców! No słucham daléj.“

„Skoro koń stanął przed krużgankiem tego pałacu, zeskoczyłem z niego; ale tylko huzda została w moim ręku, bo koń niewiedzieć gdzie się podział. Cisnąłem za sobą huzdę i jąłem oglądać to co było przedemną. Spostrzegłem przy wejściu do pałacu trąbkę wiszącą na łańcuchu, a że umiałem grać po mistrzowsku na każdém narzędziu muzyczném, zatrąbiłem marsz króla Piasta z Kruszwicy do Gniezna. Takem się zatrąbił, że ani zauważyłem jak podwoje się rozwarły. Skończywszy granie, wchodzę do sieni obszernéj. Ale jakżem się zadziwił tém co się przedstawiło przedemną! widzę stojącą wartę pod bronią, ale z jakichże żołnierzy? oto z kotów nadzwyczajnego wzrostu, w mundurach białych z żółtemi wyłogami, w dużych stósowanych kapeluszach na głowach,

a z halabardami w rękach! Na kapeluszach były zszyte mysze uszy w kokardę. Miały szérokie bóty z palonéj skóry. A kot oficer, jak uważałem, gdyż stał przed wartą ze szpadą, a nie jak inne z halabardą i nosił mundur wyszywany srebrnemi sznurkami, nosił na piersiach, na łańcuszku stalowym, skórkę ogromnego szczura, a trochę niżéj, także na łańcuszku, ogon wiewiórki.

Gdy stanąłem u warty, nieco przestraszony, żołnierze warty podnieśli halabardy nad głowami, poczém spuścili je do prawéj nogi z hałasem, i razem tupnęli lewą nogą; a jakby do wtóru tentent dzwonków dał się słyszeć, bo trzeba wiedzieć, że każdy kot u lewego bóta miał przyczepione gruchawki mosiężne. Kot ozdobiony znakami honorowemi na piersiach, który widać, że miał zwierzchność nad wartą, wziął szpadę w obie łapki, i podniósł ją wyżéj kapelusza. Ochłonąłem z bojaźni, bo poznałem, że to wszystko było oznaką czci dla mnie wymierzonéj. Zwłaszcza tupanie nogą o tém mnie przekonało, bo i u Wojewody, mojego Pana, giermkowie od warty podobném tuptaniem witali starszyznę, tuptając dłużéj lub króciéj, w miarę stopnia tego, którego uczcić trzeba im było. Ale grzechotki do bóta przyczepione wydały mi się wielkim wynalazkiem, bo od dzieciństwa czułem w sobie ducha wojowniczego.

Z tych sieni schody, nieco strome, prowadziły do wyższego piętra. U nóg tych schodów stały na

warcie, jeden od prawéj drugi od lewéj strony, dwa koty uzbrojone i umundurowane, wzrostu nie równie wyższego niż te koty, które dopiéro mnie powitały. Każdy z nich mógł by stanąć przynajmniéj na lewém skrzydle jańczarów Waszéj Sułtańskiéj Mości. I te szyldwachy oddały mnie wojenne honory, kilkakrotném tuptaniem nogą z grzechotkowym wtórem. Kot grenadyjer, po prawéj stronie schodów stojący, coś zamiauczył i halabardą wskazał mnie schody. Postąpiłem po nich śmiało aż do drzwi, do których one prowadziły, i silnie w nie stuknąłem. Podwoje się otworzyły, i pokazały mi przedpokój dobrze oświécony. Wchodzę i zastaję kilka kotów zwyczajnego wzrostu, grających z sobą w kości. Ubrane były coś nakształt ikoglanów Waszéj Sułtańskiéj Mości, tylko ich suknie nie były tak wesołéj barwy, i zamiast gindżałów wyglądały im z pasów sztuczczyki. Wszystkie razem zeskoczyły z stołów, na jakich siedziały, mnie otoczyły, i zaczęły częstować cukierkami, które wysypały z swoich stuczczyków. Ja, że u wielkiego dworu nabyłem polityki, podziękowałem za cukierki, ich nie przyjmując, a tylko uniżenie im się kłaniałem; ile że mnie zgłodniałemu, cukierki nie na wiele by mi się przydały. Pokazałem drzwi dalsze, dając im jak mogłem do poznania, że radbym siebie przedstawić gospodarzowi tego pałacu. One mnie zrozumiały, bo skacząc i miaucząc wybiegły ku dalszym drzwiom

gdzie poruszyły jakąś sprężynę, a drzwi natychmiast się otworzyły.

Wszedłem do salonu bardzo eleganckiego, w około oświeconego kienkietami. Przy ścianach stały sofki i kanapki, a na nich siedziały kotki ubrane po damsku, w czypeczkach lub kapelusikach najgustowniejszych, w sukniach z bogatych materyj. A między temi sofkami i kanapkami wznosiła się jakby stolica, kotka całkiem w bieli odzianą, w czypeczku z brabanckiéj koronki, okryta białym płaszczykiem aksamitnym, siedziała na tém wywyższoném krześle, do którego siedmu stopniami przybliżać się trzeba było. Zauważyłem że dama-kotka, siedząca na tym niby tronie, miała na szyi sznurek pereł większych niż orzechy laskowe, na łapkach przednich rękawiczki bieluteńkie, z bransoletkami, a na tylnich meszciki z białego safianu. Wydała mi się kotką wcale piękną.

Właśnie w ten czas stała przy niéj kotka także ładniutka, w sukni jedwabnéj cętkowanéj czarno i czerwono, i ta jéj podawała perfumy. Po woni poznałem że to był spirytus rezedowy, pachnidło w ówczas wszędzie w wielkiéj modzie. Skłoniłem się trzy razy na pierwszym stopniu, prawie aż do ziemi, przed jéj królewską mością; a ona uśmiechnąwszy się, coś zamiauczała wdzięcznym głosikiem, odemnie naturalnie nie zrozumianym, i dała znak żebym po wyższych stopniach do niéj się zbliżył. Na to hasło powoli zacząłem stąpać po stopniach, pilnie przestrzegając pra-

widła etykiety dworskiéj, która mniéj więcéj wszędzie jest taka sama. Na każdym stopniu niziuteńko się ukłoniłem, a na najwyższym ukląkłem na oba kolana. Kotka-królowa zsunęła z prawéj łapki rękawiczkę i podała mi łapkę obnażoną. Kiedy zawsze klęcząc, przybliżyłem ją do ust, uczułem że moją rękę z lekka ścisnęła. Ale raptownie wyrwała łapkę z ręki, i wzięła siebie za nosek, coś miaucząc do jaśnie wielmożnych kotek swojego orszaku. Nie małéj doświadczyłem konfuzyi, bo pomiarkowałem iż musiałem cuchnąć, i nic dziwnego, że nie umywszy się po mojém runieniu z pałacem w błotniste i smoliste bagno, nie musiałem być pachnącym.

Jedna kotka sztacdama, i sześć kotek frejlin (jakem się późniéj dowiedział o ich godności) zeskoczyły z swoich sofek, przystąpiły do mnie, i dały mi znak, żebym wyszedł z niemi. Przeprowadziły mnie przez kilka pokojów, ciągle zatykając sobie noski łapkami. Tak byłem upokorzony tą oznaką wstrętu, że już nic nie widziałem około siebie. Aż wąziutenkiemi schodkami spuściły się ze mną do łazienek, gdzie zastałem wannę a nad nią dwie rur z smoczkami. Frejliny zakręciły smoczki, wanna napełniła się wodą letnią i pachnącą. Frejliny wzięły się do mojego rozbiérania, a tak zgrabnie, że żaden król nie był lepiéj usłużonym. W okamgnieniu stanąłem takim, jakim mnie moja matka na świat wydała. Zanurzyłem się w wannie, a moje kotki w około mnie stanęły, oparte jedną

łapką o wannę, a w drugiéj trzymając jedna barskie mydło, druga dzbanek z pachnidłem, trzecia nożyczki do obcinania paznogci, czwarta szczotkę do włosów i grzebień, piąta gąbkę, szósta jakąś maść wonną, a sama sztacdama nie opierała się na krawędzi od wanny, ale o kilka kroków za frejlinami, w obu łapkach trzymała prześcieradło z szwabskiego płótna.

Kotki powtórnie wzięły się do mnie, kiedy wyszedłem z wanny, po wypluskaniu się należytém. Sztacdama obwinęła mnie w prześcieradło, a kotki frejliny zaczęły mnie obcierać. Potém jak się wzięły do perfumowania mnie, a maszczenia, a czesania, nakoniec położyły na miękkiéj pościeli, i nakryły bawełnianą kołdrą, ażebym się nie zaziębił. Kotka sztacdama otworzyła szafę w ścianę wpuszczoną, i wyjęła z niéj świeżą odzież dla mnie. Kotki jak zgrabnie mnie rozebrały, z niemniejszą zgrabnością i ubrały. Włożyły na mnie tunikę białą, zacisnęły ją wyżéj bioder pasem wązkim pąsowym, a na to zarzuciły płaszcz aksamitny pąsowy, także złotem wyszywany, i spięły go na prawém ramieniu agrafą złotą, na któréj błyszczał mdłém światłem kamień, co go jubilery nazywają kociém okiem, a drudzy żabińcem. Nie zapomniały nałożyć na moje nogi mesztów, takiéj barwy jak płaszcz i pasek. I dały mi znak, żebym za niemi wrócił do ich pani. Podniosłem głowę dumnie, bo czułem że musiało mi być do twarzy. Jak by nie było, Najjaśniejszy Panie, a bogaty i smakowny ubior

przynajmniéj o dziesięć razy podnosi wartość człowieka. Żałowałem tylko, że nie było zwierciadła, bo miałem niepohamowaną ochotę, w niém siebie zobaczyć. Ale cóż! one ze mną, a ja z niemi byliśmy jakby na niemieckiém kazaniu; ledwo może przez setne mogliśmy siebie rozumieć.

Tak tedy przebrany, i woniejący jak balsam Yemenu, poszedłem za mojemi przewodniczkami do bawialnego salonu, i w całéj okazałości, za rozkazem królowéj, stanąłem na siódmym stopniu jéj tronu. Ona z wielką starannością i uwagą odbyła mój przegląd, obracając mnie na wszystkie strony, a ciągle coś miaucząc do swojéj sztacdamy. Coś i do mnie miauczyła, ale na nieszczęście, nie będąc obeznanym z kocim językiem, ani słowa nie rozumiałem, z czego, jak zauważyłem, zdawało się iż jéj było markotno. Z tém wszystkiém tak byłem głodny, że ledwo mogłem posiąść się z radości, kiedy podwoje otworzyły się z trzaskiem, a kot ogromny z wielkim brzuchem, z obrusem który go przepasywał jak szarfa od lewego ramienia aż do prawego biodra, z laską ozdobioną skówką kościaną, ubrany trochę z Jańczarska, trochę z Węgierska, stanął na progu, uderzył laską, tupnął nogą i coś zamiauczył basem. Poznałem albowiem, że to musiało być hasłem do wieczerzy.

W saméj rzeczy, królowa lekko zsunęła się po stopniach swojego tronu, i podała mi łapkę. Ja ją prowadziłem z głową schyloną. Jeden kot ikoglan za

nią podnaszał jéj ogonek, żeby się nie dotykał posadzki, i od niéj nie był zwalany. A wszystkie damy i panny tego kociego dworu poszły za nami. Weszliśmy do sali jadalnéj dobrze oświeconéj, gdzie najpierwéj uderzył mój wzrok stół na środku sali zastawiony niepróżnemi półmiskami. Stół był prostokątny; z przodu były dwa krzesła, jedno z nich zajęła królowa, na drugie pokazała łapką, na mnie patrząc. Poznałem, że mi rozkazywała je zająć, com i uczynił. Damy zasiadły po bokach, a koty ikoglany, z talerzami w łapkach, stały za nami, w gotowości na usługi. Siedziałem więc obok królowéj, a zaraz przy mnie, na rogu lewéj strony stołu, zajęła miejsce ta kotka w płaszczyku cętkowanym, którą poznałem i w czasie mojego kąpania, i kiedy wprzódy siedzącéj królowéj na tronie spirytus rezedowy podawała. A przy rogu od prawéj strony siedziała naprzeciwko niéj sztacdama.

Że głód był u mnie silniejszym nad wszelkie uczucie, zacząłem się przypatrywać potrawom. Ale aż ckliwo mi się zrobiło, bo na żadnym półmisku nie napadłem na nic takiego, coby poczciwy człowiek mógł przyjąć do ust, chociażby umiérał z głodu. Były tam szczury pieczone, myszy smażone, łasice czémś nadziéwane, młode zające surowe i zakrwawione, i tém podobne obrzydliwości, które towarzyszki moje, zaczynając od królowéj, łapczywie chwytały na swoje talerze i łakomo pożerały. Królowa swojemi pantominami zachęcała mnie do jedzenia, ale ja od wszyst-

kiego oczy odwracałem, ze wstrętem aż nadto widocznym. Wtedy z żywością coś zamiauczyła ikoglanowi za nią stojącemu; on pobiegł, i wkrótce powrócił z tacą, na któréj stała flasza z jakimś napojem i puhar srébrny. Ten ikoglan, był to ten sam co królowéj idącéj do stołu ogon podtrzymywał.

Królowa wzięła puhar z tacy, napełniła go napojem z flaszy, i patrząc na mnie dała mi poznać, że go spełnia za moje zdrowie. A kiedy go do ostatniéj kropli wychyliła, wszystkie kotki razem zamiauczyły, — ale tak przeraźliwie, że aż uszy trzeba było sobie zatykać. Królowa powtórnie napełniła puhar i oddała mi go w rękę. Ja powstałem, zrobiłem królowéj komplement po swojemu, i także go wypróżniłem do ostatniéj kropli, na znak czego kilka razy przewróconym puharem uderzyłem siebie po czole. Napój wydał mi się cierpkim, ale czułem że mnie orzeźwił, tak dalece, że już mnie zaczynał opuszczać wstręt od tych obrzydliwych potraw. Byłem po napiciu tego trunku w jakiémś odurzeniu. Zdało mi się, że zamiast szczurów, myszy, łasic, kociego bankietu, były same bekasy, kuropatwy, bażanty, i to wszystko truflami i różami zaprawione. Z upodobaniem zajadałem żarłocznie te wszystkie przysmaczki, jakie mi podawano. Tak byłem zajęty jedzeniem, że w około się nie obzierałem; aż dobrze się najadłszy, dopiéro podniósłem głowę, którą dotąd trzymałem schyloną nad talerzem. Spojrzałem na przedmioty które mnie otaczały. Prze-

bóg! jakież czarowne widowisko odkryło się przedemną!

Wszystkie kotki zniknęły, a na ich miejsce siedziały najpiękniejsze kobiéty, w najgustowniejszych odzieżach, a tak wykwintnego smaku, jakby na bal się gotowały. Żadna z nich nie okazywała nad lat ośmnaście najwięcéj, oprócz téj która siedziała na miejscu sztacdamy, bo ta jedna pokazywała na twarzy lat dwadzieścia ośm. Epoka krytyczna dla kobiéty z próżném sercem, i głową tylko fraszkami zaprzątniętą, bo już ponęty ciała w niéj zaczynają się skłaniać do upadku; ale błogiéj dla takiéj, która z natury otrzymała szlachetne serce, a umysł wykształciła wychowaniem nie pozorném ale rzeczywistém, gdyż w tym wieku, jeżeli kobiéta mniéj działa na zmysły, nierównie więcéj wzbudza uczucia.

Wszystkie te kobiéty były tak równe między sobą w piękności, że nie łatwo było między niemi uczynić wybór. Wszakże błąkając od jednéj do drugiéj mój wzrok, wyznać musiałem, że ta która zastąpiła królową, jeszcze była nie powiem piękniejsza ale powabniejsza od innych, bo na jéj rysach drobnych i delikatnych malował się dowcip nieco złośliwy, i wyniosłość zwyczajna tym, których rozkazy są zawsze spełniane, co wszystko wcale jéj było do twarzy. I choć te wszystkie damy były nadzwyczaj nadobne, choć każda z nich z osobna była aż nadto zdolna rozpłomienić moje serce; wabiące spojrzenia królowéj od

razu tak to serce zniewoliło, że już zostałem ślepy na wszystkie wdzięki obok mnie nagromadzone. Ledwo mi zostało tyle przytomności, żem mógł zauważyć, iż koty które nam usługiwały do stołu także zupełną metamorfozę odbyły, przemieniając się w zgrabne i gładkie chłopięta.

„Cudzoziemcze,“ rzekła do mnie królowa, przymrużając oczy, i oblizując swoje świéże usteczka, a wdzięcznie pokazując ząbki błękitnawo białe, jak farfur japoński. „Dziwi ciebie to wszystko coś widział w moim pałacu; muszę więc zaspokoić ciekawość, jaką to musiało wzniecić w tobie. Kraj, nad którym panuję, nazywa się Felistan, a jego stolica Felispol. Moje państwo graniczy z narodem zamożnym, częste wojny wiodącym z moimi poddanymi. Jego ziemia nazywa się Ratonią. Przed kilkadziesiąt laty, pod panowaniem Grubi V. mojego dziada, Ratonczykowie zawiązawszy przymierze z różnemi narodami, nawet od nas oddalonemi, rozpoczęli z nim wojnę zażartą. Mruczysław IV. Ratonii, kiedy jeszcze był następcą tronu, żył w ścisłéj przyjaźni z moim dziadem, i razem się uczyli czarnoksięztwa. Ale skoro oba zostali panującymi, ta ich przyjaźń zamieniła się w najzaciętszą nienawiść. Trzeba wiedzieć, że Mruczysław, będąc biegłym w czarnoksięztwie, umiał na wszystkich taki tuman rzucić, że gałganki z staréj bielizny, które im dawał, przyjmowano za pieniądze, i równą cenę im przyznawano, tak, że z kilku koszul podartych two-

rzył sobie skarby nieprzebrane. Tym sposobem jak zaczął wszystkich opłacać, a nawet między Feltisanami kupować zdradę, tak szczęśliwie wojna mu poszła, że w kilku bitwach zniosłszy wojska nasze, obległ nakoniec nasz Felispol, gdzie niedobitki naszego wojska się zamknęły.“

„Już nazajutrz miał szturm przypuścić do naszéj stolicy, w któréj już był rozsypał mnóstwo swoich gałganków, czém sobie w niéj utworzył stronnictwo. Ale że jego wojsko było znużone i bitwą, i długim a bez spoczynku pochodem, pozwolił mu przez dobę jedną odpocząć, i dostarczył mu żywności i napojów, żeby przez tą dobę nahulali się do woli. Grubi V., który także był czarnoksiężnikiem, dowiedziawszy się że wojsko nieprzyjacielskie i pijane i senne, zgromadził ile mu tylko pozostało wojowników, i zrobił generalną wycieczkę. Rzeź była straszna, bo Ratonczykowie nie broniąc się, dawali siebie mordować. Mruczysław, widząc że u niego wszyscy giną, i siebie i swoich żołnierzy przedzierzgnął w szczury, żeby tém łatwiéj ujść naszych pogoni. Ale mój dziad to spostrzegłszy, nie stracił przytomności, i natychmiast ze swoimi przemienił się w koty. Możesz sobie łatwo wyobrazić, jakie to było zniszczenie Ratonczyków.“

„Dość żeśmy odzyskali utracone nasze posiadłości i pod murami Ratapolu zawarli pokój, tém łatwiéj że Mruczysław poległ w postaci szczura, cofając się z pod Felispolu. Ten pokój utwierdził naszą wyższość

nad Ratonczykami, bo kilka ich prowincyjów zostały przyłączone do Felistanii. Te prowincyje od nas otrzymały prawa, i odtąd kiedy który z naszych sług zasłużonych zacznie chudnąć (gdyż między nami często suchoty grasują), oddajemy mu w zarząd jakąś prowincyją na Ratonczykach zdobytą. Bo tam powietrze jest tak zdrowe, żywność tak tuczna, że nie tylko rządcy, ale i te wszystkie chudeusze, których ztąd zabierają z sobą, wkrótce do nas powracają z ogromnemi brzuchami, i noszą się u nas z niemi, dopóki u naszego dworu na nowo nie zapadną w suchoty."

Tu przerwał opowiadanie Kislar Aga. „Najjaśniejszy Panie, już minęła pora, w któréj zwykle Wasza Sułtańska Mość udaje się do wczasu. Przestrzegając wiernie mojego obowiązku, ośmielam się przełożyć, że im późniéj nasz Pan zaśnie, tém trudniéj mu będzie jutro powitać jutrzenkę w meczecie."

— „A żebyś przepadł, niewolniku! Trzeba żebyś mnie przeszkodził słuchać tego Nazarejczyka, właśnie wtedy, kiedy moja ciekawość jest podniesiona do najwyższego stopnia... Teftedarze, dziś nic nie dawaj Nazarejczykowi, dopiéro kiedy skończy relacyję swojego pobytu w Felistanii, dam mu nadgrodę jakiéj się nie spodziéwa — rozumié się, jeżeli osądzę, że jéj koniec nie jest mniéj zajmujący niż początek. Boję się na ten raz, żebym się téj nocy doczekał snu, bo ciągle mi w głowie ta raz kotka, raz królowa, z swojemi nadobnemi dziéwczętami, albo ten król, któremu stara

bielizna służyła za nieprzebrane skarby, Mruczysław IV! Widzisz, Nazarejczyku, jak uważnie słucham co mi mówisz. Albo ta twoja kąpiel! Wstrzymywałem się od śmiechu jedynie, żeby twojego opowiadania nie przerywać. Zostawcie mnie, niewolnicy.“

VI.

— Najjaśniejszy Sułtanie! królowa daléj tak mówiła:

„Grubi V. szczęśliwie po téj wojnie lat kilka panował, a pamięć jego dotąd zachowuje się między Felistanami. W saméj rzeczy, on nietylko że rozszérzył granice kraju, ale wiele zbawiennych dla narodu ustaw zostawił. Najprzód ustanowił nagrodę wojenną, z skóry ze szczura, na pamiątkę zwycięztwa odniesionego pod naszą stolicą, którą nasi zasłużeni rycerze na piersiach noszą, i drugą wiewiórczego ogona, do którego i urzędnicy pokoju są przypuszczeni, jeżeli dowieść mogą, że w ciągu roku tysiąc razy podpisali swoje nazwiska pod zapisanemi papierami, jakie im podano, a których ani czytają, ani czytać potrzebują. W tych znakach zaszczytnych jest nie mały zachęt do gorliwéj służby. Powtóre dla ułatwienia sprawiedliwości, a zwłaszcza nauki prawniczéj, zostawił nam sto dwadzieścia tysięcy pięćset praw, i ustanowił magistraturę, dla powiększenia ich liczby, żeby na każdy bez wyjątku mogący się wydarzyć wypadek, było oso-

bne prawo. Ale najważniejszą przysługę, jaką narodowi naszemu zrobił, to że kiedy cudzoziemiec do nas zabłądzi, widzi w nas koty, i dopiéro kiedy spełni kielich za zdrowie panującego, kielich trunku co go sam wymyślił, i nauczył go sporządzać, wtedy stajemy przed jego oczyma w ludzkiéj postaci. Tym sposobem jesteśmy bezpieczni od wszelkich napadów, bo któż by chciał wojować z kotami? I od tylu lat, ty jesteś piérwszym cudzoziemcem, któryś do tego dostąpił, iż nas poznałeś jakiemi jesteśmy. A dla dopełnienia twojego szczęścia, jeżeli tego żądasz, siebie tobie oddam."

Na te jéj słowa, zerwałem się z krzesła, i padłem jéj do nóg, ledwo wierząc tak niespodziewanemu szczęściu. Królowa ścisnęła mnie w swojém objęciu, po czém kazała usiąść, żebym resztę jéj opowiadania wysłuchał.

„Po śmierci mojego dziada, mój ojciec, Grubi VI. długo i szczęśliwie panował. Miał jednak jednę wielką zgryzotę. Wszystkie swoje dzieci, oprócz mnie, przeżył, a że nie zostawił potomka płci męzkiéj, zostałam spadkobierczynią jego państw. Wedle praw naszych, tron może wpaść w kądziel, ale mąż królowéj nie jest królem, a tylko jéj małżonkiem, i do rządu państwa mieszać się nie może. *) Mój ojciec, kilka dni przed śmiercią swoją, wybrał dla mnie męża gładkiego, mło-

*) Widać że w Felistanii porządek spadku w rodzie panujących był podobny do tego, jaki dotąd istnieje w Anglii.

dego i rzadkiéj urody. Jednak w pożyciu domowém nie byłam szczęśliwą.“

„Po śmierci ojca zostałam królową. Mąż mój czuł się być wielce upokorzonym, że rada państwa nie dopuszczała go do żadnego wpływu, nawet nie pozwalała mu być przytomnym jéj obradom. On koniecznie chciał być królem, i o to między nami ciągle bywały sceny. Ja go na próżno usiłowałam przekonać, że pragnie rzeczy niepodobnéj, że panowie rada nigdy się na to nie zgodzi, żeby konstytucyja państwa zdeptaną została, że jeżeli się doczekamy syna, ten po mojéj śmierci będzie królem, ale mąż królowéj, nie będąc z krwi panującéj, przez żaden sposób tego zaszczytu nie dostąpi. On mnie bił, drapał, kąsał, i ja, panując nad potężnym ludem, byłam najnieszczęśliwszą z kobiét. Mąż mój obrzydł mnie na koniec, a wierni moi słudzy, dowiedziawszy się o utrapieniach swojéj pani, bez mojéj wiedzy gładko sprzątnęli tego dziwaka, z czego wielce byłam uradowaną. W kilka dni po mojém owdowieniu, przybyłeś. Od piérwszego wejrzenia upodobałam ciebie. Odkryłam się tobie, i zapowiadam ci, że będziesz moim małżonkiem. Ja, i to wszystko co tu widzisz i obaczysz, będzie twoje, ale pod jednym warunkiem, oto żebyś nigdy nie zapragnął, nietylko wpływać na rządy państwa, ale nawet wiedziéć co się w niém dzieje, i żebyś nigdy nie wychodził z mojego pałacu. Na tém się zasadza szczęście i bezpieczeństwo twoje.“ — Ach, pani, odrzekłem,

czy możesz wątpić, iż poddam się tak łatwym warunkom? Na co mnie się przydadzą rządy narodów, kiedy będę władać sercem najpiękniejszéj, najmilszéj królowéj? Na co mam wychodzić z pałacu, by szukać miejsca w którém ciebie nie znajdę? Ty pani jesteś wszystkiém dla mnie! żyć chcę dla ciebie jednéj, wszystko co nie jest tobą, już zniknęło z przed oczów moich.

Zostałem mężem królowéj. — Jednak w samém mojém szczęściu, jak chmura na tle pogodném, jedna rzecz czyniła mnie niespokojnym. Zostałem mężem królowéj, która mi się wydała nierównie piękniejszą niż nawet Galinda, ale nie przechodziłem przy ślubie moim przez te obrzęda, zwykle towarzyszące podobnie poważnym aktom. Nie było kapłana, ani przysięgi wierności wzajemnéj, ani wezwania wyższéj opieki. Królowa ogłosiła mnie przy końcu wieczerzy swoim mężem; sztacdamy, frejliny, i paziowie razem zaintonowali pieśń wesołą; od wieczerzy zaprowadzono nas do łożnicy. W naszym sypialnym pokoju nie zostaliśmy nawet sami. Jedna sztacdama i dwie frejliny, na łóżkach składanych, położyły się blisko nas w pełnym ubraniu. Królowa mnie tłómaczyła, że one były na służbie, na wypadek gdyby Jéj królewska Mość czego zapotrzebowała. Przyznam się, że to wszystko wydało mi się bardzo nieprzyzwoitym.

Wszakże napieściwszy się z tą, która niewiedzieć jakim sposobem została moją żoną, zasnąłem jednym snem aż do białego dnia.

Kiedy się ocknąłem, zastałem obok siebie królowę już przebudzoną. Zacząłem zgromadzać myśli moje, ale królowa była tak miła, jéj oko filutowate, tak wabiące, jéj ciało tak pulchne, tak elastyczne, jéj poruszenia tak rozkoszne, ona tak się zdawała być we mnie zakochaną, że jakem wtopił wzrok w jéj wdzięki, wszelka myśl o przeszłości, o bycie obecnym, o czasie przyszłym mnie odbiegły. Byłem odurzony, ale to moje odurzenie było nader przyjemne. Frejliny, wcześniéj od nas przebudzone, przyniosły na tacy herbatę z śmietanką i sucharkami. Było i masło świéżutenkie i bułeczki. To wszystko w naczyniach z farfuru japońskiego. Ta dama frejlina, którą poznałem w sukni czarno i pąsowo cętkowanéj, brunetka z okiem nadzwyczajnie ognistém, i cała jedném słowem prześliczna, naléwała nam herbatę, i smarowała masło na bułeczkach. Jedliśmy, jak zwyczajnie małżonkowie nowi. Bo téż to wszystko było smaczne! a w ciągu śniadania i królowa i frejlina tak szermowały dowcipem, że nieraz padłem na wezgłowie śmiejąc się z całego serca. To piérwsze śniadanie wydało mi się bardzo przyjemne.

Sztacdama podała mi szlafrok i poprowadziła do garderoby, gdzie inne frejliny zaczęły mnie ubierać. Te wszystkie frejliny co mnie ubierały były pięknutkie i swawolniutkie, a do tego kokietki czternastéj próby. To jedna, to druga, rzucała na mnie spojrzenia strzeliste, czasem niby z niechcenia obdarzała

mnie dotknięciem krótkiém, ale znaczącém. Ja na wszystko okazywałem się obojętnym. Gdzież by to mnie złamać wiarę żonie, i to jeszcze w piérwszéj dobie naszego małżeństwa! A jednak te ich zaczepki w czasie mojego ubierania były tak widoczne i tak natarczywe, że trzeba było dobrze przeciwko nich się uzbroić. One mrugały na siebie, mnie pokazując palcem, ile razy im się zdawało że tego nie widzę. Pomiarkowałem, że dwór mojéj żony nie był wzorowéj skromności. Ubranie moje trwało więcéj dwóch godzin; mojéj żony więcéj czterech. Ale co dziwnego, obok tak wielkiéj wykwintności w ubiorach, w całym pałacu nie było ani jednego lustra. Wyobrażenia tam nikt nie miał o jak najmniejszym kawałku zwierciadła. Wszystkie te damy, zaczynając od królowéj, kiedy się ubrały, zapytywały innych dam czy im do twarzy, i na ich odpowiedzi przestawały. Co do mnie, nie mogłem się oswoić z niemieniem choć kilkacalowego lusterka, i ciągle tęskniłem, że swojéj twarzy widzieć nie mogę.

W pałacu o niczém nie myślano, tylko żeby się ubierać, jeść, pić, bawić, umizgać, tańcować, a śladu nie było jakiegokolwiek zatrudnienia. Co wieczór był bal, albo koncert wokalny. Głosy miały wiele wdzięku i metody, ale żadnego ducha nie można było upatrzyć w kompozycyjach ich muzyki. Wtedy człowiek jakoś siebie zagłuszał. Ale kiedy nie byłem odurzony zabawą, lub pieszczotami królowéj, albo kiedy mane-

wry dam dworu, żeby mi się przypodobać, nie wprowadzały mnie w jakieś roztargnienie, czułem w sobie czasami dręczącą czczość, jakbym zamykał w sobie przepaść bezdenną. Nie mogę powiedzieć żeby damy dworu nie były pełne dowcipu, żeby ich rozmowy były bez wdzięku; tylko że ich wyobraźnia do zbyt mało przedmiotów była obróconą, i te przedmioty nawet nadto były poziome. Rozprawiały o ubiorach, o czypkach jakie która miała dnia wczorajszego na głowie, o ostatnim balu, o anegdotach dworu choć cokolwiek przynajmniéj gorszących, o gładkich tancerzach, a najwięcéj o niczém. Wprawdzie w tych ich rozmowach dowcip błyszczał jakby jaki fejerwerk; słowa dwuznaczne, ostre epigrammata, przymówki wesołe, sypały się jakby z rękawa. Ale ile razy próbowałem odezwać się z jakąś myślą wznioślejszą, poważniejszą, jeżeli potrąciłem o religią, o ludzkość, o jakąś pożyteczną naukę: moje damy, zacząwszy od królowéj, wielkie oczy otwiérały, spoglądały na mnie z zadziwieniem, a potém ziewać zaczynały.

— „Powiedz że mnie, Nazarejczyku, przerwał Sułtan, czego chciałeś od tych kobiét? może żeby tobie Koran tłómaczyły? Czy ty oszalał, niewolniku, żeś sprzykrzył sobie to co jest najlepszego! Niech sobie filozof naucza tych co jego nauki pragną, a kobiéta dość mądra jeżeli bawić umié.“

— Najjaśniejszy Panie, my w Lechistanie nawy-

kli patrzeć na kobiéty, nietylko jak na zabawki, ale jak na towarzyszki, na doradczynie naszego żywota.

— „A to piękny porządek być musi w Lechistanie, jeżeli mężczyzni proszą kobiét o radę!“

— Najjaśniejszy Pan wyobrazić sobie nie możesz, jakie to dręczące chwile przebyć trzeba z osobami, które przy wdziękach, przy dowcipie, przy wesołości, są obrane z wszelkiego zmysłu moralnego. Jużci człowiek nie może ciągle jeść, ciągle tańczyć, ciągle się umizgać; czasem umysł, choćby rozmową tylko, potrzebuje się podnieść do rzeczy wyższych, godniejszych siebie. Cóż się więc dzieje z tym umysłem, kiedy w obcowaniu z osobą drogą i miłą, w chwili kiedy się zabiéra wyjawić siebie w całéj dostojności człowieka, same ziewania od niéj otrzymuje?

— „Coś ty się tłómaczysz jak Hafiz, kiedy mnie nauczał waszéj filozofii; ale ona jakoś mojéj głowy się nie chwytała. Wolę się trzymać prostego rozumu. Bo im rozum jest mniéj wykształcony nauką, tém jest zdrowszy i trafniejszy, jak mięso, im mniéj posiekane, tém smaczniejsze. Jeżeli głupiec, co nigdy nie miał książki w ręku, może być nudziarzem, to przecie nigdy do tego stopnia jak głupiec oczytany; otóż ci powiem, że chciałbym być na twojém miejscu, i nigdy bym się nie znudził w twoim pałacu, z twoją królową i twojemi dziewczętami. Znam siebie! No, mów daléj.“

— Od niejakiego czasu miałem dość niepochlebne

wyobrażenie o obyczajach naszego dworu; ale jeszcze nic tak dalece gorszącego nie przedstawiło się oczom mojém. Pomyślałem sobie, jeżeli mnie robią słodkie oczy, one są dworaczki, ja jestem mężem królowéj, nic w tém nie ma nadzwyczajnego, że chcą mi się przypodobać. Ale jednego poranku, wszedłszy do przedpokoju, ujrzałem kilka frejlin siedzących na kolanach paziów! Zostałem zgrozą przeszyty taką zniewagą mojego domu; a co mnie więcéj jeszcze zadziwiło niż zgorszyło, moje frejliny nietylko że się mojém przybyciem nie zmieszały, ale nawet z miejsc swoich się nie zerwały, jak to bywa w podobnych okolicznościach. Tylko ciągle się śmiały, i sypały najbezczelniejsze, choć dowcipne przymówki, na tych co sami się niebawią, a drugim przeszkadzają w zabawie. To już było nie do zniesienia. Odszedłem w najgwałtowniejszém wzruszeniu, drzwiami odchodząc za sobą zatrzasnąłem, i w niepohamowanym gniewie poszedłem do mojéj żony. Ona widząc mnie tak poruszonym, rzekła: „Co ci jest, mężu drogi! czyś chory?“ — Co jest, odpowiedziałem, pięknie się sprawują waćpani frejliny! a to Sodoma i Gomora przedpokój tego pałacu! Obacz no waćpani co tam wyrabiają paziowie z frejlinami!.. To rzekłszy, zaprowadziłem ją in loco delicti, myśląc że dopiéro nastąpi burza. Jakież nie było moje zadziwienie, kiedy królowa to widząc co ja widziałem (gdyż jéj przybycie bynajmniéj nie przerwało zabaw przedpokojowych)

śmiać się zaczęła i obracając ku mnie swoje piękne oczy, rzekła obojętnie: „I cóż to tobie szkodzi, mężu, że się tu bawią?“ a oparłszy się na mojém ramieniu, wyprowadziła mnie nazad do pokoju, który byłem opuścił, i na tém skończyła, iż mi jeszcze wymówiła, że ja, obowiązawszy się niewychodzić z pałacu, nie potrzebnie poszedłem do przedpokoju. Stanąłem jak wryty z zadziwienia.

Najjaśniejszy Sułtanie, byłem szczérze przywiązany do mojéj żony, bo była piękną, dowcipną, łagodną, i zdawała się odpłacać moje przywiązanie najtkliwszą wzajemnością. Pożycie nasze było takie, jakie być powinno. Z tém wszystkiém, to jéj pobłażanie na rozpustę swojego dworu, ta jéj niewiadomość wszelkich względów moralnych, były dla mnie źródłem zgryzot. Pomyślałem sobie nakoniec: ona mnie kocha, o tém wątpić nie mogę; sprobuję pobudzić w niéj zazdrość, ażalić w niéj nie domacam się jakiejś sprężyny moralnéj. Trzeba wiedzieć, że lubo zrazu wszystkie jéj frejliny zdawały mi się być równie urodziwemi, rozpatrzywszy się, przekonałem, że jak wszędzie tak i między niemi zachodziła różnica. I tak, Finetka (tak się nazywała frejlina, którą królowa szczególnemi względami zaszczycała, a która zawsze nosiła suknie centkowane bo te jéj były najwięcéj do twarzy) zdała mi się być nad inne powabniejszą, bo w jéj oczach, nie mniéj bystrych od oczów jéj towarzyszek, było coś więcéj skromności. I chociaż,

ile razy przy niéj opowiadano jakąś historietkę gorszącą, uśmiechnęła się, przynajmniéj wtedy zasłoniła sobie twarzyczkę wachlarzem, i nie ubiegała się sama żeby świetnieć tego rodzaju dowcipem.

Finetka zdawała się cokolwiek przestrzegać swojéj powagi, nigdy nie spostrzegłem w niéj poufałości z paziami i oficerami straży, jak w jéj towarzyszkach, które mniéj więcéj były wielkie rozpustnice. Do tego miała talią giętką jak trzcina, nóżkę i rączkę arystokratyczną, rysy twarzy drobniutkie i pełne wyrazu, a taka elegantka, że te wszystkie elegantki przyznawały jéj nad sobą wyższość w tym zawodzie. Zacząłem tedy być dla niéj szczególnie grzecznym, a nie oglądając się na przytomność żony, jawnie, to spojrzeniami, to podchlebnemi słowy, dawałem jéj do poznania że ją oceniam nie równie więcéj niż wszystkie inne damy naszego dworu. Finetka moich zalot nie odpychała, owszem dawała mi widoczny zachęt, i w tym jeszcze mniéj odemnie oglądała się na przytomność królowéj, która żadnem umniejszeniem faworów nie okazywała by to widziała, lub widząc że się tém obrusza.

Ta obojętność królowéj do tego stopnia rozdraźniła we mnie miłość własną, że bądź co bądź postanowiłem do końca doprowadzić romans z Finetką rozpoczęty. Nie długo czekałem na rozwiązanie romansu. Finetka zdawała się być uszczęśliwioną moją miłością, a poufałość jaką okazywała ze mną, ciągle

i ją i mnie kompromitowała przed dworem. A kiedy jaka sztacdama lub frejlina jéj rzuci jakąś dowcipną przymówkę do naszych stosunków, ona te przymówki przyjmowała, jakby się nie chciała ich zapierać, nawet w przytomności królowéj; a co dziwniejsza, jeżeli te przymówki nosiły cechę ostrzejszego dowcipu, królowa się uśmiechnęła, jakby jeżeli nie co innego, przynajmniéj jéj miłości własnéj to nie obrażało, i nasze pożycie na tém nie cierpiało.

Przyznam się Waszéj sułtańskiéj Mości, że do tego wszystkiego nie mogłem się wzwyczaić; ale w kilka dni potém przeszedłem przez nierównie boleśniejsze doświadczenie. Przybył do naszego dworu niejaki Rominagrobis, wojownik słynny, który zarządzał prowincyjami kiedyś na Ratończykach zdobytemi. Był to człowiek słusznego wzrostu, pleczysty, twarzy szpetnéj, z ogromnemi wąsami, zyzooki, i widać było że się utuczył w zarządzie powierzonych mu prowincyj, bo brzuch niepospolity nosił przed sobą. Królowa, a tém samém jéj dwór, z wielką uprzejmością go przyjął. On gburowatością odpłacał wszystkie grzeczności jemu okazywane. Na wszystkich krzyczał charkawym i rozkazującym głosem. Kiedy po swoim przybyciu piérwszy raz stanął przed królową, ukląkł, ale mnie zaledwo się ukłonił. Brutalstwem swojém widać że chciał dać wyobrażenie, że jest wielkim jenerałem, i nie omylił się w swoim rachunku. Jedném słowem, była z niego niesmaczna figura. Czułem od niéj

wstręt od piérwszego wejrzenia, a ten wstręt coraz więcéj się we mnie wzmagał. Przywiózł był z sobą kilku adjutantów wcale zgrabnych i pięknych chłopców, do tego ugrzecznionych, tak, że kiedy jenerał był u królowéj na tajemnych posłuchaniach, sztacdamy i freiliny niczego nie zaniedbywały, żeby głowy pozawracać jego adjutantom. A jego samego posłuchania u królowéj bywały częste i sam na sam.

Te częste posłuchania zaczęły mnie się przykrzyć, ile że Rominagrobis dość lekko ze mną postępował. Nawet z tym wynurzyłem się przed moją żoną; a ona, wedle swojego zwyczaju, to śmiechem, to dowcipnym żartem mnie zbywała. I to mi się nie podobało, że z nią zdawał się być zanadto poufałym. Dotąd napróżno usiłowałem w niéj pobudzić zazdrość, a sam bez żadnéj usilności zostałem zazdrośny. I przekonałem się niestety wkrótce, że zazdrość ta płonną nie była!

— „I czemuś nie udał się do Finetki? rzekł Sułtan, dla szukania u niéj pociechy?“

— Tak też zrobiłem, Najjaśniejszy Panie; chciałem na zawsze zerwać z królową i odtąd żyć tylko dla jednéj Finetki. Poszedłem do niéj, żeby przed nią wynurzać moje zgryzoty. Otwieram jéj komnatę, a ona, ona, tu się przebrała miarka mojego nieszczęścia! Znajduję w jéj komnacie trzech adjutantów mojego rywala. Ale co mnie ledwo o szaleństwo nie wprawiło, bezczelna Finetka na całe gardło parschnęła śmie-

chem, i to było hasłem do najgłośniejszych oznak wesołości jéj towarzyszek i adjutantów. Wściekałem się, ale cóż było robić! ja jeden, ich było trzech! odszedłem zły i smutny do jednego z salonów bawialnych pałacu, i tam rzuciłem się zamyślony na sofę.

— „Doskonale, Nazarejczyku, wykrzyknął Sułtan. Całą dobę rad bym ciebie słuchał, tak jestem ciekawy przyjść do tego, jak się skończy twój pobyt w Felistanii, ale to darmo, Kislar Aga już kiwa, żeby mnie do haremu odprowadzić; a więc do jutra, niewolnicy!“

VII.

Siódmego wieczora tak paź przed Sułtanem i Emirami postępował w swojém opowiadaniu.

Do tego bawialnego pokoju gdzie siedziałem w zadumaniu, wpadła Eminka, najzgrabniejsza tancerka całego dworu. Była téż duszą wszystkich balów. Była z niéj bardzo ładna brunetka, a chociaż rysy jéj twarzy może nie były tak delikatne jak królowéj lub Finetki, za to miała w oczach niewypowiedziany wyraz tkliwości, i włosy tak długie, tak piękne, tak gęste, że ani wprzódy, ani potém nie zdarzyło mi się spotkać z takiemi, któreby im sprostać mogły. Ona mnie jak i inne damy dworu kokietowała, ale ja zajęty królową, późniéj rozerwany Finetką, na te jéj obroty byłem dość obojętny, chociaż zawsze ją uważałem jako dziéwkę urodziwą i miłą, a nadewszystko najroztropniejszą z pomiędzy wszystkich frejlin. Ona usiadła koło mnie na sofie, i zaczęła ze mną poufale rozmawiać, siejąc spojrzenia, na które przestałem być obojętnym, bo czułem potrzebę być pocieszonym po takich zawodach serca i miłości własnéj. Eminka nie była

Westalką, i wkrótce byliśmy kontenci z siebie. Pusta to była na pozór dziewczyna, co jéj rozmowie nie mało przydawało przyjemności. Jak się wzięła do roztaczania rozmaitych ustępów gorszącéj kroniki dworu, nie oszczędzając ani Finetki, ani saméj królowéj, a tak dowcipnie, że pomimo słusznych powodów do smutku, tak mnie rozweseliła, jakby to wszystko przez co przeszedłem mnie nie dotykało.

Ale cóż? i ona, jak wszystkie osoby tego dworu, wyobrażenia nie miała o jakiejkolwiek powinności, którąby się sprzeciwiała zachciéwom zmysłowym, o jakiejkolwiek zasłudze z oporu namiętnościom. Iść za chucią swoją, oto była cała moralność tego narodu. Wyraz ofiara nie istniał w jego mowie; a nadzwyczajny dowcip tych istot do niczego ich nie doprowadził, tylko do odkrycia nowych wrażeń zmysłowych, do wymyślenia nowych środków do pobudzenia żądz i ich zaspokojenia na jakąś chwilę. Były tam kunszta, ale bez myśli twórczych, bez przeczucia nieśmiertelności. Muzyka była jedynie zbiorem tonów, czego akordy mogą dać wyobrażenie; rozpieszczało to ucho, ale nic więcéj. Malarstwo ślepo naśladowało przedmioty najczęściéj lubieżne, ale bez podniesienia ich do ideału. Poezyja, harmonijne złożenie wyrazów nastrojonych zawsze na tenże sam temat, że co tylko się podoba, musi być dobre.

Kiedy tak rozmawiałem z Eminką, nadeszła i królowa. Wymówiła mnie łagodnie, że niegrzecznie

postąpiłem z Rominagrobisem, i że go ledwo mogła ułagodzić. Dowodziła, że więcéj ma przywiązania do mnie, niżeli ja do niéj, bo ona nie tylko że nie stanęła na zawadzie stosunkom, jakie zawiązałem z Finetką, ale cieszyła się owszem, że z nią czas wesoło przepędzam, a ja, chociaż sam się z nią nie bawię, usiłuję jéj przeszkadzać z innymi zabawy. Cóż było można odpowiedzieć na taką naiwność rozpusty? Pogodziłem się serdecznie z królową, przyrzekając jéj, że niczém podobném odtąd się jéj nie narażę.

Ach, cóż nie zrobią złe zasady, rozwijające się ciągle przez złe przykłady. Z początku to wszystko wydawało mi się być ohydném i gorszącém. Późniéj do tego stopnia oparzyłem się w téj łaźni nieprawości, iż nic w tém nie widziałem złego; daléj nie pojmowałem żeby to mogło być inaczéj. Oddałem się najwyuzdańszéj rozpuście, tak, że wkrótce prześcignąłem wszystkie te nadobne rozpustnice, któremi dopiero pogardzałem. Z czego i królowa i cały jéj dwór byli wielce zadowoleni.

— „I dobrześ sobie poradził, odezwał się Sułtan, bo że nie jesteś Muzułmanem, mógłeś się mieć za zupełnie szczęśliwego w takich nurtach roskoszy.“

— „I Muzułmanin, odrzekł Hanul, mógłby mu pozazdrościć.“

— „Nie, Hanulu; u nas odpuścić swojéj kobiécie, kiedy się sprzeniewierzyła, jest wielkim grzechem. I dla tego nasz wielki Prorok kazał nam pilnować

nasze żony jak oka w głowie, bo znał przewrotność pięknéj płci. Ale u niewiernych, jakem słyszał, często bywa, że mąż lubo tylko ma jednę żonę, nie tylko że oczy zamruża na sztuki jakie mu płata, ale nawet im dopomaga, jeżeli to mu napędza jakieś korzyści. I jakże to ma być inaczéj, kiedy u nich kobiéty mogą wychodzić z domu gdzie chcą, a w domu przyjmować kogo im się podoba? Że kobiéty są potrzebne dla naszego szczęścia, trzymamy je pod strażą trzebieńców, ciągle się od nich pilnujemy, a jednak nie zawsze się naszym udaje dopilnować. Samemu Mahometowi jego ulubiona Aïsza figle płatała; a cóż dopiéro u niewiernych dziać się musi! nie prawda, Wezyrze?"

— „A jakże nie! odpowiedział Wezyr. Gdzie tylko koranu się nie trzymają, lub go zupełnie nie znają, tam musi być największa rozpusta, a niewiasty zachełznają mężów, i przerobią ich w swoich niewolników. I ten niewierny, jeżeli mówi prawdę, musi wyznać, że był jak w domu. Bo każda niewiernych ojczyzna jest Felistanią co do obyczajów."

— „Myślisz jak ja, Wezyrze. Z tém wszystkiém radbym jaki tydzień, ale nie dłużéj, przepędzić w pałacu królowéj Felistanu. Mów daléj Nazarejczyku. Nigdyś mnie tak nie zajął swojém opowiadaniem. Wiem żeś musiał wyjść z tego pałacu, bo patrzę na ciebie; ale jakim sposobem z niego wyszedłeś, oto sęk. Tego już odgadnąć nie umiem." —

Po niejakim czasie królowa z damami swojego dworu, zaczęły robić wielkie przygotowania około Radagastu; coś to podobnego być miało do Bejramu Muzułmanów, i karnawału Nazarejczyków. Było to jedyne święto w mojém państwie, trwające co roku przez cały księżyc Marcowy. Ciekawy byłem widzieć to święto, o którém tyle tylko wiedziałem, że miały być jakieś bachanalia, gdzie bez różnicy stanów, wszyscy pomieszani z sobą, mieli jeść, pić i oddawać się miłości. Nareszcie nadszedł dzień rozpoczęcia tych obrzędów szczególniejszego rodzaju. Królowa z orszakiem swoim poszła na najwyższe piętro swojego pałacu, gdzie my zastali mnóstwo nas oczekujących mężów i niewiast. Stoły były zastawione jadłami i napojami. Wszystko to rzuciło się na stoły i tak je sprzątnęło, że mucha po nich by się nie najadła. Królowa dała hasło do tańców. Muzyka była wokalna. Natańcowawszy się do upadłego, przystąpiono do zabaw innego rodzaju.

Ale gdy się zrobiła przerwa tym zabawom, a usiadłem dla wypoczynku blizko królowéj, coś mi się zdało, że daje się słyszeć z dołu coś nakształt spiewu kościelnego, i usiłowałem zwrocić na to uwagę królowéj. Ona, i wszyscy do nas zbliżeni, powiedzieli że nic nie słyszą, i że musi mnie coś się marzyć, a tu spiew coraz był wyraźniejszy, nie mogłem nie wierzyć mojém uszom. Uczułem jakąś niespokojność, jakiś strach. Królowa, Finetka i Eminka okrążyły mnie,

prosząc bym na inne miejsce dał siebie odprowadzić. Tu dały się słyszeć stukania; zauważyłem przelotnie, że królowa zbladła. Mnie taki strach ogarnął, że nie wiele przytomny, skoczyłem na stół dość wysoki pod ścianą, a nad nim wisiało lustro, piérwsze które obaczyłem od czasu wnijścia mojego do tego pałacu. Spojrzałem w nie — Przebóg! zamiast mojego cienia, widzę dużego kota! Struchlałem; odwracam się, co widzę? Sala przemieniła się w ogromną przestrzeń, po prostu strych; zamiast licznego zgromadzenia mężczyzn i kobiét, niezliczona ilość kotów. Zwierciadło było kawałem blachy, połyskującéj od piérwszych brzasków dziennych. Przystąpiła do mnie biała kotka z pieszczotami; poznałem królowę. Ja raptownie, z uczucia strachu, przeszedłem w uniesienie najgwałtowniejszéj złości, i z całéj siły uderzyłem ją po twarzy. Wrzasnęła przeraźliwie; na ten krzyk kilku kotów na mnie się rzuciło. Odgryzałem się jak mogłem. Byłyby mnie niezawodnie zagryzły, gdyby na moje szczęście nie był zaszedł pod strych jakiś zakonnik, z kijem w ręku. Jak zaczął kijem koty okładać! Co do mnie, skorzystałem z téj niespodzianéj pomocy, żeby wyskoczyć na dach przez otwór, którym słońca promienie strych oświécały. Byłem na dachu wielkiego i wysokiego klasztoru. Tam dopiéro cała okropność mojego położenia roztoczyła się przedemną. Byłem kotem, i przez cały ten czas żyłem z kotkami!..

— „Co takiego? przerwał Sułtan. Pojmuję że ludzie zamienili się w koty, a pałac w klasztór; ale gdzież się podziały te wszystkie tak bogate sprzęty, te biesiady, te rozmowy, te zwłaszcza uwagi moralne coś robił na rozpustę ciebie otaczającą? te relacyje o wojnie między Felistanami a Ratończykami, ten król co za trochę starych gałganów brał dużo złota?"

— To wszystko było obłudą, czarem, sztuką złego ducha, który robił sobie miłą igraszkę z mojego poniżenia. Dość że zatopiony w tych smutnych myślach, stanąłem pod kominem wznoszącym się nad klasztorem. Bo to był klasztor, wśród wielkiego miasta. Ale niedługo byłem spokojny. Jakiś kot, prawdziwy Goliath w swoim rodzie, i z brzuchem ogromnym, przyskoczył do mnie z wypuszczonemi pazurami, z zapienioną i rozdziawioną mordą. Poznałem Rominagrobisa, i zacząłem po gzymsie uciekać. On za mną w pogoń. Zapędził mnie aż po nad przepaść kilkadziesiąt łokci głębokości. Aż szerść mi się najeżyła ze strachu! Nie było sposobu uciekać. Z rozpaczy odwróciłem się do nierównéj walki. Rzuciłem się na niego, i utopiłem mu w karku pazury. Rominagrobis krzyku narobił, i zaczął się że mną szamotać. Kaleczyliśmy siebie na wzajem. Czułem że krew mi się sączy po skórze, ale jakkolwiek był dotkliwy ból com go doświadczał, wnurzonych w jego cielsku pazurów nie wyrwałem.

W tém szamotaniu się, potoczyliśmy się z dachu jak kłębek, i padliśmy na ulicę, i dopiéro padając, rozłączyliśmy się z sobą. Rominagrobis padł na wznak, i na miejscu został; ja szczęśliwszy, padłem na przednie łapki, i chociaż się wstrząsłem potrosze, zostałem nietylko przy życiu, ale i przy zdrowiu, tak że biegać zacząłem po ulicach miasta, żeby go poznać i w nim szukać dla siebie jakiego przytułku.

Właśnie było po dészczu, na rynku, na który z ulicy zaraz się dostałem, była kałuża. Do niéj przystąpiłem, bo czułem nadzwyczajne pragnienie. Chlipnąłem wody, i zaraz lepiéj mi się zrobiło. Woda odbijała przedmioty; jąłem w niéj rozpatrywać moją postać, a jakkolwiek byłem ukorzony, że ze stanu człowieczego byłem zniżony do kociego, to przynajmniéj mnie pocieszało, że byłem kotem wcale przystojnym. Miałem wzrost duży, sierść jedwabnista, długą, koloru jak kawa na pół z śmietanką, brzuszek biały, ogon, łapki i uszka także białe. I choć nosiłem na sobie zakrwawione ślady świéżéj potyczki, tak siebie znalazłem pięknym w kocim gatunku, że przestałem rozpaczać.

Powiedziałem sobie, ani z własną wolą na przeznaczenie, ani z motyką na słońce nie porywaj się. Jesteś kotem wprawdzie, jest to nieszczęście nie lada, ale cóż robić? kto wié czy nie wiele jest takich, co by woleli być pięknemi kotami, niż szpetnymi młodzieńcami. W postaci kota zachowuję rozum czło-

wieczy, to coś lepszego niż mieć postać człowieka a rozum bydlęcia, jak to jest rzeczą rozpowszechnioną u nas. Jakoś to będzie. Odszedłem od kałuży, i kryłem się po pod domami w weselszéj myśli, nim coś stanowczego ze mną się zrobi.

Gdy tak sobie z wolna posuwałem, jakiś jegomość zamyślony szedł na przeciwko mnie. W têm zacietrzewiłem się nad buntem ptaszków, wiszącym od ulicy w jednym kramie. Ile sobie przypominam, były to bekasy. Przemyśliwałem jak by je uchwycić; aż ten roztargniony jegomość, nic przed sobą niewidzący, nastąpił na mój ogon, na co ja się odwróciłem i zamiauczyłem boleśnie. On wyszedł z swojego roztargnienia, ja zapomniałem o moich bekasach, i spojrzeliśmy na siebie. Tak była zabrana nasza znajomość. Zaczął mnie głaskać, ja położyłem się na wznak i ruszałem łapkami, żeby mu się przymilić. On poznał się na tych umizgach, bo zaraz wziął mnie na ręce i zaniósł w swoje mieszkanie, na czwartém piętrze jakiejś kamienicy. Mieszkanie mojego nowego pana było dość porządne, nawet obszerne, jak na jednego. Ja, że już miałem naturę kocią, bardzo mi się to podobało, że z jego sieni prosto pod strych wyskoczyć można było, a Wasza sułtańska Mość wie, że koty mają do strychów takie upodobanie, jakie mają piśmidlarze do salonów, gdzie ich proszą żeby czytali głośno swoje utwory.

Właśnie mój pan do cechu tych ludzi należał Był to autor prozą i wierszem, do tego trochę malarz, trochę muzyk, trochę tancmistrz, a nawet, jakem się o tém później dowiedział, trochę czarnoksiężnik. Miasto do którego się od lat kilku przeniósł, nazywało się Kukur i było stolicą Kukuranii. Było to miasto korzystne dla mojego pana, bo Kukuranczykowie taką mają pretensyję do czytelnictwa, że kiedy który z nich nie ma za co kupić książki, więc stara się ją ukraść, i za to nie wypędzają go z towarzystwa jako złodzieja, ale za męża gorliwego w czerpaniu nauki go trzymają, i to mu jedna w Kukurze najwyższy szacunek. Kukurania była rajem dla autorów. Mój pan pisał a pisał o wszystkiém. Nie było w Kukurze księgarni, w któréjby nie było kilka pułek zastawionych książkami jego roboty; a taki tuman umiał rzucić na każdy swój wyrób, że przez kilka tygodni na łeb na szyję jego roboty książki rozkupywano. Prawda, że po kilku tygodniach nikt do nich nie zajrzał, ale on o to nie dbał, bo już miał w kieszeni pieniądze; a autorom zwyczajnym o sławę idzie o tyle tylko, o ile ona im posłuży do napełnienia kieszeni. Przez krótką moją służbę u mojego autora, poznałem na wylot taktykę autorską.

I tak, Butrykan (takie było imię mojego pana) ogłaszał, że kto nie czyta z upodobaniem dzieł w ojczystéj mowie pisanych, i to współczesnych, bo do dawnych nie wiele wartości przywięzywał, nie może

się nazywać dobrym obywatelem; i nie omieszkiwał przydawać, że w innych językach same tylko głupstwa wychodzą, tak, że nakoniec Kukuranczykowie dali się przekonać, że literatura kukurańska była najpiérwsza na świecie, i że Butrykan stanął na jéj czele. A tym czasem jego pisma były tylko rozwodnione wyjątki starych książek, kiedyś ogłoszonych, w tych właśnie narodach, o których twierdził że pisać nie umieją, a gdzie już od dawna o nich zapomniano. Bo i tego gorliwie przestrzegał, że ile razy rabował jakiego pisarza, nawet kukurańskiego, od tego zaczynał, że go błotem obryzgiwał, w tém samém pismie, gdzie jego kradzieże były najwidoczniejsze. Powtarzał, że najskuteczniejszy sposób służenia krajowi, jest podniesienie jego światła dobremi pismami. Ale broń boże jaki autor coś lepszego od niego napisze, suchéj nitki na nim nie zostawi. Do niczego tyle nie przykładał starania, jak do mnożenia swoich pism, w przekonaniu, że ilość może śmiało zastąpić jakość, co w Kukuranii było nienajgorszym rachunkiem. Ale jakkolwiek mało myśli potrzebował do układania swoich tomów, zawsze gdzieś gotowe znajdując, a potém je rozwadniając, pomiarkował że i na te przepisywania, amplifikowania i ogładzania, jeszcze nadto wiele czasu potrzebował. Obmyślił więc jednę ciekawą machinę, któréj sekret starannie zachowywał, gdyż ona mu wielkie korzyści przynosiła.

Tę machinę nazwał fakundotypem. Jéj mecha-

nizm był taki. Znajdzie naprzykład w jakiejś książce dwie lub trzy kartki, z których mu trzeba zrobić cztéry tomy. Przetłomaczywszy je w kukurańskiéj mowie, robi z nich dzieło następnym sposobem. Miał mnóstwo liter przygotowanych. Tych nabierze w stosunku liter znajdujących się w tych kilku kartkach, służących za osnowę jego cztérech tomów i te wszystkie litery kładzie w machinę.

— „Coś tego nie rozumiem?“ rzekł Sułtan.

— Rzecz bardzo prosta. Dajmy na to, że pięć kartek chce rozrobić na pięćset. Oczywiście, jeżeli litera Alif naprzykład, powtarza się na tych pięciu kartkach sto razy, więc na pięciuset kartkach powtórzyć się powinna dziesięć tysięcy razy; toż samo i i inne litery. Butrykan, te ilości wyrachowawszy, rzuca je w fakundotyp, gdzie było mnóstwo sprężyn i kółek. Za pociągnieniem sznurka, wszystko zaczyna się kręcić, i gotowe okresy wypadają. Tym sposobem mnożył swoje książki do nieskończoności.

— „A to osobliwsza machina! ale z kądże się mógł wziąść sens?“

— To też nie wiele tam było sensu, ale Butrykan o to nie dbał, bo wiedział dobrze, że w Kukuranii jest on jak najmniéj potrzebny do dania wziętości autorowi.

— „I znajdywałże czytelników?“

— Mnóstwo, czytelników czy nieczytelników, ale kupujących jego książki. Zresztą, jak powiedziałem,

Kukurańczykowie sensu nie potrzebują. Im bezsens mniéj zrozumianą robi książkę, tém więcéj oni uważają ją być mądrą; a że każdy ma siebie za mędrszego, więc wielu ślęczą nad nią, i wmawiają w siebie że ją rozumieją. Tak fakundotyp zalał książkami Butrykana całą Kukuranią, a Kukurańczykowie nie posiadali się z radości, że mają tak obfitą literaturę.

— „Dość tego na dziś, rzekł Sułtan; jutro dowiemy się resztę téj historyi, która nie tyle mnie zabawiła ile poprzednia. Ten twój Butrykan jest nudziarzem, jak ci wszyscy, których pióro żywi i odziewa. Ale koty, to ale pocieszne! Hanulu! mianuję ciebie moim przybocznym sekretarzem. Od tego zaczniesz swoją służbę, że każesz swojemu niewolnikowi powtórzyć relacyją swojego pobytu między kotami, w pałacu bałamutnym Eblisa. To pewna, że lepszego figla nikomu nie wypłatał Eblis. Tę relacyją złotemi literami każesz zapisać, a jak będzie skończona, mnie ją przyniesiesz. A ty, Teftedarze, pięćdziesiąt kies oddasz temu Nazarejczykowi, na dowód mojego zadowolenia.“

VIII.

Butrykan więc był jak pączek w maśle między Kukurańczykami, i dostąpił do zaszczytu przedstawiciela najgłupszego na świecie narodu. Wprawdzie był i drugi pisarz, który miał pretensyję do tego dostojeństwa, i liczną partyję za sobą, bo jeszcze był głupszy niż Butrykan, i byłby pewnie go przekreskował, żeby nie ten fakundotyp, który sypał tomy jak grad. Suchtyr od rozumu odchodził, ile razy pomyśli jaki to mu podryw robi Butrykan. Suchtyr było nazwisko tego drugiego autora. On był nadto doświadczonym w obrotach swojego rzemiosła, żeby się nie domyśleć, że jest coś czarnoksiężkiego w tém mnożeniu tomów. I coraz częściéj bywał u nas, z wielkiemi oświadczeniami dla mojego pana, który tąż samą monetą jemu się wywzajemniał, a to jedynie że tuszył, iż powoli a powoli tak go podejdzie, że zostanie panem jego sekretu.

Bo w rzeczy saméj, oni siebie cierpiéć nie mogli; bo któż kiedy widział dwóch autorów sobie życzliwych? Wtedy wszakże każdyby pomyślał, że jeden

bez drugiego żyć nie może; co dzień siebie nawiédzali, i Suchtyr zawsze coś przynosił z swoich świéżo zapisanych rękopisów, niby prosząc o radę, a rzeczywiście żeby swoje utwory czytać. Bo jeżeli nie może być nic nudniejszego od słuchania lektury cudzych pism, pisarz, zwłaszcza tuzinkowy, nic tak nie miłuje, jak głośno czytać, to co nie dawno napisał. Czytał więc swoje elukubracyje mojemu panu. Ja lubo będąc kotem nie utraciłem umysłu ludzkiego, i mowę ludzką tak dobrze rozumiałem, jak kocią; kiedy bywało położę się między ich krzesłami, natężam a natężam ucha do téj lektury, a nic z niéj uchwycić nie mogę. A mój pan unosi się z zapałem nad geniuszem Suchtyra, obiecując przelać ten swój entuzyjazm na szpalty pisma czasowego, do którego wpływał; co nie przeszkadzało, że ciągle podczas téj lektury spostrzegałem na jego ustach ziewania. Ale zkądże pochodziła ta filadelfia między nimi? To wytłómaczę.

Wszyscy tuzinkowi pisarze, którzy posiadają odgłos koteryjnéj wziętości, siebie nienawidzą, i nie ma sztuk których by sobie nawzajem nie płatali. Ale jak tylko się pojawi pisarz rzeczywiście znakomity, zaraz samo z siebie zawiązuje się między nimi przymierze zaczepne i odporne przeciwko zuchwalcowi, który się waży mieć od nich więcéj rozumu, i jedni drugich pod nieba wynoszą, żeby tém dokuczyć temu, co ich zaciera. A że mają liczną klientelę głupców, tych używają za narzędzia owacyj, które utrzymują, żeby w

nim pobudzić zawiść. W takiém właśnie byli położeniu. Zjawił się między nimi pisarz, wielki dziwak, który nie tylko że żadnego kroku nie robił dla pozyskania popularności w publiczności, ale owszem ciągle ją przeciwko siebie jątrzył, nie tając wzgardy jaką czuł dla niéj. Ani z głupstwem, ani z nudziarstwem nie umiał żyć w zgodzie, i każdą opinią jaką powziął, wyznawał bez najmniejszego ustępstwa, nie dbając o nienawiść swoich przeciwników. I tak był uszczęśliwiony dowodami niechęci powszechnéj, jak inni popularnością.

Z tém wszystkiém, był z niego prawdziwy pisarz; pisma jego nie były rozwodnikiem komunałów czerpanych z książek już nie będących w obiegu, ale przedstawiały szereg myśli i obrazów z własnego ducha wydobytych, i pomimo powszechnéj niechęci, były rozchwytane. A że mając przeświadczenie swojéj wyższości, drwił nielitośnie, i z pisarzów pokurczów, i z publiczności, która ich wynosiła. Wszyscy co żyli z pióra, wściekali się na jego wspomnienie, tém więcéj, że ani mu szkodzić, ani go nawet rozgniewać nie mogli.

Butrykan cuda dokazywał zapomocą swojego fakundotypa, tak, że jego ówczesny ścisły przyjaciel pękał z zawiści, widząc że jak z rękawa sypią się jemu dzieła filozoficzne, podróże w krainach, których nigdy nie widział, rozprawy o książkach, których nigdy nie czytał, lub o językach których nie rozumiał, zwłaszcza o kunszcie, a najwięcéj powieści. Ogłaszał niezmordo-

wanie pisma i wierszem i prozą; a zawsze znajdował masę półgłówków, którzy te brednie pod niebo wynosili, i którzy, w imieniu miłości narodu, wszystkich zaklinali, żeby je kupowali. Nic by mu nie brakowało, jak żeby ten zapał kobiéty podzielały; ale tego dokazać nie mógł, w kraju w którym kobiéty są o tyle światłe i ukształcone, o ile mężczyzni są głupi i nieokrzesani. . . .

Jednak cierpiałem biédę u Butrykana, i wkrótce o niczém tyle nie myślałem, jak o sposobie jego opuszczenia. Literaty rzadko u siebie jedzą; zawsze się znajdują bogacze z kieszenią pełną, a z mózgownicą próżną, którzy chcą uchodzić za mecenasów. Butrykan takich uczęszczał, a ja zostawałem bez strawy. Za nadto późno zostałem kotem, nigdy nie mogłem się nauczyć łapać myszy, i one tak się na mojéj nieudolności poznały, że w mojéj przytomności bez obawy szastały się po papiérach i po szafach. Do tego przyszło, że jedną starą książkę, wielce szacowaną od mojego pana, tak pogryzły, że była na nic. To wielce zniechęciło jego do mnie.

W téj kamienicy gdzie my mieszkali, tylko o dwa piętra niżéj, kilka pokojów zajętych było od jednéj rodziny, złożonéj z męża i żony. Stadło to żyło w najlepszéj zgodzie, z przepychem, ale wkrótce miało opuścić to miasto. Butrykan do niego się wkręcił, i odtąd zawsze bywał z uprzejmością przyjęty. Narzucał on gospodarzowi kilkadziesiąt swoich dzieł, za które coś

z brzęczączki uchwycił, bo co się tyczy gospodyni, ta żadnéj książki w ręce nie wzięła, i nie miała najmniejszéj pretensyi do uchodzenia za literatkę.

Jakoś się wydarzyło, że na jednym wieczorze u niéj, na którym się znajdował Butrykan, gospodyni domu z tém się odezwała do jednego możnego pana, który się jéj zalécał, że rada by mieć kota w pięknym gatunku. Ten pan jéj myśli starał się zgadnąć i wielce był dla niéj hojny; o tém Butrykan wiedział, i ułożył sobie z tego korzystać. Wziął na stronę tego pana, i powiedział mu, że ma na zbyciu kota, który pięknością i dowcipem jest fenixem w swoim rodzaju. Pan mu oświadczył, że jutro o samém południu wdrapie się na jego czwarte piętro, by go widziéć.

W saméj rzeczy, przyszedł do nas, bo czegoż by nie zrobił dla téj belli! Ja, choć trochę zmizerowany na literackiéj strawie, bardzo mu się podobałem. Targ był krótki: dał dwie garści złota, a Butrykan do tego przydał pięć powieści, któremi pan zapełnił karétę swoją, a które, jadąc przez most, w wodę powyrzucał. Z kotem w ramionach spuścił się do mieszkania téj, któréj miał się przysłużyć, i wszedł ze mną do jéj gabinetu, gdzie my się znaleźli z jéj mężem. Ale ten wkrótce ich zostawił samych.

Tak się jéj podobałem, że rzuciła się na szyję Horbusza (tak się nazywał ten pan). Zaraz mnie nakarmiła śmietanką i biszkokcikami, i tak była mną zajęta, że cały dzień, jedynie dla mnie, nie opuściła

domu swojego, gdzie Horbusz jéj wiernie asystował. To jéj przywiązanie tak gwałtowne mnie przestraszało, bo zwykle u elegantek co się przesadza, zawsze jest nietrwałe.

Horbusz mieszkał zwykle o kilkadziesiąt mil od Kukuru. Przypadkiem, przejeżdżając przez Kukur, na teatrze piérwszy raz ją spostrzegł, i zaraz wziął na siebie jéj kajdany. Był on z zamożniejszych panów w Oriundzie, stolicy królestwa Babistańskiego, miał tam pałac, w którym żył po pańsku, mając szérokie przychody, i był hojny w dogodzeniu najgłówniejszéj swojéj namiętności: miłości płci pięknéj. W innych wydatkach był ostrożnym, ale kiedy kobiéta jaka mu się podoba, na nią niczego nie żałuje.

Skoro poznał Alcynę, zakochał się w niéj szalenie, a ona zaraz obmyśliła, wedle swojego zwyczaju, z téj miłości ciągnąć dla siebie jak największe korzyści. Była z niéj kobiéta najsposobniejsza do łupienia swoich wielbicieli, bo żadnego nie miała uczucia, nie tylko moralnego, ale nawet zmysłowego. Miłość dla niéj nie była celem, ale środkiem dla wzbogacenia siebie. Tém była niebezpieczniejszą dla tych, co mieli nieszczęście dać siebie przez nią ułudzić, że sama nie ulegając żadnemu uczuciu, zawsze była przytomną sobie. Prowadząc jednocześnie kilka intryg, każdemu umiała wmówić że go kocha. Wzniecała w nim nadzieje, nawet jakieś poufałości z sobą dopuszczała, lecz swój opór tłómaczyła przywiązaniem, jakie miała dla swoich

obowiązków. Każdy wierzył, że jest od niéj kochanym, i tuszył, że poświęceniem i datkami nakoniec uda się mu jéj względy uzyskać, ile że umiała go upewnić o swojéj wzajemności, tém łatwiéj że rachowała na miłość własną każdego, co się ubiega o fawory kokietki.

Takim sposobem datki rzęsisto sypały się na nią; starzy i młodzi, przystojni i szpetni, światli i głupi wpadali w jéj sidła, byle tylko byli bogaci. Żadnego środka nie zaniedbywała żeby coś uchwycić. I tak upoiwszy którego z swoich wielbicieli kłamanném przywiązaniem, nawet nie szczędząc udanych pieszczot, kiedy ten już był w pełném obłąkaniu, raptem zrywała się, jak by niedowierzając sobie, wyciągała go z sobą na przechadzkę po ulicach miasta. Tam, oparta na jego ramieniu, jedwabnemi słowy przedłużała jego obłąkanie, a już mało przytomnego sobie, umiała wprowadzić do sklepu drogocennych rupieci. Tam najdroższe rzeczy odkładała na stronę, okazując gwałtowną żądzę ich nabycia, a nie zapominała utyskiwać na ograniczoność majątku, która jéj mężowi nie pozwala być dla niéj tak wspaniałym, jak by tego sobie życzył. A dodawała przed kupcem: „Proszę pana przynajmniéj jeden tydzień nikomu nie przedawać tego co wybrałam, może mój mąż, tak do mnie przywiązany, zdobędzie się na kupno tych klejnotów, które by mnie uszczęśliwiły.“ Na tém się zawsze kończyło, że jéj przewodnik to wszystko kupił dla niéj, przeła-

mywał jéj opór w przyjęciu tego datku, i tak był zadowolony oznakami jéj wdzięczności, jak gdyby najszczęśliwszym się był stał.

Drugiemu który ją nawiedzał, mówiła: „Jak by mi było miło pójść z tobą na przechadzkę do ogrodu miejskiego; dziś, jako w dniu świątecznym, będzie mnóstwo osób. Rada bym się im z tobą pokazać, żeby mnie wszyscy pozazdrościli, że człowiek tak piękny, tak znakomity z rozumu, ma upodobanie w mojém towarzystwie; ale wstydzę się nie mając czém się nakryć, bo nie mam tylko dwa szale kaszmirowe już wszystkim znane.“ Pógłówek upraszał jéj żeby się przez półgodziny zatrzymała u siebie do jego powrotu, po czém wyleciał jak z procy, wracał z pół tuzinem kaszmirów najpiérwszéj ceny, i składał je u nóg kochanki.

Mąż Alcyny wielce był jéj pomocnym do mnożenia jéj kosztowności. Często od jednego do drugiego przyjaciela swojéj żony przychodził z poufném zwierzeniem, że jutro rocznica urodzin Alcyny, i że się z tém wymówiła przed nim, iż jest ciekawa, czy jéj przyjaciele będą o niéj pamiętali; a pokazało się, że nie było księżyca w roku, w którym by się nie urodziła. Każdy wielbiciel czule mężowi dziękował, a że ten mąż nie był zazdrośnym, nie było w tém nic dziwnego, bo mu się z tém dobrze działo. Nazajutrz sypały się z powinszowaniami hojnie upominki.

Wielbiciele Alcyny byli dla niéj, czém są pro-

wincyje dla satrapów. Jeden z nich opłacał jéj mieszkanie, drugi ją umeblował, trzeci dawał jéj ekwipaż, czwarty utrzymywał jéj posługę, a wszyscy ją obsypywali prezentami. Z początku, z jakąś niby trudnością przyjmowała cenne rzeczy, potém przyzwyczaiła się brać i brzęczączkę, a że była skąpą o tyle ile chciwą, to wszystko starannie chowała, a to co raz wpadło do jéj kufra, już z niego nigdy nie wyszło.

Horbusz ją namówił żeby się wyniosła do Oriundy, gdzie sam mieszkał. Uczyniła niby ofiarę, dla miłości jaką czuła ku niemu, gdyż bez niego żyć nie może. Ale w rzeczy saméj, pomiarkowała, że przedłużenie jéj pobytu w Kukurze może wkrótce stać się dla niéj niekorzystne. Kobiéty, których mężów podrujnowała, zaręczone, co ich narzeczeni prawie od kobierca dla Alcyny odstąpili, matki synów których ona pobałamuciła, takie krzyki na nią podniosły, tyle jéj okazywały wzgardy, że w poważnych i poczciwych salonach nie można jéj było się pokazać. I niektórzy mężczyzni, którzy dla niéj zaplątali byli swoje majątki, już zaczęli się na niéj poznawać, bo nic tyle nie napędza do głowy rozumu, jak spustoszała kieszeń. Po naradzie z mężem, na któréj byłem przytomny, oświadczyła Horbuszowi, że na jego słowo, z mężem przenosi się do Oriundy.

Uradowany Horbusz, że swoją ulubioną oddala od wszystkich swoich współzawodników, i pełen nadziei że w Oriundzie zostanie jéj uwieńczonym kochan-

kiem, sam ją z jéj mężem wyprawił z niemałym kosztem, a swoją drogą, wyprawił do Oriundy powiernego sługę, ażeby, nieszczędząc wydatku, jak najspieszniéj urządził dla nich najporządniejsze mieszkanie, najgustowniéj ubrane, choćby wszystkie meble jego pałacu na to pójść miały.

Alcyna cztéry dni zatrzymała się w Kukurze, jedynie dla upakowania swoich sukien, elegancyj i klejnotów, z których by mogła handel otworzyć. Bo jakież interesa mieć mogła w Kukurze? chyba kupieckie z nią rachunki, a te Horbusz nie omieszkał zaspokoić. Lecz i on sam jéj wyjazd wstrzymywał przez kilka dni jeszcze, żeby dać czas powiernemu wszystko przygotować do jéj przyjęcia. Kilku z jéj adoratorów było u niéj z pożegnaniem, ale nie wiele; bo już się poznawano na jéj obłudzie, a jéj gwiazda zaczynała blednąć w Kukurze. Ale ona o to niedbała, mając Horbusza, na którego co raz cięższe zarzucała kajdany, a który co raz większemi kwotami okupywał swoją nadzieję, bo oprócz nadziei nic jeszcze dotąd od niéj nie był otrzymał. Podróżując z nią przez kilka dni, bo w jéj karécie nikogo nie było prócz Alcyny, jéj męża i mnie, a przysłuchując się jéj rozmowom z mężem, poznałem na wylot tę kobiétę. Ona nic tajnego nie miała dla męża, który był jéj wspólnikiem we wszystkich jéj zabiegach. Bez jego rad i pomocy ani części by nie miała swoich przychodów.

Gdzie tylko w jakiém mieście czas jakiś się za-

trzymała, przez urodzenie swojego męża miała przystęp do najpiérwszych towarzystw, a że była mistrzynią w przywabianiu mężczyn, a ci rojem za nią latali, kobiéty inne, zwłaszcza wyższego tonu, na rachunek moralności, a w rzeczy saméj przez zawiść dla jéj powodzenia, że tam gdzie się ona znajduje, nikt na nie nie patrzył, wszelkie jakie mogły dawały jéj dowody swojéj nienawiści. Zamykały domy swoje przed nią, na publicznych miejscach z nią się nie witały, odwracały się z wzgardą, i ogłaszały ją wszędzie za najwyuzdańszą rozpustnicę, a wcale niesłusznie. Bo, jakém już powiedział Waszéj sułtańskiéj Mości, żaden z jéj złupionych kochanków sumiennie nie mógł powiedzieć, żeby zupełnie względów jéj był dostąpił. Nie było damy wyższego towarzystwa kukurskiego, która by nie miała sobie więcéj do wyrzucenia niż Alcyna.

Ludzie bogaci powszechnie mają mało czułości dla drugich, a wielką dla siebie samych. Jeżeli są pracowici, najczęściéj się ścieśniają w swojéj osobistości; pomnożenie dostatków, już i tak obszernych, staje się jedyną ich namiętnością, i już o tém tylko myślą, a wszystko co do tego celu nie zbliża, staje się dla nich obojętném. Bogacze zaś próżniacy zwykle rzucają się w zmysłowość, i niczego nie żałują dla jéj dogodzenia, a że są niedostępni najmniejszemu uczuciu moralnemu, więc czuć nie mogą prawdziwéj miłości. Uważają kobiéty jedynie jako cacka, i nic umysłowego z niemi ich nie wiąże. Ubóstwiają kobiétę, ob-

darzają, otaczają najzapobieglejszém staraniem, ale skoro ją posiędą, ten zapał omdlewa, następuję przesyt, potem wstręt, i spieszą do innéj z swojemi przelotnemi żądzami, nigdy nie mogąc zapełnić próżni serca i czczości umysłu.

Alcyna była stworzona na kokietkę; nie potrzebowała trzymać na straży swoich zmysłów, bo na wszelką rozkosz była obojętną. Ciągnęła korzyści wyrachowane z swoich możnych wielbicieli, a że wyrozumiała ich niestałość, żadnemu z nich pełnego władztwa nad sobą nie dopuściła. Pełno było kobiét nierównie od niéj piękniejszych, były nawet żony od mężów swoich dla niéj opuszczone, którym przed bezstronnym sędzią nie mogła sprostać, a które zręcznością swoją przeważała. Każdemu co się jéj zalecał umiała wmówić, że się jéj podobał; byli tacy którym się zdawało że za nimi szaleje. Nikogo nie zostawiała bez nadziei, tylko chyba takiego, co nie miał nic do dania. A z wszystkich w duchu drwiła, i, jak to u nas mówią, darła łyko póki się drzéć dawało.

Podróżując dni kilka z niemi, i przysłuchując się poufnym rozmowom tego nikczemnego stadła, nic innego nie słyszałem tylko szachrajskie plany, szyderstwa z tych co ich Alcyna o ruinę przyprowadzała, i przechwałki z swéj zręczności. „Przyznaj, mój mężu, powtarzała jemu, że chociaż wziąłeś bez posagu żonę, ona ci przynosi więcéj, niż byś miał z dziedziczki kil-

kunastu wsi.“ A on ją w rączkę czule całował, na znak dziękczynienia. Było to coś tak obrzydliwego, że choć byłem kotem, odwracałem głowę ze wstrętem.

Przybyliśmy do Oriundy i stanęli w przygotowanym dla nas apartamencie. Pokoje były z wielkim kosztem i z rzadkim smakiem ubrane. Alcyna tak była zadowolniona, że nie oglądając się na męża, rzuciła się w objęcia Horbusza, jak by nieprzytomna sobie, i dała mu kilka ognistych pocałunków (bo Horbusz nas przyjął u progu tego pomieszkania). Horbusz tak rozporządził, żeby mąż Alcyny został w domu dla roztasowania ze sługami rzeczy pani, a żonę namówił, żeby z nim pojechała po sklepach, poznała miasto i dała tym sposobem czas mężowi swojemu wszystko rozporządzić, żeby jak powróci już jéj niczego nie brakowało. Jakem się późniéj dowiedział, całusy Alcyny marnie nie poszły, bo Horbusz w ciągu téj przejażdżki wstąpił z nią do kilku sklepów najpierwszych w Oriundzie, i kupcom zalecił, żeby na jego rachunek wszystko dawali Alcynie, co jéj w ich sklepach się podoba. Ona się tą hojnością wielce uradowała, nie przewidując, że ztąd może wypłynąć dla niéj nie mała nieprzyjemność.

Kiedy powróciła z Horbuszem do apartamentu w którym my na nią czekali, zachwyconą została porządkiem jaki w nim zastała. Wypocząwszy po podróży, ubrała się najgustowniéj, i kazała siebie zawieść na teatr do loży, którą już dla niéj przygotował był

Horbusz. Nowo przybyła piękność zajęła na wstępie wielu panów i paniczów, którzy widząc że wczasie antraktów Horbusz nawiedza ją w loży, jego obskoczyli, żeby się dowiedzieć co ona za jedna. Już przy wyjściu z teatru, kilku zabrało z nią znajomość, odprowadzając ją do karety, a nazajutrz już mieliśmy kilka wizyt, a kart wizytowych mnóstwo.

Oriunda stała się dla Alcyny miejscem nowych, a świetniejszych jeszcze niż w Kukurze tryumfów. Często u nóg jéj siedząc przypatrzyłem się jak ona stawiła sidła na niebacznych. Każdemu miłość i wierność zaprzysięgała; im więcéj było datku, tém silniejszą była jéj namiętność. Umiała na zawołanie łzami się zalewać. Po sercach adoratorów grała jak po klawiszach. Wszyscy głowy tracili. Ale wkrótce wielkiéj doświadczyła katastrofy.

Horbusz poległ, o honor Alcyny, w pojedynku; z kąd dla niéj najsmutniejsze poszły następstwa.

Trzeba wiedzieć że Horbusz, oprowadzając ją po sklepach, oświadczył kupcom, żeby dawali Alcynie wszelkie towary jakich zażąda, a że na wypadek gdyby za nie nie zapłaciła, on ją zastąpi, byle mu rachunek przez nią podpisany pokazali. Ona go nie oszczędzała, i bajeczna massa drogocennych towarów do niéj się przeniosła. A że miesiąc już się kończył, ona wszystkie rachunki kupcom podpisała, bynajmniéj nie targując się o cenę, bo ją to nic nie kosztowało. Kupcy nazajutrz z rana udali się do Horbusza, ale

go nie zastali, bo on właśnie był wyszedł na pojedynek. I doczekali się jak jego nieżywego przywieziono do domu.

Spadkobiercy Horbusza ani mówić sobie nie dali o wypłacie rachunków Alcyny, i sami kupcy się przekonali, że przez żaden sposób nie mogli ich do tego obowiązać. Wrócili więc do Alcyny, domagając się od niéj uiszczenia się za towary przez nią u nich wzięte. Alcyna była nadto chciwą, żeby postąpić wedle prawideł zdrowego rozsądku. Nastąpił gorszący proces między nią a kupcami. Noga jéj zupełnie się powinęła, bo Horbusz nietylko że miał możną rodzinę, ale był powszechnie lubiony i żałowany. A że jéj przypisywano, nie bez słuszności, jego śmierć, najzapaleńsi jéj wielbiciele ją odstąpili. Sprawę przegrała na głowę. Zalicytowano wszystkie jéj rzeczy, od sukien i bielizny, aż do meblów i klejnotów, ledwo za trzecią część ich wartości; a że jéj długi o dwa razy na sób przewyższały kwotę z licytacyi zebraną, wyrok sądowy kazał ją wtrącić do więzienia, aż do zupełnego zaspokojenia jéj wierzycieli. Rada nie rada musiała się zdobyć na wyzucie się z tego wszystkiego co przez lat kilka uzbierała, i powróciła do Kukura z bardzo skromnym pakunkiem, z sakiewką omal że nie pustą.

Co do mnie, w tém zamieszaniu uciekłem z domu, by gdzie indziéj szczęścia szukać, bo nie było czego się trzymać Alcyny zrujnowanéj.

IX.

Skoro się zebrali Emirowie, a Sułtan zasiadł, nim paź zaczął postępywać w opowiadaniu swojem, Sułtan powiedział: „Przyznaj Nazarejczku, że my mamy słuszność w tém, że zamykamy nasze kobiéty, i trzymamy je pod strażą; mężczyźni nie widzą u nas innych kobiét, tylko te, które się przedają na bazarze. Jak się któremu jaka z nich podoba, a ma pieniądze, kupuje ją i zamyka. Podobna Alcyna u nas zjawić się nie może. Ale ciekawy jestem, czy ta Alcyna, wyrwawszy się z Oriundy, na nowo wróciła do straconych powodzeń, czy znowu znalazła źródło bogactw i zbytków w głupstwie mężczyzn?“

— O tém nie wiem, Najjaśniejszy Panie, bo odtąd nigdy się z nią nie spotkałem. Ale wątpię; podobne kobiéty, przeżywszy część życia na puchu i jedwabiu, zwykle kończą życie na słomie i barłogu.

— „Niech będzie błogosławiony sprawiedliwy Allah i Mahomet jego prorok! Mów, Nazarejczyku, dokąd się udałeś, jakeś uciekł z domu Alcyny?“

— Trzeba wiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że uciekłem

na czczo i głodno. Biegając po dachach, takiego głodu doświadczyłem, że zdawało mi się iż wnętrzności się palą. Z góry spostrzegłem na ulicy stragan, na którym leżały kiełbasy i słoniny, jadła ulubione od kotów. Zauważyłem, że przekupka była odeszła. Spuściłem się z dachu na ulicę, przemyśliwając jakby uchwycić to, na co pożądliwém okiem patrzałem. Już łapką dotykałem celu mych żądz, gdy kundys ogromny, który w niebytności przekupki odbywał wartę przy jéj towarze, rzucił się na mnie. Jedyny ratunek był w ucieczce. Kundys za mną w pogoń. Skrzydeł mi strach przydawał, ale przebrzydłe psisko, widać że musiał być pokurczem po charcie, leciał za mną jak strzała. Czułem jego oddech na mojéj skórze. Na moje szczęście w ucieczce przebiegłem koło kamienicy otwartéj, rzuciłem się w jéj wnętrze, i prosto pobiegłem na schody. Mój nieprzyjaciel może i tu by mnie nie dał pokoju, ale młoda kobiéta, trzymająca za rękę dziecinę najwięcéj pięcioletnią, spuszczała się temi schodami do sieni.

Zziajany znojem i strachem, położyłem się u nóg dziecięcia, i zacząłem mu się łasić. Pies nie śmiał za mną się zapędzać i zniknął, a dziecina jęła gładzić rączką moje jedwabiste kudły. Bo, jakem miał zaszczyt już powiedzieć Waszéj sułtańskiéj Mości, byłem kotem rzadkiéj piękności w swoim gatunku. Niewiasta prowadząca dziecinę, widząc że nic jéj odemnie oderwać nie może, wzięła mnie na ręce, i wróciła do

swoich pokojów. Tam zaraz dała mnie talérz kaszki na mléku, pozostałéj z śniadania dziecka. Potrzebowałem tego śniadania, po którém, jeżeli niezupełnie zostałem nasycony, przynajmniéj mógłem cierpliwie oczekiwać objadu. I moją wdzięczność zaraz okazałem skacząc, swawoląc z dzieciną, i oblizując jego rączęta.

Młoda niewiasta była matką tego dziecka, jakem się potém dowiedział, bo na nią patrząc, nigdy bym się tego nie domyślił. Dziécię miało rok piąty, a w jego matce było coś tak skromnego, coś tak dziewiczego, tak świéżego, że wziąłbym ją za dziewczynę szesnastoletnią. Była to blondynka, na którą raz rzuciwszy oko, nie było sposobu z niéj go oderwać. Włos jéj był jasny, oczy ciemnoszafirowe, ozdobione rzęsem ciemnym i długim, usta téj barwy wschodu, która nocne rozpędza cienia, płeć biała jak puszek damasceńskich gołębi, wzrost średni, plecy i piersi jakby wytoczone, nóżka jakiéj podobnéj nigdy nie widziałem, talia tak cieniutka, że zaledwo w obrączce nie można by było jéj ścieśnić, a w spojrzeniu taka łagodność, taka tkliwość, coś tak ujmującego, że jeszcze wprzód nim się odezwała, trzeba było już ją kochać, a cóż dopiéro kiedy jéj głos srebrzysty popieści ucho!

Kiedy wtapiała się w uważaniu moich pieszczot z dzieciną, raptem drzwi wewnętrzne się otworzyły, i pokazał się młodzian, równie jak ona piękny, z wiel-

kim pugilaresem pod pachą. Ona ku niemu skoczyła, zawiesiła się na jego szyi, i rzekła: „Patrz, jaki skarb sam z siebie wpadł w moje ręce. Czy uważasz, Aznamie, jaką nasza Aza ma pociechę? Widziałżeś kiedy podobnie pięknego kota? a jaki łaskawy! jaki dowcipny!“ Aznam z uśmiechem na mnie spoziérał, ja się popisywałem przed nim z rozmaitemi mojemi sztuczkami, a nakoniec skoczyłem zgrabnie na jego ramiona.

Nabawiwszy się chwil kilka ze mną, oddał mnie za mną tęskniącemu dziecku, a po kilkakrotnie objąwszy w swoje ramiona nadobną żonę, i tuląc ją do swojego serca, rzekł do niéj: „Zeli droga, żegnam cię, bo do moich obowiązków spieszyć muszę. O jak szczęśliwy jestem, że dostałaś coś, co ciebie w ciągu dnia choć chwil kilka rozerwać może. Ty zawsze w smutku, a ten smutek rozdziera serce moje. Ach żebym cię mógł widziéć wesołą, nicby nie brakowało mojemu szczęściu.“ — „Ach mężu, czyż mogę być wesołą, kiedy hańbą jestem okrytą, kiedy oczów na ciebie nie śmiem podnosić, na ciebie, którego nad wszystko kocham. A jednak...“ — „Zeli, przerwał jéj Aznam, przestań siebie dręczyć podobną myślą. Jesteś zawsze najcnotliwszą żoną, najgodniejszą z niewiast. Tyś szczęście, tyś jedyną pociechą moją. A ja, czyż mogę nie cenić tych ofiar, co je dla mnie, dla naszego dziecka czynisz?“ — Zeli przytuliła głowę schyloną do piersi małżonka, a lubo rozstawała się z nim tylko na kilka

godzin, spostrzegłem na jéj rzęsach kilka łez, zawieszonych, jak perełki indyjskie.

To było dla mnie tajemnicą. Kochała męża, i nawzajem od niego była kochana. Miała dziécię prześliczne, równie jak ona sama łagodne, dziécię na którém się skupiały wszystkie jéj nadzieje. Widocznėm było, że żyła w dostatkach, bo miała wygodne i piękne mieszkanie, wykwintnie ubrane, złote kobierce po wszystkich ścianach wisiały, było tam wiele sług, wszystko co ją otaczało, zdawało się być do niéj przywiązaném. A przecie nie była szczęśliwą.

Po dwóch czy trzech dniach mojego pobytu w ich domu, gdzie opływałem we wszelkich zbytkach, jakie tylko mogą dogodzić najwymyślniejszemu kotowi, jednego wieczora Aznam siedział przy kominku. Zeli w drugim pokoju właśnie wtenczas usypiała miłą Azę, bo za nicby tego starania piastunce nie odstąpiła. Dziécię usnęło; Zeli powróciła i obok męża siadła przy kominku, a ja wcisnąwszy się między ich krzesłami, podzielałem z niemi przykominkową przyjemność. Słuchałem rozmowy małżonków. Były to ciągłe wynurzenia uczuć zakochanéj w sobie pary. Nic sentymentalniejszego żaden romansopisarz nigdy nie wymyślił, a to wszystko nosiło na sobie takie cechy rzetelności, że ja co pomimo człowieczego rozsądku, byłem jednak kotem, ze wszystkiemi kociemi złemi skłonnościami, wszakże nie mogłem się nie rozrzewnić na

ten obraz miłości, i przywiązania wzajemnego tak dobranych małżonków.

W tém wszedł służący z oznajmieniem, że Wielki Kardasz (urząd odpowiedni wielkiemu Wezyrowi) zapytuje, czy pani przyjmuje jego nawiedziny. „Powiédz, że mnię w domu nie ma“ — odpowiedziała Zeli. — „Co robisz,“ przerwał z pospiechem Aznam „Przyjmuje“ — krzyknął na służącego. — „Ach mężu, w jakąż przepaść coraz głębiéj mnie zanurzasz! Nie, nie, zerwać trzeba te stosunki..... Czy możesz patrzéć na nie? Czyż się nie wzdrygasz, widząc jak zmuszoną jestem narażać się codzień na niebezpieczeństwo?“ — Łzy stanęły w oczach Aznama: „Zeli, odrzekł głosem nieco przygłuszonym, twoja dusza, twoje serce, są mi rękojmią, że wyjdziesz zwycięzko. Ale usłuchać cię, wyjechać z tąd nie mogę! Zważ jakie nasze położenie? Czy mamy prawo pogrążyć z nami w niedolę nasze dziécię, naszą niezrównaną Azę? Zeli kochana! zastanów się!... Trzeba zręcznością nadrabiać, aż da Bóg, czas władzy Kardasza przejdzie!“...

Ciekawy byłem niezmiernie widzenia się mojéj pani z Kardaszem; lecz w térn na nieszczęście zbudziło się dziecko i niańka poniosła mnie jemu do zabawy, zamykając drzwi od pokoju pani.

Z czasem, zostając w tym domu, a słuchając męża i żonę rozmawiających z sobą, dowiedziałem się jakim sposobem zawiązały się stosunki téj ostatniéj z Kardaszem, i całéj historyi jéj życia.

Jéj ojciec był wojakiem nizkiego stopnia, który wysłużył sobie nie wielką do śmierci płacę, opuszczając służbę, tak że z żoną swoją musieli pracą przyczyniać się do wystarczenia przez rok. Mieli jedną tylko córkę, i pomimo ubóstwa swojego, dali jéj najlepsze wychowanie. Dziécię wzrastało w cnotach i naukach, a czarująca piękność Zeli rozwinięta już w piętnastym roku jéj życia, wszystkich oczy zwracała ku sobie. Mogłaby zostać małżonką nie jednego bogacza, ale idąc za skłonnością serca, przywiązała się była do Aznama, szlachetnego młodzieńca, ale ubogiego jak ona. Ojciec Zeli powiedział jemu: „Aznamie, ty jesteś wzorem młodzieży, los mojéj córki chętnie tobie powierzę, ale zważ sam, że wasze stadło wystawiałoby skojarzeniu się głodu z pragnieniem. Bylebyś otrzymał jakie miejsce, któreby ci jakikolwiek środek do utrzymania żony zapewniło, bez wahania oddam ci ją."

Młodzieńcowi udało się umieścić w kancelaryi Wielkiego Kardasza. Tam pracą i zdatnością zwrócił wkrótce ku sobie uwagę swoich zwierzchników, i postąpił na naczelnika jakiegoś wydziału. Z jaką radością przybiegł do rodziców Zeli z oznajmieniem poprawy w jego losie; jakąż radość okazała Zeli, kiedy się o tém dowiedziała! Ich wzajemna miłość uwieńczoną została, a w rok niespełna po ślubie Bóg ich pobłogosławił urodzeniem Azy. Nic już nie można było przydać do ich szczęścia; Zeli zostawszy matką, jéj piękność nowym zakwitła wdziękiem, nie można

było jéj widziec bez zachwycenia. Wielki Kardasz, kiedy piérwszy raz ją ujrzał w świątyni, od piérwszego rzutu oka w niéj się zakochał, a że mu powiedziano, iż jest żoną jednego z jego podwładnych, chciał ją poznać koniecznie. Jak się do niéj zbliżył, jak ją usłyszał mówiącą, jak się przekonał, że jéj piękność, jakkolwiek nadzwyczajna, nie przewyższa jéj rozumu, miłość jego wzmogła się do szaleństwa.

Zeli, gdyby była mogła iść za popędem serca, ze wzgardą byłaby odepchnęła jego hołdy; lecz ponieważ cały los jéj męża zawisł od Kardasza, i ten mógł ich jedném słowem wepchnąć w nędzę, niepodobna go było obrazić i rozjątrzyć, odbiérając mu zupełnie nadzieję. — Kardasz, jakkolwiek nie był złym w gruncie, był namiętnym, a namiętności możnych są niebezpieczne. Najjaśniejszy Panie, dla człowieka którego wola wpływa na los narodów, który jéj skinieniem może uszczęśliwić, lub pogrążyć w ostatnią niedolę, mało dla niego być poczciwym, trzeba żeby był świętym. Bo jeżeli jest dostępny zapałom miłości, uczuciom zawiści, podszeptom zemsty, czegóż jego potęga się nie dopuści?

— „Tylko uwolnij mnie od tych uwag moralnych, przerwał Sułtan. Tyś nigdy nie wpływał na los narodu, nawet kotami nie pozwolili tobie rządzić; zkąd ty masz wiedzieć o przymiotach lub wadach władzców ludzi? Bardzo tego nie lubię kiedy kto nie w swoją rzecz się wdaje! No mów daléj.“

— Ażeby nie obrazić Kardasza, musiała biédna, niewinna i szczérze męża kochająca Zeli, taić niechęć i wzgardę, którą ją ten przemożny zalotnik przejmował, i nietylko go nie unikać, ale nawet przyjmować w domu swoim, postępowaniem swém nieodbiérając mu nadziei, że z czasem uda mu się zniewolić jéj serce. Aznam spodziéwał się, że przecie przyjdzie chwila, kiedy Kardasz, wypadłszy z łask monarchy, przestanie im być niebezpiecznym, i będzie mógł oswobodzić żonę od jego zalotów. Chodziło o to tylko, aby zręcznie łudzić tak długo Kardasza. Zeli była przebiegłą, i umiała, nie odrzucając jego zalotów, trzymać go ciągle w przyzwoitéj odległości. Ale i ta komedyja była dla jéj uczuć zgrozą, bo tak wysoce ceniła sobie obowiązki żony, że nawet słuchanie, choć z obrzydzeniem, oświadczeń miłosnych Kardasza, uważała sobie za zbrodnię, i tém się truła. Tak więc z jednéj strony gwałt ciągle sercu zadawany, z drugiéj bezustanna o los męża trwoga, czyniły ją wśród największego domowego szczęścia nieszczęśliwą.

Żeby Zeli, do tego instynktu cnoty, łączyła energiczne przekonanie religijne, wyszłaby z tego położenia, którego niegodziwości przed sobą nie taiła. Byłaby się wydaliła wraz z mężem do innego kraju, gdzieby ich władza Sardara nie dosięgła. Mogłaby tam żyć w cnocie, a nawet w dostatkach, bo już i dostatki posiadali, z darów królewskich, wyjednanych wprawdzie przez Sardara, ale których Aznam mógł używać bez

wyrzutów sumienia, bo gorliwością swojéj służby na nic zasłużył. Ale ona młoda, niezdolna do przedsięwzięć energicznych, umiała tylko płakać nad zdrożnością życia, któremu się oddała, a z drugiéj strony, Aznam za nic by się nie odrzekł swojego świetnego zawodu.

Rzecz dziwna, że osoba tak delikatna, tak słaba jak Zeli, życiem nie przypłaciła tych wzruszeń, tych walk, które wytrzymać musiała. Widocznie coraz więcéj się przywiązywała do Sardara, i z tego powodu coraz silniejsze walki z sobą toczyła, w których wszakże zwyciężała. Jéj los każdego człowieka politowanie by wzbudził, ale że miałem naturę kocią, zabawkę sobie z tego robiłem. I tak ile razy górowała miłość Sardara, lub Zeli widoczniejszy okazywała mu udział, ja wtenczas miauczałem przeraźliwie, bo wiedziałem dobrze, że jéj drażliwe sumienie tym się zatrwoży, jakby głosem ostrzegawczym. I w saméj rzeczy, te moje piszczenia o tyle ją przerażały, o ile gniewały Sardara. Nie śmiał mnie bić w przytomności Zeli, ale wynosił mnie do sieni, i tam pięścią mnie często obdarzył. Ta moja swawola stała się powodem przeniesienia gdzieindziéj mojego siadła.

Pewnego czwartku, po rozmaitych przejściach, najmilszych chwil i najdotkliwszych wymówek, kiedy Sardar i Zeli, wieczerzając z sobą, oddawali się pospołu powabom dowcipnéj rozmowy, Sardar, w czasie kiedy Zeli z nim rozmawiając, nadobną rączką pieściła moje

jedwabiste kudły, rzekł do niéj: „Moje kochanie, nie śmiem cię prosić o jednę wielką ofiarę.“ — „Mów Sardarze, wszak wiész, że żadnéj ofiary tobie odmówić nie mogę.“ — „Miarkuj Zeli, że ktoś przed moją żoną tyle naplótł o twoim kocie, że gwałtem pragnie go dostać. Ty wiész moje położenie względem niéj, i jak drogo opłacam zaszczyt być szwagrem króla. Teraz pokoju mi nie daje. Jeżeli go nie otrzyma, Bogowie wiedzą, do jakich ostateczności ta wyniosła i gwałtowna kobiéta gotowa się posunąć. Oddaj mi go, kochana Zeli, by mnie wyzwolić od tych domowych udręczeń.“ — „Chętnie, Sardarze, zgadzam się z wolą twoją. Jakkolwiek ten kot mi jest miły, a największą zabawą Azy, z radością nawet się z nim rozstaję, byle ci oszczędził kilka chwil przykrych; żeby zaś tym sposobem zaskarbić i dla mnie łaskę księżniczki, tak to ułóż, iż ja, dowiedziawszy się, że ona go mieć żąda, ośmielam się go jéj przysłać w upominku.“

Po czułych Sardara z Zelą pożegnaniach, na które ostatni raz patrzyłem, Sardar wziął mnie na ręce swoje, a wychodząc powierzył mnie swojemu niewolnikowi, z rozkazem aby niewolników Zeli zaprowadził do jego pałacu, a tam w imieniu Zeli żeby wręczyli tego kota jego żonie, a mnie im oddając, nie omieszkał obdarzyć porządnym buchańcem, który mi długo pozostał na sercu.

jednakże dodały mu odwagi. „Moja kochanko, nie dziwisz się prośbie o jeden miesiąc zwłoki" — „Miła Sawitro", rzekł wtedy, „to dzień, w którym [illegible] odrzucić nie mogę" — „Mądry Żeli, a teraz proszę moją żonę tylko napisać o twoim koniu, że gwałtem pragnie go dostać. Ty więcej moje postanowienie względem niej, i jak drugo uplanuj [illegible] kiedy [illegible] Teraz [illegible] od [illegible] kiedy go nie otrzyma, [illegible] zbłądzi, że jakieś [illegible] te wyciąga i gwałtowna kochanka gotowa się pomścić. Oddaj mi go, kochana Żeli, by mnie wyzwolić od tych [illegible] udręczeń" — „Chętnie", [illegible] wyzbędę się z woli twojej. Jednakowoż ten koń mi jest miły, a najpiękniejszy [illegible], z pewnością [illegible] się w [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się, że ono co [illegible] [illegible] [illegible] się go już przyrzekł w upominku"

Po [illegible] [illegible] z Żeli [illegible] [illegible] [illegible] nie [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible] swoją, a [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] niewolności, z [illegible] [illegible] [illegible] Żeli [illegible] do jego [illegible] w [illegible] Żeli [illegible] [illegible] jego konia [illegible] konia, a [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] od [illegible] [illegible] na [illegible].

X.

Niewolnik Sardara zaniosł mnie do pałacu jego, a z nim poszedł i niewolnik Zeli. Ten odesłany został z zaleceniem, żeby nazajutrz o południu przyszedł, aby go wręczyć żonie Kardasza, a tym to sposobem dostać wynagrodzenie od niéj, z którego połowę wymówił sobie niewolnik Sardara. Ten zaniosł mnie do swojéj izby, a w obawie żebym nie uciekł, zamknął mnie w obszernéj drucianéj klatce, pozostałéj po jednéj z papug, którą jeden z paziów Azais był wyprawił ze świata poczęstowaniem ją gorzkim migdałem. Zamknięty jak więzień, oka zmrużyć nie mogłem, a tylko myślałem i rozbierałem przed sobą to wszystko, na co patrzałem u Zeli.

Że ta kobieta, pomimo przywiązania swojego do męża, ulegała woli Sardara, jak jenerał oblężony w twierdzy, który nakoniec podpisuje kapitulacyję; że stopniami wzwyczaiła się do tych związków z człowiekiem ze wszech miar miłym; że jéj serce tak dalece nie było zapełnione miłością małżeńską, by już w niém niezostawała jakaś próżnia dla innéj miłości: w tém

wszystkiém nie było nic tak dalece nadzwyczajnego, a że żona zadaje szwank wierności małżeńskiéj, z tego nie koniecznie wypływa (lubo to się zdarza często) by zaraz miała znienawidzić męża. Owszem bywa często, że żony lubo szczerze przywiązane do mężów, płatają im swoje sztuki, a nigdy dla nich nie okazują siebie tak czułe, tak kochające jak wtedy, kiedy się poślizną, i to bez najmniejszéj obłudy. Jest to niby jakaś indemnizacyja którą dają dla zaspokojenia nieco własnego sumienia. Jest to dowodem dobréj strony natury ludzkiéj, która i w zdrożném nawet życiu, nie zupełnie się niszczy.

Ale co dla mnie trudniejszém było do pojęcia, to że Aznam, człowiek wcale nie podły, kochając żonę swoją, znosił spokojnie ten podział jéj między nim, a innym, lubo pod względem uczuciowym ponosił szkodę niczém niewynadgrodzoną, podczas kiedy Zeli miéwała chwile rozpaczy, i to nie rzadkie. Moja kocia przenikliwość przy rozumie człowieczym tu była w szwanku. Kot położeniem swojém do domu tak dobrze jak przykuty, ma wyborne stanowisko, dla wybadania wszelkich tajników serca gospodyni tego domu. Bo cała epopeja jéj życia, a przynajmniéj najciekawsze jéj epizody, w domu własnym się odbywają. Podejrzywam że jedność miejsca tak przestrzegana w poematach dramatycznych, musiała być zainstynktowana piérwszy raz przez jakąś kobiétę. Bo jest jedno i to samo miejsce w domu, gdzie najważniejsze jéj życia

zagadki, zawsze się rozwięzywały, a możnaż przypuścić, żeby płeć piękna, przywykła mieszać się do wszystkiego, żadnego nie miała udziału, w ułożeniu prawideł poezyi, płeć nierównie więcéj poetyczna niż nasza? Co się tyczé mężów, ich postępki dla koła są niepodobne do zbadania, bo te zwykle po za domem się dopełniają. Wszakże przez dziwne a wypadkowe zdarzenie, otrzymałem klucz postępowań Aznama.

O samém południu Marszałek Nadworny Azais, kazał mnie włożyć w kobiałkę muszlinem zakrytą, i poszedł do swojéj pani, sam z tyłu, a przodem niewolnik Zeli, i drugi Sardara, ten sam, któremu mnie u Zeli oddał. Każdy z nich trzymał ucho od kobiałki, na któréj leżałem. Marszałek przypuszczonym zostawszy do apartamentu Azais, zameldował jéj, że żona Rzeczywistego Dzięcioła Stanu (taki był urząd Aznama), dowiedziawszy się, że królewna małżonka Wielkiego Kardasza, upodobała sobie jéj kota, za nadto szczęśliwą poczyta siebie, jeżeli ta potężna Pani, raczy go od niéj przyjąć jako hołd uszanowania. Azais kazała przybliżyć kobiałkę, sama zdjęła muszlin. Ja wyskoczyłem z kobiałki, i zacząłem popisywać się rozmaitemi sztukami: jako służyć na tylnych łapkach, przewracając koziołka, i to wszystko co umiałem, a nakoniec padłem u jéj nóg czołem o ziemię. Od piérwszego razu tak umiałem się jéj podobać, że mnie wzięła na swoje kolana, aby mnie popieścić, a potém położyła mnie obok siebie na szeslongu. Ja zeskoczyłem z mojego

miejsca do jéj nóg, żeby przy nich wartę odbywać, miaucząc i pazury pokazując każdéj służącéj, która się do niéj przybliżyła. Tém jeszcze głębiéj wkorzeniłem się w jéj łasce. Azais na znak swojego zadowolenia rzuciła niewolnikowi Zeli parę garści złota. I zaraz kazała przywołać jednę z piérwszych dam swojego dworu, i wyprawiła ją natychmiast do Zeli z zaleceniem, by jéj oświadczyła, że królewna Wielka Kardaszowa uprzejmie przyjęła jéj ofiarę, prosząc ją by nawzajem przyjęła sznurek pereł, który jéj posyła, z dodatkiem, że siostra królewska będzie rada jeżeli jéj się przedstawi, i ręką kiwnęła na znak żeby dama jak najspieszniéj spełniła jéj rozkaz.

Zacząłem rozpoznawać moje nowe pomieszkanie, bo jak wiadomo Waszéj sułtańskiéj Mości, kotowi zawsze więcéj chodzi o sam dom, niżeli o jego mieszkańców. Salon który służył jéj za gabinet, w którym trzy części czasu przesiadywała, i gdzie przyjmowała tych, których dobrze znała, był omal że nie tak obszerny jak salon do tańcu. A tak ubrany bogato i gustownie, że nie można było na niego się napatrzéć. A jaki przepych w sprzętach: okna jednoszybne, olbrzymie źwierciadła, wiszące pająki z weneckiego kryształu, przecudne rzeźby, szafki na książki, klawikord, arfa, a wszystkie stoły, biórka, sofy i krzesła były z drzewa sandałowego, a w nim inkrustacyje złota i perłowéj macicy. Były klatki z drutów szczérozłotych rozmaitéj wielkości, a w nich żyjące istoty, jako małpy,

bobaki, wiewiórki, japońskie gołębie, słowiki, rajskie ptaki, papuga ulubiona Zeli, a któréj klatka była nawet ozdobna drogocennemi kamieniami, o któréj już w domu Zeli słyszałem jako o ósmym cudzie świata. W saméj rzeczy tak płynnie mówiła jak sześćdziesięcioletni jurysta. Te wszystkie żyjątka nie małą grały rolę w państwie Babistańskiém. Nie jeden otrzymał korzystną posadę jedynie dla tego, że umiał się im zasłużyć. A ktoby mógł opowiedzieć lub opisać te wszystkie bogactwa, które tam dawały się widzieć!

Azais siedziała na swoim szeslongu, obok szeslonga stał duży stolik, wytwor kitajskiego kunsztu, na nim leżało kilka książek, mnóstwo drogocennych rupieci, i flaszeczek z pachnidłami. Na ścianie nad szeslongiem wisiał wielki obraz wyrażający świętéj pamięci króla jéj ojca, a po innych ścianach widać było mnóstwo kosztownych pomniejszych obrazów. Na stronie przeciwnoległéj stolika, stał parawan żywy, to jest treliaż, po którym się okręcał jakiś osobliwszy powój, okryty kwiatami, barwy i wielkości róży, a woni konwalii. Azais, chociaż w rannym ubiorze, śklniła się złotem i drogiemi kamieńmi. Ona cztéry razy na dzień się przebierała, a ciągle powtarzała, że byle była czysto ubrana, zresztą sługi ją odziéwają jak im się podoba, bo stroje jak najmniéj ją obchodzą.

Azais była kobiéta wcale piękna, wzrost słuszny, kształty proporcyjonalne, rysy twarzy regularne chociaż może nieco za wyraziste, oczy duże czarne, płeć bla-

da, ale rzadkiéj białości, włosy długie połyskujące jak krucze pióra. Ale w niéj było coś tak dumnego, tak zimnego, że oprócz zadziwienia przymieszanego z jakąś bojaźnią, nic innego, jak mi się zdało, jéj widok wzniecić nie mógł. Tak sroga i wyniosła piękność ani czuć, ani wzniecić zapałów miłości nie powinna. Z tego com słyszał u Marszałka jéj dworu podczas kiedy u niego byłem uwięziony w klatce, dowiedziałem się, że Kardasz z żoną swoją żyli dość obojętnie; jednak Azais będąc siostrą królewską, wielkie miała wpływy w rozdawnictwie urzędów, a tych było co niemiara w Babistanie. Jeżeli Babistanczykowie nie byli szczęśliwi, to nie przez brak opieki rządowéj. Bo ich pożywienie, ubranie domów, zabawy, nawet sen zostawał pod opieką urzędników sowito opłacanych. Była kontrola nad lotem ptaków, nad muchami, nad śmieciami ulicznemi, nad rozmowami prywatnemi, każdy takowy wydział miał naczelnika, ten liczną kancelaryję i pomocników bez końca, wszystko to płatne do zbytku, nietylko oni, ale ich żony, ich dzieci, ich nawet bliscy krewni. Żołniérz czasem umierał z głodu, ale urzędnik opiekujący się szczegółami szczęścia narodu, był zawsze syty, a nawet przez wzgląd na jego tak korzystną dla narodu pracę, tolerowano w nim kradzieże. Dość, że taka wielka była masa urzędników pod tym ojcowskim i rozumnym rządem, że Azais była potężną w narodzie, choćby tylko tém, że od jéj woli zależało dać lub odmówić urząd, gdyż Wielki Kardasz dla zacho-

wania pokoju domowego i względów króla, nigdy się nie ośmielił czegokolwiek jéj odmówić. A jéj wyniosłość zadowolona potęgą od wszystkich jéj przyznaną, robiła się wyrozumiałą na przewinienia innego rodzaju jéj męża; przewinienia pomimo jego ostrożności wszystkim wiadome, a z których owszem umiała korzystać.

Jakkolwiek nie oszczędzała dla mnie swoich pieszczot, jakkolwiek dwie służące przeznaczyła na wyłączne dla mnie posługi, na wstępie poznałem, że Azais była największą na świecie kapryśnicą, a do tego tak chytra, że umiała pozyskać odgłos powszechny najcnotliwszéj żony, najlepszéj pani, najnieszczęśliwszéj a zawsze cierpliwéj ofiary w pożyciu domowém, lubo na to nie zasługiwała. Piérwszy raz co na jéj przebieranie patrzałem, o tém mnie przekonał. Siadła przy gotowalni, około któréj stanęło dwanaście panien dla jéj ubrania. Wszystkie były zręczne jakby wróżki, a żadna z nich nie mogła jéj dogodzić. Ciągle je ofukiwała i sypała cierpkie wymówki, a bez przestanku to jednéj, to drugiéj dawała rozkazy, często niezrozumiałe a zawsze przeciwne sobie; a żadna z nich wysłużyć sobie nie mogła ani oznaku zadowolenia, ani tego słówka zachęty, którém dobre panie umieją osładzać przykrości nieoddzielne od służebnictwa. One stały jak na szpilkach, ciągle latały dla spełnienia jéj rozkazów. Z razu litowałem się nad témi biédnemi istotami, ale zaraz i przestałem je żałować, zważając, że ta służba musi mieć jednak swoje powaby, kiedy

panny piérwszych domów dobijały się o nią. Oprócz pociągu jaki mają poddani do krwi swoich panujących, pociąg zresztą właściwy, wkrótce poznałem, że była jeszcze inna przyczyna, dla jakiéj się dobijają o jéj służbę. Azais w drobnościach była skąpą, ledwo że nie brudną, ale miéwała częste chwile rozrzutności, z jakich jéj słudzy nie zaniedbywali korzystać. Nakoniec jeżeli powszechnie przyznają, że dobrze jest trzymać się wielkiéj klamki, czegoż nie można było roić sobie na przyszłość, służąc téj, która była żoną Wielkiego Kardasza, a razem siostrą ulubioną Króla?

Po ukończeniu swojéj toalety, ubrana jak królowa, a piękna jak bogini, Azais wróciła do swojego salonu, a ja za nią. I tam usiadła na swoim szeslongu, wziąwszy ze stołu jakąś książkę, którą trzymała w ręku, ale sobie nie dała pracy jéj otworzyć. I tak z książką w ręku czekała nawiedzin do jakich o téj porze była przygotowaną. Dopiéro otworzyła książkę, kiedy usłyszała poruszenie podwojów. Wszedł klucznik będący u niéj tego dnia na służbie, ugalonowany i ohaftowany z oznajmieniem, że Wielki Kardasz zapytuje, czy jéj Wysokość raczy mu pozwolić by jéj złożył swoje uszanowanie. — „Niech wnijdzie,“ rzekła Azais, oczów nie odwracając od książki. Klucznik wyszedł, a wkrótce pokazał się Sardar. Skłonił się nizko przed żoną, przybliżył się do niéj, wziął jéj rękę, i na niéj położył pocałowanie z najgłębszém uszanowaniem. Azais dając mu swoją rękę, ledwo okiem na niego

rzuciła. Sardar zajął miejsce na krześle stojącém przy jéj szeslongu, a mnie spostrzegłszy u nóg mojéj pani wykrzyknął: „Co téż to za piękne stworzenie!“ i posunął rękę żeby mnie pogłaskać. Ale ja pamiętny na te dwa szturchańce, jakiemi mnie uraczył w domu Zeli, udrapnąłem rękę aż do krwi, i zaraz potém wyskoczyłem na przeciwnoległą stronę szeslongu. Sardar aż krzyknął z bólu, Azais parsknęła śmiéchem.

— Jednak to jest rzecz dziwna, rzekła, że mój kot tak niegościnnie przyjął twoje powitanie, wszak powinniście być dobrze zaznajomieni z sobą.

— Nie przypominam sobie, odpowiedział Sardar widocznie zmieszany.

— Wszak dziś właśnie Zeli mi go posłała w podarunku, a chociaż nie mam zaszczytu znać ją osobiście, uprzejmie przyjęłam ten niespodziewany dowód jéj łaski. Nawet pozwoliłam jéj stawić się przedemną. Ale ty Sardarze swojém zaufaniem zaszczycasz jéj męża, w jakiém zaufaniu bez wątpienia i żona jakiś udział otrzymuje. Musiałeś w ich domu tego kota często widywać, bo nie spodziéwam się, żeby mi go śmiała posłać, żeby nie był mieszkańcem jéj salonu.

— W téj przymówce, któréj znaczenie rozumiem, widzę skutek jakichś plotek tych, co ciągle usiłują nas poróżnić. Ale bądź Pani pewna....

— Dość tego, Sardarze, przerwała Azais, mierząc go dumném okiem. Powinieneś wiedzieć, że siostra króla twojego Pana, o żaden współzawód z ni-

kim się nie ubiega. Nasze stosunki Sardarze nie są takiéj natury, żeby niektóre tłómaczenia mogły być słuchane odemnie. Czy masz Sardarze do powiedzenia mnie coś takiego, co bym rada była słuchać?

— Za godzinę zbiera się rada państwa u króla Jegomości. Na nią idąc, wedle mojego zwyczaju przychodzę do mądréj Azais z zapytaniem, czy nie ma nic do rozkazania.

— Dziękuje ci Sardarze, że o mnie pamiętasz, odrzekła nieco łagodniéj. Przeniosłeś od stolicy Wielkiego Daychapa do zarządu oddalonéj prowincyi.

— Czy piękna Azais ma co przeciwko temu?

— O nie. Znam go z najlepszéj strony. Ile razy przychodził do mnie, zawsze miał kieszenie pełne łakoci dla mojéj papugi i moich małpeczek. Kto lubi zwierzęta, ten ludziom źle nie czyni. Jego żona była dla mnie nieznośną, i za nią tęsknić nie będę. Niech sobie zarządzają ludem Synguru, przekonana jestem że on ufności króla nie zawiedzie, i nie nadużyje szerokiej władzy jaka mu została powierzoną. Ale komu dać myślisz po nim posadę jaką zajmował, rada bym się od ciebie dowiedzieć.

— Dziś na radzie chciałbym królowi do tego urzędu przedstawić Alkaza.

— Co się Waćpanu stało? Ją na to nigdy nie pozwolę! Człowiekowi mało znanemu, bez stosunków, rzadko kiedy pokazującemu się u dworu, nie, to być nie może!

— Ale Pani, on jest piérwszym prawnikiem w całym Babistanie, od młodości zawodowi sądowniczemu się poświęcił. Nieskazitelności jego charakteru, nawet zawiść nie śmiała zaprzeczyć. Głos publiczny go powołuje do najpiérwszego urzędu sądowego, on...

— Już Waćpanu powiedziałam, że to być nie może. Trzeba żebyś Waćpan do tego urzędu przedstawił Tałałaja.

— Tałałaja?

— Z kądże to zadziwienie?

— Czyż podobna powierzyć najwyższe sądownictwo narodu, tak lekkomyślnéj głowie?

— Ciągle tylko same przykrości od Waćpana znosić muszę. Byłem kogo zaszczyciła mojemi względami, byle kto mi jakąś życzliwość okazał, można iść w zakład, że będziesz go prześladował. Tałałaj wiérsze dla mnie pisuje, grywa komedyje na moim teatrze, układa figury na moich balach. Widząc że jestem zaniedbaną od mojego małżonka, wszelkich usilności przykłada, żeby mnie rozrywać, otóż i gotowa przyczyna jego niełaski. Kiedy król mnie Waćpanu oddawał, powiedział mnie w jego przytomności: „Moja Azais, nie wybrałem dla ciebie obcego królewicza, ale poddanego, bo chcę ciągle patrzéć na twoje szczęście. Sardar zdoła ocenić zaszczyt, jakim go wywyższyłem, przypuszczając do mojéj krwi, a mnie to wynagrodzi szczęściem twojém." I jakież to szczęście, oto że ciągle mnie się sprzeciwiasz!

-- Droga Azais, wola twoja spełnioną zostanie, chciałem ci tylko przełożyć, że jak Tałajaj pokaże się niegodnym swojego urzędu, nie na mnie krzyk ludu spadnie, ale na ciebie, bo wszystkim wiadomo, że nikomu nie powierzam wysokiego urzędu, bez zasiągnienia rady mądréj Azais.

— No, wreszcie ja odstępuje Tałajaja, ale ty odstąp Alkaza.

— Czy możesz o tém wątpić? Jeżeli Alkaz nie umiał się tobie podobać, tém samém dowiódł, że nie jest godnym piastowania wysokiego urzędu; kogóż więc mam przedstawić królowi?

Tu Azais trochę zamyśliwszy się, odezwała:

— A gdybyś Aznama, męża Zeli, powołał?

Sardar spojrzał w oczy żonie.

— Czy żartujesz? odrzekł. Jabym go miał tak wysoko podnieść?

— Dla czego nie, on jest rzeczywistym Dzięciołem Stanu. Mało go znam, ale jak najlepiéj o nim słyszałam, zresztą jest mężem Zeli, nie powinieneś nic mieć przeciwko niemu.

— Nie! temu nie wierzę, byś to szczérze mówiła.

— I owszem, bardzo cię o to proszę.

— Chyba dla tego tylko to uczynię, żeby zadość uczynić twojemu żądaniu.

Więc na tém stanęło, że Aznam zostanie Daychapem.

— Niechże ci podziękuję, i łagodnie spojrzawszy na męża, wystawiła mu nadobny policzek, na którym pocałunek napiętnował. Ale ja, Najjaśniejszy Panie, pojąć nie mogłem, jaki był cel jéj tak dziwnego postępku.

W tém oznajmiono, że Owadnikowa Wielka Koronna, i Puchodrzyna Nadworna przybyły złożyć u nóg królewnéj swoje uszanowanie. To były matrony wielce poważane, stanowiły bezodwołalnie o reputacyi młodych dam dworu. Biada takiéj, która się im naraziła, bo zaraz padła na ich jadowite języki. To téż młode kobiéty jak ognia ich się obawiały. Ich mężowie mieli ważne urzęda u dworu; piérwszy opędzał muchy w czasie obiadu królewskiego, drugi był zwierzchnikiem nad temi co puch darły na pościele królewskie. Ich żony były baby gaduły, obmownice, plotki wszędzie roznoszające; obie miały wielkie znaczenie u dworu, zwłaszcza Puchodrzyna, bo posiadała ufność młodéj królowéj, tak dalece, że jeden z kluczników powszechnie wzgardzony, rozumu ograniczonego a nauki żadnéj, dla podniesienia siebie, poświęcił się, i został amantem staréj baby, jakoż na tém nie stracił, bo otrzymał za staraniem swojéj protektorki odgłos wielce uczonego męża, tak dalece, że został wyniesiony na zwierzchnika najwyższego, wychowania publicznego. Wszystkich to na początku zadziwiło, potém wzwyczajono się słyszéć o nim, że jest rozumnym i uczonym mężem. A tę reputacyję raz uzyskawszy, umiał

ją zachować, głosząc po pismach zagranicznych artykuły pod jego okiem pisane, w których go wynoszono pod niebiosa, jako wielkiego historyka, archeologa i filozofa. Tak to powolność dla baby, głupcowi przyniosła wszełkie korzyści i wziętość rozumu.

Jak weszły, przekonałem się, że to co mawiał Sardar Zeli o podwójnych obliczach swojéj żony, było najrzetelniejszą prawdą. Twarz Azais w okamgnieniu się odmieniła. Niewypowiedziany wyraz słodyczy i rezygnacyi zabłysnął na niéj; nie można było jéj poznać. Gdy te podstarzałe damy weszły, powstała na ich widok z miejsca, by je powitać z najczulszą uprzejmością, odłożyła zaraz książkę na stronę, i zaczęła się dowiadywać od nich o ich zdrowie, o ich zatrudnieniach, o ich rodzinie. Baby nie posiadały się z radości. Sardar widząc, że czas uchodzi, i już pora iść na radę, pożegnał żonę. Ona rzuciła się w jego objęcie, i rzekła do niego:

— Sardarze mój drogi, teraz jesienna pora, żebyś się czasem nie zaziębił, pozwól niech ci obwiąże szyję moim dywdykiem.

— Panie, odezwała się Owadnikowa, jakżeś szczęśliwy z tak kochającą ciebie żoną!

— Umiem cenić to szczęście, o najlepsza Azais, i dał jéj najczulszy małżeński pocałunek, który troskliwa małżonka dwukrotnie odpłaciła. Sardar wyszedł, a damy zostały same.

— Cóż to za piękny kot, odezwała się Puchodrzyna. Ale... nieinaczéj, tak jest, ten kot był faworytem Zeli, żony rzeczywistego Dzięcioła Stanu.

— A tak, odpowiedziała Azais, ona dziś właśnie mi go przysłała.

— I Wasza królewiczowska Wysokość go przyjęła z takich rąk, i jeszcze go pieścisz?

— Dla czegóż nie? odrzekła Azais z łagodniejszym jeszcze dźwiękiem głosu.

— A wszakże w całém mieście mówią, dorzuciła Owadnikowa, że Wielki Kardasz zapoznając anioła, co mu król powierzył, z nią pozostaje w niegodziwéj intrydze.

— To może być potwarz rzucona przez nieprzyjaciół mojego męża, odpowiedziała Azais głosem spokojnym. Wreszcie gdyby i tak było rzeczywiście, obowiązek żony jest wszystko cierpieć, a uległością dla męża dobijać się o odzyskanie jego serca. Jeżeli Sardar by pozwolił sobie względem mnie jakiego zapomnienia, powzięłam niezachwianą zasadę, na to oczy zamykać. Bo jeżeli Sardar mnie nie kocha, niechże mnie przynajmniéj nie nienawidzi.

— Wasza Wysokość jesteś bóstwem w najprześliczniejszém ciele ludzkiém, wykrzyknęły obiedwie baby, a Wielki Kardasz jest najniegodziwszym z ludzi!

— Proszę was, drogie przyjaciołki, przerwała Azais, nie mówcie tak o moim mężu, on ma wielkie cnoty. Kto wié, może ja sama dałam powód jego nie-

wiernościom, jeżeli (czemu wierzyć nie chcę) on się ich dopuszcza. Może nie byłam dość cierpliwą, dość zajętą jego uszczęśliwieniem. Często powstają na mężów, a w to nie wchodzą, że żony nie zadając sobie dość pracy do uprzyjemnienia mężom pożycia domowego, same stają się przyczyną ich niewierności. Co do mnie, jeżeli w czémkolwiek pod tym względem przewiniłam, wyrozumiałością moją usiłuję to wynagrodzić. Teraz naprzykład dałam niemałym kosztem dowód mojego przywiązania dla Sardara, ale jego wdzięczność wynadgradza mnie sowicie ten gwałt zadany sobie. Tuszę, że z czasem on się przekona, iż nigdzie nie znajdzie równéj miłości, równego poświęcenia, jakie znajdzie u swéj żony.

— Czy godzi się nam wiedzieć, odezwała się Puchodrzyna, jaki to dowód przywiązania Pani świéżo dałaś Kardaszowi?

— Miejsce wielkiego Daychapa zawakowało. On niczego tyle nie pragnął, jak to miejsce powierzyć Aznamowi. Ale tego nie śmiał uczynić. Radził się mnie kogoby przedstawić królowi; a ja sama prosiłam za Aznamem.

— Czy podobna?

— Nie inaczéj.

Tu wzięła chustkę i przyłożyła ją do swoich oczów, jakby łzy ocierając, podczas kiedy obie baby wykrzykami uwielbienia okazywały swoje zadziwienie. Przybywały po kolei inne nawiedziny, a dla wszystkich

Azais pokazywała się równie łagodną, równie nieszczęśliwą, równie przywiązaną do męża.

Ale skoro sama została, wynadgrodziła sobie na sługach gwałt, co go dopiéro sobie zadała. Wyraz dumy i złości wrócił do jéj obliczów, a utrapienia jéj pokojówek na nowo się rozpoczęły. Ta komedyja ciągle powtarzana zawsze jéj się udawała. Odgłos jéj cnót był tak rozpowszechniony, że gdyby kto się ośmielił go pod wątpliwość poddawać, nietylko, że wiary by nie otrzymał, ale uchodziłby przed publicznością za oszczercę. Mówią, że głos publiczności jest głosem bożym. Azais temu przysłowiu fałsz zadawała swojemi postępkami. Każde jéj słowo, każde niemal poruszenie w towarzystwie było wyuczone, z góry obmyślane, a uchodziła za osobę prostą, szczérą, naiwną, bez pretensyj. Swojemi chimerami dręczyła wszystkich nad któremi rozciągała władzę, a publiczność miała ją za najłagodniejszą panią, za matkę swoich sług.

Jéj mąż był zmuszony szukać po-za domem tego pokoju, co go u siebie znaleźć nie mógł, a wszystkich języki naprzeciwko niego powstawały, że nie umiał oceniać anioła, co mu go Opatrzność oddała za towarzysza żywota, ubolewano nad nią, jako nad ofiarą miłości i cierpliwości. Uchodziła za osobę w dolegliwościach swoich szukającą ochłody w sztukach i literaturze, tak silne było o tém przekonanie, że jéj zdanie stanowiło bez odwołania o wartości pisarza, a w życiu swojém ani jednéj książki całkowicie nie prze-

czytała. Unosili się nad obrazami, które kursowały pod jéj nazwiskiem, a do których nawet rozciéraniem farb się nie przyczyniła. Zamykała się w osobnym gabinecie z swoim nadwornym malarzem, nadto dobrze płatnym, żeby nie zachował tajemnicy. On malował, a ona patrzała na jego robotę. Ale przedemną nic tajnego być nie mogło.

Aż nadto mogłem być przekonany, że Azais była kobiéta chytra, obłudna, nieznośna. Z początku myślałem, że ona jest z liczby tych niewiast, co opierając się na przestrzeganiu téj cnoty, od któréj nie czują wstrętu, dają sobie tém samém prawo dopuszczania się wykroczeń wszelkiego innego rodzaju, i dzięki téj jedynéj cnocie, która ich nie opuściła, mają siebie za zupełnie czystych na sumieniu. Że Azais uposażona zmysłami zimnemi jak lód, a sercem jeszcze zimniejszém, do tego dumna, iż jest obcą słabościom do jakich jéj płeć aż nadto jest skłonną, uważała, że przez to jest wolną od wszelkich innych obowiązków; że dochowując wiary małżeńskiéj, już dość się wywiązała mężowi, a ten już nie miał prawa wymagać, żeby sobie zadawała prace, uprzyjemniać jemu pożycie domowe, a że wszystkie jéj namiętności scisnęły się wyłącznie w dumie, w żądzy przewodniczenia, obojętnie patrzała na niewierność męża, bo ta owszem była główną przyczyną, iż we wszystkiém ulegał jéj woli. Lecz tu, nie pokazałem się być trafnym, o czém się późniéj przekonałem.

Pamiętam jakby to się dziś wydarzyło, że to się stało w jednym czwartku, dniu dla mnie u Zeli uroczystym, bo w tym dniu Sardar większą część nocy u nas przesiadywał, i zawsze z tego powodu była wykwintniejsza wieczerza niż zwykle. Wieczorem Azais zaczęła się rozbiérać, i lubo w tém rozbieraniu okazywała niecierpliwość, może większą niż zwyczajnie, jednak spostrzegłem na jéj twarzy nieco więcéj łagodności, mniéj miała chimer, mniéj wymysłów. Wzięła na siebie dezabilkę, siadła na szeslongu, a wkrótce służące przyniosły okrągły stół zastawiony rozmaitemi potrawami, owocami i trunkami; a zaraz potém zniknęły. Azais powstała z szeslongu, drzwi od swoich kobiét na klucz zamknęła, toż samo od przedpokoju, i znowu na swojém miejscu usiadła z widoczną niespokojnością. Po chwili dał się słyszeć szelest od ściany, myślałem że to są szczury, i najeżywszy słuchy, gotowałem się do bitki. W tém Azais spiesznie wstała, i jeszcze spieszniéj przybliżyła się do ściany, od któréj szelest dawał się słyszeć, poruszyła jakąś niewidoczną sprężynę; w ścianie zrobił się otwór, którym wszedł jakiś mężczyzna.

Ale Najjaśniejszy Panie, Jaśnie Wielmożny Kislar Aga już daje znak, że pora Waszéj Sułtańskiéj Mości iść do wczasu, a to co mam mówić, zbytnieby się jeszcze przeciągnęło. Jutrzejszego wieczora resztę tego ustępu dopowiem za rozkazem Waszéj sułtańskiéj Mości, bo jest bardzo ciekawym.

— „Bodaj tobie Kislar Ago, rzekł Sułtan, w najwięcéj zajmującéj chwili przerwałeś opowiadanie. Jutro każę cię wprowadzić Nazarejczyku o godzinę wcześniéj niż zwykle, tak jestem ciekawy, kto to był ten co ją nawiedził. Ale zaczynam się domyślać, tak, tak, ale tego nie powiem, niechaj inni zgadują. Odejdźcie niewolnicy.“

Wszyscy padli czołem o ziemię, i wrócili do siebie, a Sułtan z Kislar Agą do swojego haremu.

XI.

Jedénastego wieczora Paź tak zaczął: Któż to był ten mężczyzna tak oczekiwany od Azais? Ledwo własnym oczom uwierzyć mogłem; był to nie kto inny tylko ten mąż tak zakochany w żonie swojéj, ten Aznam, któremu od niéj wymuszone zdrożności, Zeli tak gorzko opłakiwała.

— „Zaraz się tego domyśliłem, przerwał Sułtan, lecz nie chciałem się z tém wymówić; ale żaden z was tego się nie domyślił. No, słucham daléj co z tego wyniknie."

Ściana natychmiast się zamknęła, że ani śladu otworu w niéj nie pozostało: a Azais rzuciła się na jego szyję. Już to nie była ta kobiéta tak zimna, tak wyniosła, ale pieściwa, namiętna, jednêm słowem Bajadera. Nigdybym się nie spodziéwał, żeby tak dalece zniżyć się mogła.

Najjaśniejszy Panie, tego na co patrzałem, wypowiedzieć bym nie potrafił. Piła wino szampańskie jak huzar, i zmuszała Aznama do dotrzymania jéj placu. „Przyznaj Aznamie, rzekła, że nie ma na świe-

cie żony sprawiedliwszéj odemnie. Ten nikczemny Sardar przemocnie rogi tobie przyprawił, a ja z dobréj woli podaję ci środki pomszczenia się nad nim. Nie uwierzysz jak ten głupiec mi jest wdzięczny, żem go prosiła by tobie dał urząd Daychapa.“

Już to prawda, że Aznam mścił się porządnie; a pomyśliłem sobie, z Waszeci filut, Mospanie Aznamie, i Kardasza, i własną żonę w pole wyprowadziłeś. Im się zdaje, że oni wielce przeciw Waszeci przewinili, a Waszeć się tak pięknie kwitujesz, że dobrze porachowawszy, jeszcze coś od Waszeci im się należy. Nie dziwię się teraz, że tak filozoficznie znosisz klęski domowe, i że nie słuchasz rad żony, żeby się wynieść z nią z Babistanu. Nie w każdém Państwie znalazłbyś i Kardasza i Kardaszowę podobnie łaskawych. Z tém wszystkiém, Najjaśniejszy Panie, lubo byłem zwierzęciem, wyznaję, że widok takiéj rozpusty czasem mnie raził. U Zeli przebijał się wstyd, zgryzoty sumienia, pewne uczucia moralne, ale tu sama tylko rozpusta; a te sceny często się w mojéj przytomności odnawiały, i to mnie zaczęło dopiekać, ale nie na długo.

Jako kot z natury, miałem złe skłonności. Wprawdzie zachowałem człowieczy rozsądek, ale cóż? on z siebie nie był dość silny, żeby się oprzeć podszeptom téj natury, a cóż dopiéro mając przed sobą najgorsze przykłady! Stopniami zostałem najzłośliwszym kotem. Zaufany w łasce mojéj pani, nie było złego, którego bym się nie dopuszczał. Kto przybędzie do Azais, bądź

żeby jéj złożyć uszanowanie, bądź żeby otrzymać za sobą jéj wstawienie, ja cichaczem albo go ukąszę, albo udrapnę, że nikt tego nie widzi, a potém sam uciekam i z węgła salonu cieszę się, że nieborak przez uszanowanie dla pani tłumi swoję boleść. Raz wielkiemu Papiernikowi Stanu, urząd odpowiedni Reis Effendemu, sędziwemu starcu zdarłem perukę. Azais ledwo się wstrzymała od śmiéchu, jednak wyłajała mnie, przepraszając znakomitego pana Rady, za swawolę swojego kota. Za kotkami biegałem po dachu, i nieraz za to oberwałem od kotów Plebejuszów, silniejszych odemnie, bo mniéj zniewieściałych. To mało, ale największą było dla mnie roskoszą, zrobić jakąś szkodę, żeby za moją winę, odpowiedź spadła na służące do moich usług przeznaczone; bo tak umiałem się układać w przytomności Azais, że ona przypuścić nie mogła, żebym miał być psotnikiem; ale w papudze, znalazłem wielką nieprzyjaciółkę.

Ta papuga, faworyta Azais, była wielką gadułą, i swojéj pani opowiadała wszystko, co się działo w salonie podczas jéj niebytności; nic nie uchodziło jéj oka. Sama Azais jéj niedowierzała, gdyż uważałem, że ile razy zabiérała się zrobić coś takiego, coby nie chciała, żeby było widoczne, uprzednio kazała wynosić papugę do przedpokoju, a całego naszego dworu była postrachem. Jeżeli spostrzegła jakieś poufałości między panną dworu, a jakimś pokojowym, zaraz o tém uwiadamiała swoją panią, a zawsze z przydatkiem;

z tego następywały burze zwyczajne w podobnych okolicznościach kobiétom, które cichaczem wszystkiego sobie pozwalając, umieją zachować odgłos nieskazitelnéj cnoty, bo najwięcéj im do tego posługuje rygoryzm, którym siebie pokrywają.

Azais otrzymała była świéżo w podarunku cztéry myszki białe, łaskawe, wyuczone, i wielce zabawne. Że to było nowe sitko na kotka, już tylko niemi się zajmowała, a cały jéj pokojowy zwierzyniec, nie wyłączając i mnie i papugi, zaczął leżeć odłogiem w jéj myśli. Całkowite godziny przepędzała, puszczając myszki na stolik, żeby się zabawiać ich figielkami. A gdy wychodziła, zamykała je w koszyku bawełną zasłanym. Pomimo rozsądku człowieczego, miałem naturę kocią do wysokiego stopnia posuniętą. Ile razy Azais wypuści myszki, a te zaczną biegać dla jéj zabawy, aż poty na mnie biją, taką czuję chętkę na nie się rzucić; wstrzymywałem się jednak, lecz to mnie tyle kosztowało, że aż upadałem na siłach.

Ale razu jednego, kiedy wyjechała do króla na objad, a mnie zamknęła w swoim pokoju, koniecznie djabeł mię ciągnął ku temu koszykowi, w którym spoczywały myszki; opierałem się jak mogłem, aż nakoniec pokusa mnie przemogła, skoczyłem na koszyk, zerwałem wieko, i w okamgnieniu schrustałem wszystkie te biédne stworzenia. Tak się popisawszy byłem w rozpaczy; przemyśliwałem jakby się wywinąć od podejrzenia, i rzucić moją zbrodnię na kogo innego.

Stanęło na tém, że umyśliłem wydrapać się kominem na dach, sądząc, że mogą wierzyć, iż taka katastrofa wydarzyć się mogła podczas mojéj niebytności, — ale spostrzegłem papugę utrapioną, która była świadkiem mojego czynu, a wiedziałem, że nie omieszka wszystko pani opowiedzieć.

Jedna zbrodnia do drugiéj koniecznie doprowadzi; postanowiłem więc zgładzić tego świadka. Klatka zamykała się na szufrygę, udało mi się otworzyć drzwiczki, i wsunąłem łapki, żeby papugę uchwycić. Papuga tak mię ukąsiła w łapkę, że ledwo pisk mogłem wstrzymać, a krew zakipiła w żyłach moich z gniewu. Wszczęła się między nami zacięta bitka, ja ją pazurami krwawił, a ona mnie dzióbem. Moje stanowisko nie było korzystne, ja tylko przedniemi łapkami prowadziłem wojnę zaczepną, a ona wszystkiemi siłami odporną. Po walce długiéj a niestanowczej, udało mi się wcisnąć całkiem w klatkę; w niéj już z większą korzyścią walczyłem. Papuga widocznie upadała na siłach, a ja coraz żwawiéj nacierałem, i to pazurami, to zębami ją kaleczyłem, w tém drzwi się otworzyły, i weszła pani.

Przebóg! jakiż to obraz stanął przed jéj oczyma. Koszyczek, w którym były ulubione myszki, rozdarty, kilka kosteczek jeszcze na ziemi leżało, a ja w klatce z papugą zakrwawioną, i ledwo już dyszącą. Co to się z tobą stało papuziu, rzekła do niéj, — a ta sła-

bym głosem: twój kot najprzód myszki pochrustał, a potém mnie udusił, i zaraz potém zdechła.

Byłem schwytany na uczynku; żebym i mówić umiał, pewnie za sobą gęby bym nie otworzył. Myślałem, że Azais oszalała ze złości; włosy na sobie rwała, tarzała się po dywanie, cały jéj dwór przyleciał na odgłos jéj krzyków. Dostała palpitacyj tak gwałtownych, że aż trzeba było suknie na niéj rozcinać. Ledwo ją ocucili, a ja delinkwent zamknięty w klatce, ze zwłokami papugi. Nakoniec przyszła do siebie, i zaraz kazała przywołać dó siebie Marszałka swojego, i powiedziała mu: weź Waść tego kota, i żeby natychmiast był zaniesiony na most koło pałacu królewskiego, tam mu uwiążesz kamień do szyi, i zrzucisz go z mostu.

Marszałek kazał niewolnikowi zanieść mnie za sobą. Ciężka to była chwila w mojém życiu. Nie było dla mnie ratunku; bo jeżeli ci co mają udział najwyższéj władzy, obdarzają nadgrodą, nie zawsze ona zaraz i dojdzie do obdarzonego, często mu trzeba na nią poczekać, a nawet dla jéj dostania, przypuścić do jakiéjś jéj części tych, co lubo nie mogą ją zniweczyć, przecie doskonale umieją ją przewłóczyć; lecz kiedy władza ogłasza karę, ten któremu tę karę obiecali, może być pewnym, że bez zwłoki na nim się wypełni. Ale cóż było robić? Pomyślałem sobie, że dobrze przynajmniéj, iż nie długo będę się męczył, że taka złośnica nie kazała mię żywcem obedrzeć ze skóry. Wszakże tak było kręto koło mnie, że zasta-

nawiając się nad moim losem, nad tak rychłym zgonem, łez wstrzymać nie mogłem.

Kiedyśmy stanęli na moście, gdzie dla mnie fatalna godzina już następowała, ujrzałem na przeciwnéj stronie mostu kilku jeźdźców, którzy na przeciwko nas postępowali. Był to królewicz Następca, siedmnastoletnie książątko, które w asystencyi swojego ochmistrza i paniczów przydanych do jego dworu, używał przejażdżki. Zrównawszy się z nami, Następca spostrzegł niewolnika trzymającego mnie na rękach, a tuż za nim marszałka dworu Azais. Zatrzymał się królewicz, i rzekł do marszałka:

— Przecie poznaję dobrego znajomego. Wszak to kot mojéj ciotki, często z nim u niéj się bawiłem. Jest to kot tak sprytny, i tak dobrze wychowany, że mowy mu tylko niedostaje.

— Najjaśniejszy królewiczu, to jego dobre wychowanie nie zapobiegło temu, iż okropnie podrwił głową. Ale srogo przepłaci psotę, któréj się dopuścił, odpowiedział marszałek. W niebytności królewnéj Azais mojéj Pani, pojadł jéj myszki białe, i zadusił jéj papugę. Jak jéj Wysokość wróciła do siebie, a to obaczyła, aż zachorowała i dała mi rozkaz winowajcę zrzucić z mostu w rzékę, wprzódy kamień mu uwiązawszy u szyi.

— A któż zamyka kota z ptakami i myszami? Mojéj ciotce się zdaje, że na jéj rozkaz zwiérz naturę swoję może przemienić! To szczęście dla kota, że na

placu kaźni spotkał się ze mną. Biorę go pod moją opiekę, i wstrzymuję egzekucyją dekretu.

— Ale Najjaśniejszy królewiczu, jak zameldują pani, że jéj rozkazu nie dopełniłem, abym nie został nieszczęśliwy.

— Wola tylko króla jest starszą od mojéj, odrzekł dumnie królewicz, a potém dodał łagodniéj: ja z sobą zabieram tego kota, a dziś będę u ciotki, żeby się przed nią usprawiedliwić; i tuszę sobie, że mądra i łagodna Azais, na mnie za rozkaz dany, ani na Waści, żeś mój rozkaz spełnił, gniewać się nie będzie.

Marszałek się skłonił, i wręczył mnie masztalerzowi królewicza, a królewicz uradowany swoją zdobyczą, odrzekł się dalszéj przejażdżki, i powrócił do swoich pokojów, żeby się ze mną nabawić. Ale nie długo u niego gościłem. Nie można sobie wyobrazić nic więcéj znudzonego, jak ów następca tronu. Wszyscy co go otaczali, byli dla niego pełni uszanowania, a ciągle mu się sprzeciwiali, zwłaszcza mu dokuczali tą swoją asystencyją, która o krok jego nie odstępowała. Książątko rade było czasem wysunąć się z swojego pałacu, pójść do miasta, biegać po magazynach, ale zaraz mnóstwo dworzan tworzyło mu orszak, tak okazały przed narodem, jak uciążliwy dla niego samego. Przyszło do tego, że królewicz potém rzadko kiedy wychodził z swojego pałacu, bo w nim przynajmniéj mógł być swobodnym od natrętów, a jako znudzony szukał zabaw nie zawsze dla mnie przy-

jemnych. I tak bawił się szczwaniem mnie przez swojego pudla faworyta. Jemu była pociecha, kiedy go udrapnę po nosie, zapiszczę jak potępieniec, ale i on mnie bywało pokąsa, że aż rany zalewać trzeba. Naprzykrzyło mi się to tak dalece, że bądź co bądź postanowiłem wynieść się w strony jak najwięcéj oddalone od dworu, ile że oprócz tych codziennych a bolących szermów z Medorem, miałem jeszcze inny ważniejszy powód do ucieczki. Królewicz ocalił mnie żywot na przekor Azais, a ja wiedziałem z doświadczenia, do jakiego stopnia była zawziętą i mściwą. Pomyślałem sobie: wcześniéj czy poźniéj da mi się ona w znaki. Ona tego nie zniesie, żeby dekretowany przez nią na śmierć, cieszył się zaszczytną posadą u Następcy. Niech tylko wypadnę z łaski, a wiadomo że łaska pańska na bystrym koniu siedzi, to i po mnie. Zresztą i teraz nawet, może się mnie pozbyć trucizną. Przyznam się Waszéj sułtańskiéj Mości, że ani objadu, ani wieczerzy nie pożywałem bez strachu.

Pewnego wieczora parnego, jak zwyczajnie letnie wieczory, widząc okno otwarte, przez nie wyskoczyłem, a drapiąc się po prętach balkonu, udało mi się dostać na dach. Idąc po blaszaném pokryciu, doszedłem do miejsca gdzie się dach kończył. Tam nowy kłopot mnie spotkał. Wysokość była wielka, a ja zniewieściały rozkosznem życiem dworu, już nie miałem odwagi skoczyć na ulicę. Na szczęście spostrzegłem rynwę, a że za nic w świecie nie chciałem

wrócić do pałacu, zaczepiłem się o rynwę, i dostałem się na zewnętrzny dziedziniec pałacu, z kąd przez kratę wycisnąłem się i pobiegłem dalej ile mogłem spiesznie.

Nic przed sobą nie widziałem prócz obszernej równiny, ale moim kocim wzrokiem dopatrzyłem, że ta równina opierała się o las; jak dla ludzi noc była ciemna, ale dla mnie kota była dość widna. Cwałem leciałem ku lasowi, a kiedy do niego się dostałem, tak byłem zlany potem i zadyszany, że ostatki sił zebrałem, żeby się wdramolić na stary dąb, i na jego konarach znalazłem sen słodki, jakiego nigdy nie doświadczyłem u królewicza na puchach i jedwabiach. Kiedym się obudził, już pierwsze brzaski dzienne świtać zaczynały. Nie wyskoczyłem dla postąpienia w dalszą podróż, ale pod pieczą gościnnego dębu, wpadłem w zadumanie. Czułem gorzkie upokorzenie, zastanawiając się ludzkim rozsądkiem, z którego nie byłem wyzuty, nad mojemi kociemi kształtami. Bo chociaż niektórzy mędrcowie utrzymują, że duch jest wszystkiém, a kształty niczém, i że duch skoro czerstwy, zawsze dobierze samorzutnie srodki, któremi potęgę swoją objawi, a więc że dla sztuki te wszystkie przepisy i reguły, które mądrość tradycyjna ludzkości obmyśliła, są to tylko materyjalizowanie ducha, że pisarz naprzykład niepotrzebuje nauki, a tylko natchnienia. Ci mędrcowie, mówię, co pogardzają formami, widać że nigdy nie byli przyobleczeni kształtami kociemi. Bo ja który w moich zwierzęcych kształtach zachowałem

był nieskazitelność zdolności duchowych, czułem aż nadto że nie byłem człowiekiem, właśnie dla tego, że mnie zbywały kształty materyalne człowieczeństwa. Cóż mi pomódz mogła myśl ludzka, kiedy zewnętrznie jéj wyrazić nie mógłem? I na cóż mi się przydała jakaś dążność przedsiębiercza, kiedy mi były odjęte narzędzia, przez które mógłbym je do skutku doprowadzić?

Trzeba przejść przez takie jak ja doświadczenie, żeby się przekonać ile formy są niezbędne dla ducha, i że doskonałość jedynie się opiéra na zjednoczeniu ducha z właściwemi dla niego formami. Bo proszę Waszéj sułtańskiéj Mości, żeby ród ludzki był nawet o dziesięć razy rozumniejszy, czy mógłby on wznosić gmachy, wynajdywać kunszta, zhołdować sobie przyrodzenie, unosić się na grzbiecie morza, wybadać gwiazdy, żeby zamiast rąk i nóg miał kocie łapki, i końskie kopyta; zamiast sprężystych krzyżów, przez które stać może na nogach bez stracenia równowagi, miał krzyże pochyłe kończące się ogonem; zamiast głowy wzniesionéj, któréj skład jest takim, że człowiek zawsze oczy może wznieść do nieba, miał głowę wskazaną do patrzania ciągle na ziemię. Bo jużci jeżeli wrażenia wszelkie....

— „Dajże temu pokój, niewolniku, przerwał Sułtan. Takowe rozprawy do niczego nie doprowadzą, a tylko nudzą. Jakim człowiek jest, takim być musi A czy mógłby mieć lepsze czy gorsze kształty, co to

może nas obchodzić. Mów coś robił, i na coś patrzał, a nie susz mi głowy temi rozprawami, które dla drugiego mogą być i wielce głębokie, a u mnie tylko ziewania pobudzają. Zatrzymaj przy sobie te mądre uwagi, a na téra i ty i my najlepiéj wyjdziemy. No, słucham niewolniku.“

— Najjaśniejszy Panie, piérwszy raz na prawdę zacząłem rozbierać moje sumienie, i zastanawiać się nad przyczyną, dla któréj wyzuty zostałem z szlachetnych kształtów, co je byłem otrzymał od Boga, ażeby przyjąć postać bydlęcia. Poznałem iż to była kara, na którą zasłużyłem za niedowierzanie w pomoc opatrzności, i za rozpustę co mnie zrobiła podobnym do bydlęcia, wprzody jeszcze nim zostałem obleczony w jego kształty. Z żalu zacząłem gorzko płakać, nie nad karą moją, ale nad postępkami, któremi na tę karę zasłużyłem. Rzecz dziwna a dowodząca jak wielka jest potęga łez upuszczonych na łono Boskie: ledwom się upokorzył i skruszył, aż tu widzę zbliżającego się ku mnie tego samego pustelnika, którym kiedyś pogardziłem, kiedy mnie chciał zaprowadzić do swojego schronienia. Skoczyłem z drzewa, rzuciłem się pod jego nogi, a wyciągając łapki, zacząłem go błagać jak mogłem, żeby się nademną zlitował. Starzec wziął mnie na ręce, i tak puścił się w głąb lasu do swojéj pustelni.

Gdyśmy do niéj przybyli, starzec ukląkł przed obrazem świętego któremu służył; a po ukończeniu

swoich modlitw, pokropił mnie wodą święconą i rzekł: „Człowiecze, twoje grzéchy są wielkie, ale przez żal twój otrzymałeś przebaczenie. Opuść te kształty, w które twoje grzéchy ciebie oblekły, a wróć do tych, które Bóg stworzył na mieszkanie twojéj duszy.“ Ledwo domówił te słowa, a postać ludzka już wróciła do mnie.

Padłem mu do nóg, i zalałem się powtórnie łzami pokuty. „Wstań bracie, rzekł Pustelnik. Odtąd jeżeli chcesz, będziemy razem żyli, i pospołu służyli Bogu.“ Ja wykrzyknąłem że go nigdy nie opuszczę, i jak najszczerzéj to postanowienie uczyniłem. Zacząłem przyzwyczajać się do pustelniczego życia. Wstawaliśmy przed świtem, dwie godzin modliliśmy się razem. Poczem czytałem głośno jakiś rozdział pisma świętego, którego znaczenie mnie tłómaczył, do południa z nim robiłem koło ogrodu, potém znowu modlitwy. Przychodził objad z samych warzyw, ale mnie więcéj przy czystém sumieniu smakował, niż bankiety w rozpustnym żywocie. Po objedzie parę godzin spoczynku, po których znowu modlitwy, po modlitwie robiliśmy dywany słomiane, skromniejsza jeszcze od objadu wieczerza, a pieśni pobożne kończyły nasz dzień. Zacząłem się przywięzywać do pustelniczego życia. Doświadczałem jakiegoś pokoju, jakiejś błogości, wszystko to było dla mnie nowém. Ach! czemuż nie wytrwałem w tym zawodzie!

Wprawdzie napadały na mnie częste tęsknoty, bywało myśl moja nie bez jakiegoś upodobania przenosi się w przeszłość, i snuje przed duszy oczyma, obrazy niebezpieczne a na nieszczęście wabiące. Zwłaszcza we śnie trapiony bywałem od rozmaitych pokus. To Galinda upajała mnie swojemi pieszczotami, to snuły się przedemną te kotki filutki, które mi się wydawały być nadobnemi niewiastami, a nad któremi trzymałem berło rozkoszy i obłąkań. To piękna Zeli z Sardarem powtarzały w snach moich te same sceny, które widywałem na jawie. Przyznam się Waszéj sułtańskiéj Mości, że te obrazy tak kołatały moją duszę, że czasem zbrzydzałem sobie to świętobliwe życie, i czułem jakby tęsknotę za moim dawnym żywotem awanturniczym, w którym tyle nadzwyczajnych wypadków mnie spotykało.

— „To mnie bynajmniéj nie dziwi, przerwał Sułtan, jabym dwóch dni nie wytrzymał u twojego derwisza. Cały dzień robić dywany słomiane, a na wypocznienie modlić się ze starym, to wszystko jest piękne i budujące, ale do tego trzeba mieć brodę siwą jak u mojego Wezyra i u twojego derwisza. Życzę ci Nazarejczyku jak najspieszniéj opuścić twojego świętego towarzysza, i na nowo broić po dawnemu. Niech to będzie między nami, ale ja choć jestem w prostéj linii potomkiem Wielkiego Proroka, i dwa razy nawiedzałem jego grób w Medynie i świętą Kabę w Mece, a co dzień czytam przynajmniéj jeden rozdział Koranu; otóż przy-

znaję się do tego, że ten niewolnik więcéj mnie bawi kiedy opowiada swoje nic do rzeczy, niżeli rzeczy budujące, i to mnie robi nieco niespokojnym."

— Taka natura u wszystkich, odezwał się Hanul, tylko nie każdy jak my do tego się przyznaje.

— A ty Wezyrze, co na to mówisz?

— Ja Najjaśniejszy Panie jako stary, lubię się zajmować rzeczami poważnemi, prowadzącemi do zbawienia, a tych fatałaszek niewolnika słucham jedynie z rozkazu Miłościwego Pana, ale tak, że co jednem uchem wchodzi, drugiém zaraz i wychodzi, a mózgownicy ani zaczepi.

— Patrzaj jaki świętoszek z mojego Wezyra. Ot ktoby tobie wierzył? Albo ja nie uważał jak ty oblizywał swoje wargi, kiedy Nazarejczyk opowiadał spotkanie Sardara i Zeli. Bardzo ciebie poważam Wezyrze, ale postawiłbym w zakład połowę moich skarbów przeciwko twoich papuciów, że wolałbyś być przez godzinę na miejscu Sardara, niż cały dzień na miejscu tego derwisza, co usiłował Nazarejczyka wyprowadzić z drogi zatracenia.

— Ja Najjaśniejszy Panie miałbym...

— Daj pokój Wezyrze, ja wiem co mówię, a jakiby ze mnie był Sułtan, żebym na pamięć nie wiedział mojego Wezyra? Ot cicho siedź i słuchaj dalszego opowiadania Nazarejczyka. Mam jakieś przeczucie, że tylko co nie widać jak ucieczesz od swojego derwisza.

— Ach niestety, tak jest Najjaśniejszy Panie, nieprzyjaciel odwieczny rodu ludzkiego, zdołał nademną biédnym nowe zwycięztwo odnieść. Pustelnik mnie zalecił, że ile razy będę gabany złemi myślami, bym ani chwili nie tracił, a zaraz mu to wszystko powierzył. Ja téż tak i robiłem; z rana bywało otwieram przed nim rany mojéj duszy, a on mnie różne daje środki ku odepchnięciu złego ducha, jako akta pokory, modlitwy, rozpamiętywania nad szczęściem jakie jest przygotowane tym co dotrwają do końca, a znowu nad karą jaka czeka tych, co do końca nie przestają się opierać swojemu stwórcy. Ja to wszystko dopełniam jak mogę, odpędzam pokusy, ale te znowu wracają, a nawet podchwycają najczęściéj moje w nich upodobanie, a znowu trzeba się wstydzić przed pustelnikiem, że myśl jak nie statkowała tak nie statkuje.

Razu jednego pustelnik po mojém zwierzeniu się, może trzydziestém, przed nim, rzekł do mnie: Synu! widzę że przywiązanie, a raczéj nałóg do grzéchu tak się wkorzenił w twojém sercu, że myśl twoja nie przestaje się kazić, a wkrótce i wola się skłoni ku podszeptom myśli. Wszak muszę jeszcze ostatniego sposobu użyć dla twojego ratunku. Jeżeli ten nie pomoże, to nie wiem co się z tobą stanie; odkryję przed tobą rzeczywistą postać tych rzeczy, które tak miłowałeś, a o których zapomnieć nie możesz, a to dla tego żeś na nie patrzał przez zasłonę kłamliwą, którą odwieczny obłudnik pokrywa to co w swojém prawdziwém

jestestwie jest szkaradne i obrzydliwe. To rzekłszy wziął mnie za rękę i wzniósł się ze mną w górę.

— „Nie piérwszy raz podróżowałeś po powietrzu,“ odezwał się Sułtan.

— Tylko w tém była różnica, że kiedy wędrowałem z czarownicą na miotle, doświadczałem zimna, strachu, a z moim starcem było mi tak błogo, tak spokojnie, unosząc się nad wyżynami świata, nie miałem potrzeby zamykać powiek, owszem patrzałem na ziemię znikającą przedemną z uczuciem takiego szczęścia, iż go opowiedzieć nie zdołam. My wszystko i wszystkich widzieli, a dla wszystkich byli niewidomemi. Spuściliśmy się nad jakieś wielkie miasto, a obaczywszy go, dotknęli ziemię przed ogromnym i przepysznym pałacem, na którego dziedzińcu stało mnóstwo pojazdów.

— Synu! rzekł pustelnik, tu jest mieszkanie potężnego króla, daje ucztę dla swojéj żony z powodu że w dniu tym jéj się skończyło lat dziewiętnaście. Wnijdźmy. — Weszliśmy do sali balowéj płomieniejącéj światłem. Pany i panie odziane były w materyjach złotych, a ozdobione najdroższemi klejnotami. Między niemi był i król. Jego łatwo poznałem po koronie co ją nosił na głowie, i płaszczu purpurowym który go okrywał. Król okazywał lat przeszło piędziesiąt, ale rysy jego były tak szlachetne, że mógł uchodzić jeszcze za wcale przystojnego mężczyznę. Ale kiedy mój przewodnik pokazał mi królowę, ledwo

wstrzymać mógłem okrzyk zadziwienia. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć podobnéj jéj piękności. Wszystkie Galindy, Zeli, Azais i kotki były niczém w porównaniu z nią. A do tego w królowéj malowała się taka skromność, taka niewinność, taka pogoda, że byłem w zachwyceniu.

Ona nie zdawała mieć oczów tylko dla swojego dostojnego małżonka. Co chwila przyskakiwała do niego, kiedy się od niéj oddalał okazywała niespokojność, a króla oko niewypowiedziany wyraz miłości przybiérało, ile razy królowa przybliżała się do niego. Ach pomyślałem, przecież widzę piérwszy raz stadło zupełnie dobrane, i wzajemnie zakochane w sobie. Co to za szczęśliwa para, odezwałem się do mojego przewodnika, oboje dla siebie jedynie żyją. Gdzież ten wielki król wynalazł tak godną królowę?

— Jest to jego poddanka, odpowiedział pustelnik. Król miał syna z potajemnych miłostek, wybrał za nauczyciela mędrca żyjącego na ustroniu, i jemu go powierzył. Królowa jest córką tego mędrca.

— „O ho, odezwał się Sułtan, już Kislar Aga się niecierpliwi, że już trochę spóźniona pora do spoczynku. Jutro mnie dokończysz o królu i królowéj. Idźcie precz niewolnicy, a jutro jako zwykle przybywajcie.“

XII.

Król namiętnie miłował swojego syna, przedłożył pustelnik, i często się wykradał z swojego pałacu, by go nawiedzać. Był wdowcem, i smutno mu było bez żony. W tych nawiedzinach poznał Mirzę, córkę tego mędrca. Jéj piękność, skromność i rozum, od piérwszego razu zrobiły na nim wrażenie, a wkrótce w jego sercu wznieciły płomień gwałtownéj miłości. Mirza odpłaciła przywiązanie królewskie najtkliwszą wzajemnością, a król się z nią ożenił, i od dwóch lat jest najszczęśliwszym małżonkiem. Żyje w nierozerwaném towarzystwie dwóch istot, które najwięcéj miłuje, żony i syna. Oto widzisz tego syna, rozmawiającego z jedną księżną dworu, z któréj córką ojciec go zaręczył.

W saméj rzeczy ujrzałem młodzieńca dziwnéj piękności, podobny do króla, a raczéj to był sam król, ale przed trzydziestu laty. Królewicz tak był zajęty swoją narzeczoną, że na inne kobiéty nie patrzał, nawet tańcując z najpiękniejszą z pomiędzy wszystkich, z królową, zdawał się być roztargnionym, i oczy ciągle

odwracał ku téj sofie, na któréj jego księżniczka siedziała. Bal jeszcze trwał w całym swoim zapale, kiedy król dał znak swojéj młodéj oblubienicy, i oboje się wysunęli nieznacznie do wewnętrznych swoich pokoi. Pustelnik wziął mię za rękę, i prowadził za królestwem. Jużem powiedział Waszéj sułtańskiéj Mości, że my byli ciągle niewidzialni. Kiedyśmy przybyli do sypialni królewskiéj, jakichże pieszczot byłem świadkiem! królowa zawiesiła się na szyi króla, powtarzając co chwila, że go kocha nad życie, że bez niego życie jest dla niéj śmiercią, że wszystko co nie jest on, na niéj sprawia stęsknienie. Król wtapiał wzrok w jéj uroczych obliczach, wynurzał przed nią swoje szczęście, dziękował swoim bogom, że go w swoim rzędzie postawili, dając mu żonę tak piękną, a tak przywiązaną do niego. Ale zauważyłem, że wśród tych pieszczot, królowa średnim palcem kilka razy z lekka gładziła mu skronie, poczém król zwiesił głowę, padł na wezgłowie, i zaczął głośno chrapać jakby odurzony przebraniem miary w napoju.

W tém Mirza klasnęła w ręce, weszła pokojowa, ona jéj coś szepnęła, ta odeszła, a Mirza została, i chodzić zaczęła z niespokojnością widoczną. Drzwi się otworzyły, syn królewski wszedł, i oboje splotli się we wzajemnych uściskach. Nadyrze! drogi kochanku, rzekła do niego: zanieś tego obrzydłego starca na jego łóżko, i powróć do mnie. Barczysty młodzieniec zaniósł ojca do alkowy, gdzie stały małżeńskie łoża, i

zaraz wrócił do królowéj. Ta mu padła do nóg i rzekła: Nadyrze, ty widzisz jak ciebie kocham, ale uważaj do jakiego stopnia jestem dziecinna, przez te moje przywiązanie do ciebie. Sama namówiłam ciebie, żebyś się starał o rękę księżniczki Nadiny, dla lepszego zakrycia naszych związków, a teraz jestem w ciągłéj obawie, żeby ona nie owładała twojego serca rzeczywiście. Nadyrze drogi, powtórz mnie, że ty jéj nie kochasz, że zawsze będziesz stałym dla téj Mirzy, która ci oddała piérwsze swoje westchnienie, i nawzajem twoje otrzymała. Nadyrze, u nóg twoich błagam ciebie, uspokój twoją kochankę, która umiéra z miłości dla ciebie!

— Ach moja Mirzo, możeszli wątpic o stałości twojego Nadyra? Przypomnij sobie, żeśmy wzrośli w miłości wzajemnéj, że my się w sobie kochali wprzód jeszcze, nimeśmy wiedzieli co to jest kochanie; że kiedy król oświadczył twojemu ojcu, iż chce dzielić z tobą i łoże i godność królewską, umierałem z rozpaczy u nóg twoich, chciałem uciekać z tobą w kraje jak najwięcéj ztąd oddalone, ale okrutny Almanzor nie dał się zmiękczyć. Zmusił ciebie byś udawała miłość dla króla, i zapewnił nam szczęście, ale na ciągłéj obłudzie oparte.

— Najdroższy Nadyrze, nie opierajmy się naszemu przeznaczeniu, byleś był stały, aż nadto będę szczęśliwą. Król jest przekonany, iż jego jeszcze więcéj niż on mnie miłuję. Ja i ty jesteśmy jedyne przedmioty,

w których ten stary samolub zjednoczył wszystkie uczucia, jakie mieć może. On zawsze przy swoich obrzydliwych pieszczotach mnie powtarza, iż my oby-dwoje jesteśmy niezbędni dla jego szczęścia. On tajemnicy naszych stosunków nigdy nie odkryje. Maść, którą od ojca mojego otrzymałam w darze, zapewnia nam jego sen aż do poranku. Nie traćmy chwil tak drogich, przyjdź kochanku, miejsce twoje jest w objęciu twojéj Mirzy.—Tu prawie z wściekłością porwał ją młodzieniec w silne ramiona, i zaniósł ją na królewskie łoże do alkowy, gdzie starzec oszukany chrapał przeraźliwie.

Najjaśniejszy Panie, to na co patrzałem, zasługiwałoby na pędzel mistrza, któryby ten obraz utrwalił dla potomności; zwłaszcza kiedy znużeni samém szczęścia zbytkiem, oboje zasnęli w splotach wzajemnych. Widok téj pary tak młodéj, takiéj przecudnéj piękności, zachwycił mnie, bo zdawało mi się, że w tych wdziękach było coś nadludzkiego. Nie, Najjaśniejszy Panie, żaden malarz nic podobnego wyrazić nie może, gdyż są stanowiska, na których kunszt zawsze będzie zwalczony przez naturę; bo i natura jest kunsztem Najwyższego kunsztmistrza. Cóż albowiem jest ideał, jeżeli nie przypomnienie pierwotworu natury owéj potęgi bóstwa. Przekonany jestem, że sztuka, rozumi się sztuka prawdziwa, jest rzeczywistém objawieniem. Bo proszę Waszéj sułtańskiéj Mości......

Zmiłuj się, przerwał Sułtan zniecierpliwiony. Schowaj te mądre rozprawy dla pism czasowych twojego Lechistanu, gdzie niezrozumiane płaskości za głębokość uchodzą, a mnie od nich uwolń. Bardzoś mnie zabawił opowiadaniem, jak tego króla żona i syn wzięli na fundusz. Nie zbijajże mnie z twojego opowiadania od niego odskakując. Jakąś maścią wśród pieszczot żona mu posmarowała skronie, stary zasnął snem sprawiedliwych, a królewicz postąpił na króla. Wybornie, sam Eblis się nie ustrzeże od pięknéj niewiasty, kiedy ta się usadzi, żeby mu zrobić psotę. Jednak Wezyrze, to jest rzecz dziwna, wszyscy wiemy, że kobiety są niebezpieczne filutki, a przecie bez nich nie możemy się obejść. Pamiętaj Wezyrze, jak która z twoich żon zacznie gładzić twoje policzki, dobrze uważać, czy jéj paluszki nie są lipkie! Mów Nazarejczyku, — słuchamy.

Najjaśniejszy Panie, byłem zatopiony w obrazie, który się stawił przed mojemi oczyma, kiedy pustelnik lekko mnie uderzył po ramieniu, zapytał mnie, czy Nadyr i Mirza wydają mi się bardzo pięknemi?— Cudownie odrzekłem z pospiechem, nigdy w życiu mojém równie uroczy przedmiot nie przedstawił się oczom moim. — O biédny paziu, odpowiedział mąż święty, jakże wzrok cielesny zaślepił twoją duszę! Spojrzyj tylko okiem ducha na tych nędzarzy, a powiesz, czy są rzeczywiście tak nadobni. To rzekłszy dotknął się oczów moich, mówiąc te słowa: W imię

Najwyższego, otwiéram oczy twojéj duszy, byś patrzał na rzeczy jakiemi są w istocie, a nie jak się wydają.

Przebóg! Najjaśniejszy Panie, cóż się ze mną zrobiło? Zapach balsamów Jemeńskich, który dopiéro tak pieścił moje powonienie, ustąpił, a na jego miejscu fetor zgnilizny wychodzący z łożów królewskich tak mnie owionął, że byłbym zemdlał, gdyby mnie pustelnik nie wsparł; a gdy przyszedłszy do siebie, spojrzałem na tę spoczywającą miłośnie parę, zadrzałem ze wstrętu. Te ciała dopiéro tak świéże i nadobne, okazały się mnie okryte gnijącemi ranami. Ten prześliczny Nadyr, ta anielska Mirza jakby zniknęli, śladu ich nie pozostało, byli przekształceni w istne trupy żyjące, nic na ich twarzy widać nie było, tylko trąd, pryszcze, rany, toż i na całém ciele. Tego widoku dłużéj znieść nie mogłem. Ojcze, odezwałem się do mojego przewodnika, wyprowadź mię, bo jeżeli z téj izby nie wyjdę to umrę. — Otóż widzisz młodzieńcze, jak jest kłamliwym wzrok cielesny; każdy grzésznik w istocie jest takim, jakim teraz widzisz Nadyra i Mirzę, a którzy dopiéro tak ciebie zachwycali ułudnemi wdziękami. Zmysły są to obłudniki, jeżeli nie zostają pod stérem duszy. Idź ze mną.

Przez powietrzne szlaki przeprowadził mnie do naszéj pustelni. Byłem znużony, potrzebowałem spoczynku, ale nim się snu oddałem, pełno dobrych postanowień uczyniłem na dalszy ciąg mojego żywota

Ach czemuż niestety nie dotrwałem w tych zbawiennych postanowieniach!

Z początku, to jest przez kilka dni, przypomnienie szpetnéj postaci, w jakiéj się mnie byli przedstawili Nadyr i Mirza, stało na straży od wszelkiéj sprosnéj myśli. Bo powtarzam, nic równie szkaradnego wyobrazić sobie nie można; ale wkrótce ten obraz zaczął się zacierać w myśli mojéj, a przypomnienie poprzednicze wdzięków Mirzy, coraz silniéj nasuwało się mojéj wyobraźni, a w życiu pustelniczém ciągle dawało mi się czuć jakieś stęsknienie. Napróżno usiłowałem modlitwą i pobożném czytaniem rozbić to stęsknienie, natarczywość pożądliwych myśli znowu pokoju mi nie dawała. Żebym się był szczerze odkrył przed pustelnikiem, jak to często wprzódy bywało, byłby mi poradził, bo on sam do tego się przymawiał: ale cóż, zawsze stawały mi w myśli te jego słowa: „ostatniego środka z tobą użyję; jeżeli ten nie pomoże, już nie wiem co się z tobą stanie.“ Wstydziłem się jemu odkryć słabość mojéj natury, i tém stałem się niesposobny do poskromienia rozbrykanych myśli. Nie tylko, że nie udawałem się z ufnością do pustelnika po rady, ale nawat pod pozorem bądź modlitwy, bądź innych ćwiczeń pobożnych, unikałem jego towarzystwa, w obawie, żeby mnie sam nie przeniknął.

Pod pewnym względem moje położenie było gorsze, niżeli prawdziwego zbrodniarza, bo ten przynajmniéj choć chwilową zdobywa korzyść jakąś z swo-

ich wykroczeń, a ja prowadząc życie w samotności, w wyzuciu się swojém z wszelkich przyjemności, zaplątany w sidłach skażonéj myśli, popełniałem ciągle grzechy, które dręczyły moje sumienie, a pomimo moich żądz nie dawały się zamienić w czyny. Rozum poznawał prawdy, a zmysły to sprawiały, że nie tylko nie żałowałem dawnych przewinień, ale radbym je był odnawiać, by żyć po dawnemu.

Pustelnik często się oddalał do sąsiedniego miasta, i czasem dopiéro nazajutrz powracał do swojéj samotni. Z sobą nigdy mnie nie zabierał, ale zostawując przepisał porządek dzienny mojego sprawowania się aż do jego powrotu. Po prawéj stronie naszéj pustelni mieliśmy sad i ogród warzywny, naszemi rękoma uprawiany. Jednego dnia pustelnik zabierając się w podróż do miasta, rzekł do mnie: Synu, mój pobyt w mieście cokolwiek się przedłuży, dopiéro po jutrze powrócę. Sam kiedy zostaniesz, módl się w kaplicy, pracuj w ogrodzie, szukaj rozrywki, ale zaklinam ciebie żebyś zawsze się trzymał prawéj strony naszego mieszkania. Bo jeżeli ku lewéj będziesz szukał zabawy, spotkasz się niezawodnie z nieprzyjacielem twojego zbawienia, który ciągle krąży koło ciebie, żeby duszę twoją porwał. To rzekłszy wziął kij i torbę, kaptur nasunął na głowę, dał mi błogosławieństwo i puścił się w podróż.

Kiedy sam zostałem, z początku jak najściśléj trzymałem się porządku, który mnie przepisał względ-

dem układu czasu. Modliłem się, czytałem budujące książki, przygotowałem warzywa na dzienny pożytek, poczém poszedłem do sadu, pielęgnowałem rodzajne drzewa, które pod naszą pieczą okrywały się najsmaczniejszemi owocami. Gdyby starzec nie był wspomniał o niebezpieczeństwie jakie mnie czeka, jeżeli się ośmielę w lewą stronę puścić, możebym o tém nie myślał, i poprzestał na naszym ogrodzie. Ale pokusa silniejsza jeszcze niż wszelkie poduszczenia cielesne, gwałtem mnie pędziła ku lewéj stronie; mogę powiedzieć że ciekawość pożerała mnie, tak byłem ciekawy dowiedzieć się, co też tam było tak strasznego. Piérwszego dnia mógłem się oprzéć mojéj ciekawości. Ale już nazajutrz to było nie do wytrzymania. Modlitwa, czytanie, ogród, wszystko samo stęsknienie we mnie sprawiało; odbywałem machinalnie moje ćwiczenia, bo myśl spętana ciekawością, ciągle ku lewéj stronie odlatywała.

Nakoniec, żeby oderwać się od myśli która mnie pokoju nie dawała, wziąłem łuk, kołczan pełen strzał, i poszedłem, jednak w prawo, szukać łowieckiego szczęścia. Bo pustelnik téj zabawy mnie pozwalał, sam mnie sporządził myśliwski moderunek, a zwierzyną przezemnie przysporzoną przysługiwał się naszym dobrodziejom. Ledwo kilkadziesiąt kroków zrobiłem, aż ptak dziwnéj piękności, a gatunku mnie zupełnie nieznanego siadł na gałęzi o kilkanaście kroków odemnie. Pióra jego były błękitne i złote, głowa czarna ozdo-

biona czubem jakby złotą kitą. Widok tego osobliwszego ptaka tak mnie zachwycił, że stałem chwilę jakby wryty. Wziąłem strzałę z kołczana i łuk natężyłem, ale ptak wprzód nim sznur puściłem, uleciał w górę z taką szybkością, że w jednéj chwili zniknął z przed oczów moich. Wtopiłem oczy moje w górnym błękicie, ażali mi się na nowo nie pokaże. W saméj rzeczy ujrzałem go jako punkt w przestworzu, po chwili jeszcze widzialniéj się objawił, jednak tak oddalony, że nie było sposobu doścignąć go strzałą. Zaczął szybować powietrze skrzydłami świécącemi jak safiry oprawne w złoto, i spuścił się na drzewo rosnące po lewéj stronie naszéj pustelni, tyłem odemnie odwrócony. Nic mnie wstrzymać nie mogło. Poszedłem na lewą stronę, szyjąc się cichutenko, żeby podejść uroczego latawca. Dech w sobie wstrzymywałem żeby go podejść, ale ptak znowu się zerwał i o kilkadziesiąt kroków powtórnie wypoczął na gałęzi, zawsze tyłem odwrócony odemnie, i coraz daléj ku lewéj stronie. Ja daléj za nim, i tak co raz oddalaliśmy się od mojego schronienia; ja zagrzany żądzą zdobyczy, ptak kapryśnym polotem. Nakoniec ptak dał do siebie przybliżyć się, nie daléj jak o kilkanaście kroków. Wymierzyłem morderczą strzałę, wypuściłem ją z cięciwy. Ptak przeszyty padł z gałęzi, pobiegłem go szukać w gęstwinie. W tém rycerz w czarnéj zbroi wyszedł z gęstwiny i stanął przedemną. Struchlałem.

Poznałem tego samego rycerza, co mnie kiedyś wyprawił do państwa kotów. Na jego widok czułem jak mi łytki zadrżały. On podniósł szyszaka swojego kratę, i pokazał mnie wielce łagodne oblicze, a rękę wyciągając ku mnie rzekł:

— Paziu miły, przecie znowu się spotykamy z sobą, a prawdziwie tęskniłem po tobie. Cóż to! odwracasz oczy od życzliwego rycerza, od twojego przyjaciela, czémże zasłużyłem na twoją niełaskę?

— Żegnam cię, odrzekłem, nieprzyjacielu mojéj spokojności, żegnam i bodajbym nigdy ciebie już nie obaczył!

— I cóżem tak przeciwko ciebie przewinił?

— Jak to? z twojéj łaski byłem kotem i oddałem siebie z kotami najwyuzdańszéj rozpuście, a ty śmiesz mówić, żeś przeciwko mnie nie przewinił? Idź precz odemnie, już obłudy twoje więcéj mię nie omamią.

— Ale Paziu miły, pomówmy z sobą po ludzku, czy ci źle było z mojéj łaski? czyś nie posiadał najpiękniejsze kobiety! Czy życie twoje nie było przeplatane zabawą i rozkoszą! a może ci lepiéj jest u twego dziada, kopać w ogrodzie jak parobek, klepać pacierze, czytać nudne książki, jeść suchy groch i niedopieczoną rzepę? oto są twoje zabawy, zatrudnienia, rozrywki i uczty. Coś ci to niebardzo służy, boś zmizerniał, żeś do siebie nie podobny.

— Przynajmniéj zachowuję postać jaką od Boga otrzymałem.

Tu się skrzywił rycerz, i rzekł: O postać nierna się czego rozpierać; lepiéj psu żyć po ludzku, niż człowiekowi po psiemu. Wreszcie, czémże jest postać? oto przypadkiem, przez który jedno jestestwo pada pod zmysły drugiego jestestwa, ale sama przez się nie jest rzeczywistem jestestwem. Mówisz, że miałeś postać kota, i jakaż była z tego dla ciebie krzywda? Miałeś samopoznanie człowieczego rozsądku, wszystkie twoje kotki były dla ciebie prześlicznemi kobiétami, między któremi rozkoszowałeś jak Mahomet w swoim raju. Czegóż ci więcéj było potrzeba? Mówisz, że to była ułuda; niech i tak będzie, ale samo szczęście jest ułudą, bo jużci nie jest jestestwem. Człowiek jest szczęśliwym, kiedy jemu się zdaje, że jest szczęśliwym. Innéj zasady szczęścia nie pojmuję. I byłbyś dotąd szczęśliwy na twoim klasztornym strychu, który ci się wydawał królewskim pałacem, żeby nie ten utrapiony zakonnik z tego samego bractwa co i twój pustelnik. Twoja niedola w tém, że zawsze się musisz spotykać z tymi ludźmi. Wiész co Paziu, pójdź do głowy po rozum, daj mi rękę na znak przyjaźni, a ja ciebie ztąd wyprowadzę.

— Ani myślę iść z tobą, kwita z przyjaźni twojéj, która mi się dobrze dała w znaki, a jeżeli łaska, pomóż mi wyszukać tego ptaka, co go niezawodnie trafiłem, a nie mogę go znaleźć.

— Widzisz jaki ze mnie dobroduszny rycerz, choć ty tak źle odpłacasz moje przysługi, oto masz czego żądasz. (W saméj rzeczy ujrzałem pod drzewem leżącego ptaka ze strzałą, która go na wskróś przeszyła.) Rycerz dodał: Niepospolitym jesteś łucznikiem Paziu, nie ma królewskiego dworu, w którym na wielkiego człowieka byś nie wyszedł; ale ty filozof, wolisz być niewolnikiem żebraka, niżeli samemu mieć tłumy niewolników, jak to twojemu szlachetnemu urodzeniu przystoi. Winszuję ci z całego serca twojéj pokory, zanieś-że twoja zdobycz temu, któregoś został niewolnikiem, a bądź pewny, że w nadgrodzie otrzymasz porządną chłostę.

— A to za co?

— Jaki z ciebie jeszcze młodzik, mój Paziu. Jużciż jak staremu pokażesz swojego ptaka, on zaraz się domyśli, żeś ty pomimo zakazu pobiegł za nim w lewą stronę, bo ten ptak do jego juryzdykcyi nie należał; a gdybyś mu nawet go nie pokazał, przed takim starym filutem nic się nie ukryje; a on niezawodnie obezna twój grzbiet z powrozem, którym się okręca. Ale to nic mój Paziu, to wszystko dla twojego dobra, im więcéj dostaniesz razów, im cierpliwiéj je zniesiesz, tém staniesz się doskonalszym. Nie śmiem ciebie odwracać od tak zbawiennego ćwiczenia, bywaj zdrów, i pisuj do mnie kiedy możesz.

— Temi słowy zbiłeś mnie z kopyta. To być nie może, żeby mój stary przyjaciel dopuścił się cie-

lesnie mię karać za wypadkowe nieposłuszeństwo. Wszakże gdyby nie ten ptak, pewniebym nie przekroczył granicy mnie wskazanéj. Ja mu powiem jak tylko powróci, że chciałem mu się przysłużyć osobliwszym ptakiem, a on mi odpuści, jak obaczy moją szczerość.

— O prawda!.. Niewiedzieć co ci się marzy; on ciebie nadto miłuje, nadto troskliwie zajmuje się twojém zbawieniem, żeby ci oszczędził należytéj pokuty. Zgodź się Paziu z twojém przeznaczeniem, i przygotuj twój szlachetny grzbiet do rzemienia, a przynajmniéj do powroza. Szczęśliwego powrotu do pustelni życzę, a że już ciebie żegnam, a nie wiedzieć kiedy się obaczemy, powiem otwarcie, że żałuję ciebie, bo choć twój dziad ciebie uprzedził przeciwko mnie, nie możesz mieć lepszego odemnie przyjaciela. Od piérwszego naszego spotkania polubiłem ciebie, bo téż jesteś tak piękny, tak zgrabny, tak rozumny, a do tego i znakomity łucznik, że nie można ciebie nie lubić. Aż serce się kraje, patrząc jak marnujesz wszystkie twoje przymioty i wdzięki; bo tobie przystoi żyć na wielkim świecie, dać siebie poznać w rycerskich szrankach, pędzić życie przeplatane miłością i sławą. Wszakże natura obdarzyła ciebie tak wielkiemi dary, nie na to, żebyś je puścił na odłog, i skończył swój zawód pacholstwa u starego filuta, który wmówił w ciebie jakieś o sobie dziwne rzeczy, i tém cię owładał.

— Prawda, że teraz cierpię, ale za to będę na tamtym świecie królował z moim mistrzem.

— Ot porzuciłbyś tym językiem przemawiać; czy ty stara baba, albo dziad kościelny, żebyś miał w uściech takie banialuki? lepszy jeden zaraz, niż dwa poczekawszy; niby to co ci stary plecie, już ma być i prawdą! Dziwna to jest rzecz, że Paź szlachetnie urodzony, a który powinien znać świat, został tak łatwowiernym.

— Jakże nie mam wierzyć mistrzowi, który mi pokazał rzeczy razem tak dziwne i tak nauczające.

— I cóż on tobie pokazał tak osobliwego? Czy nie to na coś przed tygodniem patrzał w królewskim pałacu, do którego cię zaniósł? I cóż widziałeś, młodzieńca i niewiastę w sobie zakochanych, i dających sobie dowody wzajemnéj miłości. Unosiłeś się nad wdziękami téj pary, kiedy dziad rzucił na ciebie omamienie, że oba aż do obrzydliwości pokazali się tobie szpetnemi. Miły Paziu, powiédz sam, w czémże Nadyr i Mirza tak dalece wykroczyli? Jużci skoro starzec bierze młodą żonę, musi być na to przygotowanym, że jéj miłość nie może być tylko udaną. Wszakże, jeżeli młodość ma dla niego tyle powabów, dla czegóżby nie miała mieć powabów i dla jego żony? Więcéj powiém: oto, że w tém wszystkiém, jeżeli kto jest winnym, to tylko sam król. Nadyr i Mirza kochali się w sobie nim król ją poznał; król rozerwał tę parę dla siebie stworzoną, a która

dla siebie jedynie żyła. Nadyr ma większe prawo do Mirzy niż król, bo ma za sobą skłonność serca, a król przemoc. Nadyr więc sprawiedliwie używa swoich praw, a że Mirza umie oszukiwać męża tak, iż jemu się zdaje, że za nim szaleje, tém go robi szczęśliwym, i pod tym względem jest dobrą żoną, bo cóż więcéj może zrobić najlepsza żona, jak szczęście męża?

— Toć to jest i coś prawdziwego w tém co mówisz, czarny rycerzu, jedna tylko rzecz twoje rozumowanie wywraca.

— Jaka rzecz?

— Ta, że to wszystko jest przeciwne boskim przykazaniom.

Tu rycerz znowu okropnie się skrzywił, a potém szyderczo się uśmiechnął i rzekł:

— Tutaj bardzo się mądrze tłómaczysz, Paziu złotowłosy, jak widzę nie w las poszła nauka twojego mistrza, ale nauka właściwa dla starca; młodzieńcu nie na wiele się przyda. Niechby no twojemu mistrzowi wróciły dawne lata, ciekawy byłbym widzieć, do jakiego stopnia ta jego nauka tak piękna, jemu samemu posłużyłaby? Ja znam go już bardzo dawno, póki mógł, dokazywał swoje, a jak się dobrze zestarzał, przekształcił siebie na świętoszka. Teraz potępia to, do czego kiedyś czuł skłonność, i drugich odstręcza od tego, z czego sam już korzystać nie może. Jak będziesz stary, będzie pora przypomnieć sobie jego nauki, ale żeś młody, rób tak jak robią młodzi. Daj

rękę przyjacielu, i daj się przekonać, że ze mną lepsza sprawa niżeli z twoim ciemięgą.

— A broń Boże bym miał na nowo postępować po drodze grzéchu.

— Za cóż koniecznie grzéchu? a i na wielkim świecie można być świętym. Najgorsze grzéchy, są grzéchy myśli, a od nich nie ochroni ciebie twoja pustelnia, to już wiész z doświadczenia. Szlachcic i Lechita do swobody stworzony. Żyj na świecie jak przystoi twojemu urodzeniu, a nikt ciebie do złego ciągnąć za łeb nie będzie. Większa zasługa być cnotliwym z dobréj woli, niżeli z musu. Ty szlachcic, dworak, artysta, zapominasz o własnéj godności tak dalece, że zostałeś parobkiem starego żebraka. Wstydź się Paziu luby, pluń na życie takie, póki jeszcze pora ruszaj ze mną.

— Nie, nie, do tego mnie nie namówisz.

— Kiedy tak, bywajże zdrów. Czy nie widzisz jak twój dziad z daleka ciągnie do pustelni. Mnie tu dłużéj nie siedzieć, bo moje z nim spotkanie, ani mnie, ani jemu, nie może być przyjemne. Bądź zdrów, a życzę ci znieść cierpliwie chłostę, która jest przygotowana dla dobra twojéj duszy.

— Stój rycerzu, jużci wolę w swobodzie żyć po bożemu, niżby mnie kto miał bizunem napędzać, choćby po najlepszéj drodze. Wyprowadź mię ztąd jeżeli łaska, tylko proszę cię, nie przekształcaj mnie

w kota, bo cóż ci z tego przyjdzie? zawodzić czyją ufność, to nie po rycersku.

— A cóż ty myślisz, że jestem powieściopisarzem, co tę samą powieść kilka razy pod nowym tytułem ogłasza, i wmawia półgłówkom, że tworzy nowości, albo starcem, który się ciągle powtarza? Już byłeś kotem, i na tém nie straciłeś, boś napatrzył się na rzeczy, którebyś w postaci ludzkiéj nigdy nie widział, bo ci źle nie było, a nabyłeś tyle doświadczenia, że mnie samemu trudno by było teraz ciebie oszukać. Przysięgam tobie na rogi mojego pana, że odtąd swoich człowieczych kształtów nie stracisz. Nie dziwię się, żeś tak do nich przywiązany, bo nie ma co mówić, jesteś chłopcem czarującéj piękności. Daj mi rękę.

Dałem mu rękę i rzekłem:

— Gdzie mię zaprowadzisz?

— Do królestwa Serendybu, o którém musiałeś słyszeć.

— Słyszałem i czytałem o niém, jeszcze będąc na dworze Wojewody, ale zawsze uważałem Serendyb za państwo bajeczne.

— Mój kochany, na świecie, jaki wy ludzie go zrobili, każda prawda jest bajką, a każda bajka jest prawdą. Tymczasem, że puszczasz się w daleką podróż, pozwól siebie zapytać, czy masz pieniądze?

— A zkąd? Złamanego halerza nie mam przy

duszy. Jeżeli jesteś moim przyjacielem, to daj mi cokolwiek na drogę.

— Ba, czy ty nie wiész, jakie to ciężkie teraz czasy? Co powiész, kiedy i ja nie jestem przy pieniądzach. Ale mniejsza z tém, będziesz między ludźmi, a ja cię nauczę sposobu, żeby pieniądze z cudzéj kieszeni do twojéj się przenosiły.

— Czy ty oszalał rycerzu, ja ślachcic miałbym zostać złodziejem?

— Otóż i przesądy. Mój kochany, nazwisko rzeczy, a nie sama rzecz razi. Ukraść komu coś po prostu, to brzydko, — ale dostać to przemysłem, rzecz wcale piękna; niby nie to samo. Nikt nie przychodzi na świat z pieniądzmi, ale ich nabywa, lub ktoś ich nabył dla niego; a czy siak, czy tak, na jedno wychodzi. Wziąść komu rękę, nos, ucho, jest prawdziwém złodziejstwem, bo to jest rzeczywista własność; ale kruszec, czy go wydobędziesz z ziemi, czy z cudzéj kieszeni, zawsze on jest płodem natury, do którego albo nikt, albo każdy ma równe prawo. Nigdy się po tobie nie spodziéwałem, żebyś miał o rzeczach tak ciasne pojęcie. Nie ma co mówić, jesteś honorowym człowiekiem, kraść nie możesz, ale cudzy grosz na swoją korzyść obrócisz, a tak i wilk będzie syty, i koza cała.

— Nie, nie, do tego mnie nie namówisz, to na próżno. Daj mi tylko jakikolwiek środek do opędzenia piérwszych potrzeb, bo jużci jak przybędę do piérwszéj

gospody zmęczony i zgłodniały, nie obejdę się bez strawy i wypocznienia, a tego darmo nie dostać choć i w Serendybie.

— Masz ptaka najosobliwszego rodzaju, będziesz go pokazywał za pieniądze, tém sobie wszędzie zapewnisz kawał chleba z mięsem, i jaką taką pościołkę, a poźniéj przystaniesz na moją radę. Dla strawy i lada odzieży nie wielu kradnie, lubo takich tylko nazywają złodziejami. Najczęściéj się kradnie, żeby mieć pieniądze, a ich nie używać. Jeszcze o wielu rzeczach się dowiész. Tymczasem daję ci tego motyla, puść go przed sobą, a ty idź za nim, on będzie latać dla pokazania ci drogi; gdzie wypocznie, tam i ty spoczywaj, a tak dojdziesz do państwa Serendybu; motyl jak ciebie do niego doprowadzi, odleci do mnie. Muszę ci dać jeszcze jednę rzecz na pamiątkę. Oto masz te trzy kostki, ile razy rzucisz je o stół lewą ręką, tyle razy starsza liczba się przewróci, jeżeli prawą, mała liczba wypadnie z korneta, a że zwykle każdy prawą ręką rzuca, możesz bajeczne sumy w tę grę wygrać. Cała rzecz, żebyś się wystrzegał mańkutów, ale na szczęście, tych nie wiele na świecie. Wierz mi, te kostki bardzo ci się zdadzą, a nawet na wielkiego człowieka mogą cię wykierować. Ograć głupca na pewniaczka, nie jest złodziejstwem, jest owszem szlachetną zabawą. Oszust w grze, zawsze uchodzić będzie za wielce honorowego męża, byle tylko dobrze się wybił, jak zostanie schwytany na uczynku. Teraz

na prawdę bywaj zdrów, bo już twój pustelnik nie daleko.

Schowałem kostki do kieszeni, z postanowieniem ich nigdy nie używać, a motylka puściwszy przed sobą, kierowałem się jego polotem jak żeglarz gwiazdą polarną, a nie zapomniałem zawinąć w chustkę mojego ptaka, i zabrać z sobą mój łuk i moje strzały.

na prawdę drogi, zdrowo, lecz już tarczę przeciął, ale daleko.

Schowałem kulkę do kieszeni, a postanowiłem ich nigdy nie ożywiać, ai możliwa pojęcia przez sobą, zastanawiałem się jego położeniem jak żeglarz czekający polarną, a nie zapamiętałem uwagi w chwili, mo- jego płóźkami zabrać z sobą, mój duch i moje chwały.

XIII.

Motyl leciał przedemną, a ja za nim postępowałem, szedłem piechotą, ale rzesko. Wdzięki mojego przewodnika tak mię zajmowały, że nie czułem znużenia. Bo też to był dziwnie piękny motylek czarny, ale na nim były plamy białe, a tak błyszczące jak brylant, który przypina kitę do zawoju Waszéj sułtańskiéj Mości. Szedłem, szedłem, jak mi się zdawało powoli, ale w podróżach po krainach dziwów, inne są warunki czasu, niżeli zwyczajnie. I tak zdawało mi się, że robię krok, a tym czasem ten krok więcéj mili ukraińskiéj zajmował. Poznawałem to, widząc coraz inne płody przyrodzenia, a dla mnie zupełnie nie znane. Nakoniec nie powiém, żebym się zmęczył, ale znudziłem się nieco tą podróżą, kiedy spostrzegłem ptaka, który w nizkim swoim polocie zdawał się czatować na mojego motyla.

Ptak ten miał pióra ciemne, nakrapiane rudemi cętkami, a był wielkości głuszczca. Natężyłem łuk, wyjąwszy strzałę z sahajdaka, a moja namiętność do myśliwstwa i troskliwość o życie przewodnika, zagrzały

mię pospołu. Wziąłem latającego nizko ptaka na cel; widać, że w tym kraju nie było myśliwych, bo ptak nie zdawał się uważać na łucznika, miałem wszelki czas, żeby go jak najlepiéj wziąść na cel, puściłem strzałę, i na wskróś go przeszyłem. Ptak przeszyty upadł, ani drgnął. Podniosłem go z pospiechem, a że znalazłem go bardzo oblanym, pomyśliłem sobie, będę miał z niego smaczną wieczerzę, szkoda tylko, że bez towarzysza, bo ten ptak i dla dwóchby choć najwięcéj zgłodniałych wystarczył.

W tém postrzegłem przedemną idącą babę, na sękatym kiju opartą, miała na plecach swoich zawieszoną krubkę, a w ręku trzymała dość duży garnek. Zbliżyłem się do niéj. Matko, rzekłem, pozwól siebie zapytać, dokąd idziesz?

— Za granicę — odpowiedziała staruszka.

— Za granicę — za jaką granicę?

— A cóż to panicz nie wie, że ztąd o kilka stajów płynie rzéka Ghilon, rozgraniczająca królestwo Bułdurskie od cesarstwa Serendybskiego, którego jestem poddanką.

— To my już tak blisko Serendybu, tegobym się nigdy nie spodziéwał.

— A czy i panicz do państwa Serendybskiego dążysz?

— Nie inaczéj.

— Mógłbyś się panicz do niego dostać przed dwoma godzinami, gdyby nie to, że po zachodzie

słońca, nie wolno się przeprawiać na tamtę stronę, bo jak musi być panu wiadomo, rzéka Ghilon póki słońce świeci jest spokojną jak zwierciadło, ale skoro zajdzie, staje się raptownie burzliwą, jakby tęskniła za nim, i dopiéro po jego wschodzie się uspakaja. Wedle mojego zwyczaju, przeprawiłam się dla uzbiérania owoców, których na tamtéj stronie nie mamy, bo to jest jedyny mój sposób do życia, ale spóźniłam się i muszę na téj stronie nocować; już nie uspieszę nazad się dostać, bo jak panicz uważać możesz, słońce już na samym schyłku, a jeszcze więcéj dwóch par tysięcy kroków mamy do brzegu, wypadnie więc nam nocować pod drzewem.

— Będziemy razem nocowali, matko, jeżeli pozwolisz, w towarzystwie jakoś weseléj. Mam czém odpędzić drapieżnego zwiérza, gdyby się chciał do nas przybliżyć, i mamy z czego sporządzić sobie wieczerzę. Ty matko masz garnek, a ja zwierzynę, ręka rękę myje, jak mówi przysłowie, pomożesz mi zrobić potrawkę z tego ptaka, który nam obojgu będzie służył za wieczerzę.

— Bóg zapłać paniczowi, z pańskiéj łaski pożywię się, inaczéj musiałabym udać się do krubki, i umniejszyć te moje owoce, które w mieście mam sprzedać.

Szliśmy razem małą godzinkę, słońce już było zaszło, miły wieczorny chłodek czuć się dawał, kiedy

mój motylek raptem usiadł na gałęzi. Obróciłem się do mojéj towarzyszki, i powiedziałem jéj:

— Matko, ja daléj nie pójdę, jeżeli wola zatrzymaj się ze mną, i zwarz z tego ptaka potrawkę, żeby nam głód nie doskwierał.

— Dobrze paniczu drogi, odpowiedziała staruszka.

Obejrzeliśmy się w około, blisko nas była krynica. Uzbierałem stosik suchych gałęzi, i wykrzesałem ogień, który wkrótce owionął płomieniem szerokie ognisko, wziąłem się do skubania ptaka; baba podziwiała jego tłustość. Ale gdyśmy zaczęli go oprawiać, patrosząc go, natrafiłem na coś twardego, wyjmuję, patrzę i znajduję złote jajo, wielkości gęsiego. Jak go baba zoczyła, radośnie wykrzyknęła: Otóż i nowe szczęście, najemy się, a potém będziemy mieli czém się dzielić!

— Jakto, odrzekłem, ja się podzielę z tobą potrawką. Za pożyczenie garnka, oddać połowę tego co się w nim zgotuje, zdaje mi się, że dość łaski, ale jakie prawo mieć możesz do połowy tego jajka?

— Panicz powiedział, pożycz mi garnka, a ja ciebie za to przypuszczam do połowy tego ptaka. Rozumie się, że do podziału wchodzi i to co widać, i to co w niém się znajdzie; połowa złotego jajka do mnie należy, i ja od niéj nie odstąpię.

— Żebyś ty pękła, ja na to nigdy nie zezwolę.

— Jeżeli panicza takie sumienie, że masz sobie za nic skrzywdzenie staréj wdowy, matki dzieciom, ja

ostrzegam, ja z dziećmi wszędzie będziemy płakać i skarżyć się na panicza.

— A to utrapiona baba. Czego ty chcesz odemnie? Wszakże nim jeszcze się spotkałem z tobą, już byłem w posiadaniu tego ptaka, ofiarowałem tobie połowę zwierzyny za twoją pomoc, i nic więcéj, czy ty sama masz sumienia na szeląg, żądać połowę złotego jaja za pożyczenie glinianego garnka? Opamiętaj się staruszko, i nie naprzykrzaj o to, czego przez żaden sposób nie dostaniesz.

— Wola panicza, ale ja trzymam się słów wyrzeczonych przez jego godność. Podziel się ze mną twoim garnkiem, a dostaniesz połowę mojego ptaka. Jakiż by to był podział, żebym poprzestała na połowie mięsa, a panicz wziął sobie wszystko złoto. A to dopiéro bym oszalała, żebym się na tak widoczną moją krzywdę zgodziła. Ja matka dzieciom, złota nie mogę cisnąć za sobą; niech panicz mi odda co jest mojego, bo cudza krzywda nie na długo wzbogaca.

— Prawdziwie przyjdzie oszaleć z tą utrapioną babą; wszakże to napaść wyraźna, i żebyś była mężczyzną, tobym ciebie moim łukiem zmusił do milczenia.

— Niech mnie panicz i zabije, kiedy taka wola. Zabrałeś mi majątek, zabierz i życie; bo póki żyję, mojéj krzywdy nie odpuszczę, będę do Boga i ludzi wołać o pomstę.

— O to przyczepa, widzę ukaranie Boga w tém spotkaniu mojém z tą napastnicą. Wiész-że co, idź

precz z swoim garnkiem, ja i bez niego i bez ciebie jakoś się obejdę, dam sobie radę, odczep się odemnie.

— To panicz teraz zrzucasz się z umowy, ale o tém zapominasz, że umowę zawiązaną między dwoma, jeden zerwać nie może. Ja jéj się trzymam, pan się jéj zrzekasz, chyba trzeci nas rozsądzi.

— Już ja ciebie nie przeprę, gadaj więc co ci się podoba, piszcz, skarż się, a ja swoje zrobię. Gotujże potrawkę, zjedz ją potém ze mną, a złotego jaja połowę wyperswaduj sobie, bo jéj ani liźniesz.

— Obaczymy.

Dałem pokój, na coby się przydały próżne słowa. Nakoniec głód się wzmagał we mnie, a uważałem, że baba dobrze się bierze do przyprawy wieczerzy.

Baba przygotowując wieczerzę, po kilkakrotnie gabała mię o podział mojéj zdobyczy, tak jak go rozumiała, bo wiadomo, że kobiéta zwłaszcza stara, jak sobie coś uroi, nie łatwo od tego odstąpi. Ale ja postanowiłem uzbroić siebie milczeniem, ile razy téj struny się dotknie. W innych zaś przedmiotach brałem udział w jéj rozmowie, a że była wielomowną, zasięgnąłem od niéj wiele wiadomości dla mnie pożytecznych. I tak dowiedziałem się, że miasto, którém się wchodziło do państwa Serendybskiego, nazywało się Kisym, że Kalif Serendybu wielkiemi przywilejami go uposażył, a mianowicie, że każdemu cudzoziemcowi wolno było w niém mieszkać bez żadnéj przeszkody, że nikt nie miał prawa

pytać go zkąd przyjechał i po co, a zwierzchność czuł nad sobą w takim tylko razie, jeżeli dopuścił się jakiego przestępstwa. A że rzéka, która Serendyb oddzielała od reszty świata, była bardzo széroką i nieco trudnéj przeprawy, więc Kalif swoim kosztem utrzymywał na niéj mnóstwo łodzi, żeby przewozić bezpłatnie przybywających do miasta, aby go zrobić kwitnącym. I w saméj rzeczy, chociaż Kisym dwudziestu lat nie rachował od swojego założenia, był już miastem handlowém i zamożném. Dowiedziałem się od niéj, że Kalif Serendybu był monarchą mądrym i sprawiedliwym, wszakże nie zawsze szczęśliwym w wyborze wykonywaczów swoich zbawiennych rozporządzeń, że urzędnicy składali jakby ligę, żeby prawda nie dochodziła nigdy do Kalifa, co wszystko słuchałem z uwagą.

Ale jak podała potrawkę gotową, przyznam się Waszéj Sułtańskiéj Mości, że już byłem na wszelkie jéj gadania głuchym. Czy głód który czułem coraz gwałtowniéj, czy jéj sztuka kucharska była tego przyczyną, ale w życiu mojém nigdy równie smacznego jadła nie pożywałem. Tak byłem zadowolony moją wieczerzą, że gdybym był dwa złote jaja znalazł w trzewach mojego ptaka, jedno z nich możebym oddał babie, ale trudno mi było jedném jajem się podzielić, zwłaszcza, że to był całkowity mój fundusz, bo nie wiele rachowałem na przychód, jaki miał mi przynosić ten drugi ptak, co go miałem pokazywać

w Kisymie za pieniądze, gdyż taką kapaniną co najwięcéj można opędzić mizerną strawę, jeszcze mizerniejszy nocleg, a tu trzeba było jeszcze oporządzić się po ludzku, gdyż nie miałem innéj odzieży tylko koszulę na grzbiecie i sukman pustelniczy dobrze wytarty, a nawet podziurawiony. Zbywałem więc babę różnemi obietnicami, których uiszczenie na czas pomyślniejszy odkładałem. Baba tém się nie dała uspokoić; widać, że trzymała się maxymy czarnego rycerza, że lepszy jeden zaraz, niż dwa poczekawszy, i po kilkakrotnie naprzykrzała się o podział, ale ja na te jéj naprzykrzania byłem głuchy. Po skończonéj wieczerzy, kładąc się do spoczynku schowałem jajko przy sercu, ptaka położyłem pod głowę, a łuk trzymałem w ręku, żeby czasem nie spróbowała okraść mnie sennego, i tak zasnąłem.

Skoro świtać zaczęło, przebudziłem się, ale już baby nie było. Spostrzegłem tylko mojego motyla, który kręcił się około mojéj twarzy, dając hasło do dalszéj podróży. Puściłem się za nim, i po godzinnéj wędrówce, ujrzałem széroką rzékę, a za nią duże miasto. Domyśliłem się, że to musi być Kisym. Mnóstwo było łodzi. Mój motylek zniknął, a więc wątpić nie mogłem, że to był cel mojéj podróży. Siadłem w łódź, i zawinąłem na brzeg przeciwny. Wysiadłem, ale ledwo stanąłem u bramy miasta, kilku ludzi uzbrojonych rzuciło się na mnie, i nie słuchając żadnego tłumaczenia, zaprowadzili mię do jakiegoś domu, i

wprowadzili do wielkiéj sali, w któréj nikogo nie zastałem oprócz téj baby utrapionéj, która na mnie ściągnęła biédę. Bo nie trudno było poznać, że moje tak złe przyjęcie w mieście uprzywilejowaném dla cudzoziemców, było jéj sprawą. Jéj widok taką złość we mnie pobudził, że nietylko do niéj ani słowa nie rzekłem, ale oczy odwróciłem, jakbym jéj nie znał. Nie czekałem i pół godziny, bo skoro tylko ten co mnie przyprowadził, zameldował mię swojemu naczelnikowi że jestem, on tyle tylko się spóźnił, ile mu potrzeba było czasu do ubrania się i przyszedł do sali.

Jak mnie jemu pokazano, on się zbliżył do mnie, ja stałem jak wryty, myśląc sobie, co to będzie. Aż jeden z oprawców schylił głowę moją przed tym urzędnikiem, bo to był naczelnik téj części miasta, która się rzeki dotykała. Był to człowiek średniego wieku, szpetny, zyzooki, rudo zarastający, a tak wrzeszczał, że wszyscy jego podwładni byli ogłuszeni tak, że kiedy kto do nich mówił nie podnoszając głosu, nie był słyszanym. Zapytał przeraźliwie babę:

— A czy to ten?

— Ten sam, odpowiedziała.

— A więc to ty, rzekł obracając do mnie mowę, coś znalazł z tą staruszką złote jajo, a nie chcesz z nią dzielić się niém po bożemu, ale całkowite sobie chcesz przywłaszczyć?

— Jaśnie Wielmożny Panie, odpowiedziałem, ja z tego samego łuku co go mnie u bramy odebrano,

zabiłem ptaka. Dopiéro może w godzinę potém, piérwszy raz ujrzałem tę babę; ofiarowałem jéj połowę mojéj wieczerzy, a ona podjęła się zrobić potrawkę w swoim garnku. Kiedyśmy stanęli do spoczynku, i wzięli się do kuchmarzenia, znalazłem w trzewach mojego ptaka złote jajko. Jakież ona prawo może mieć do niego?

— Jakie prawo? to nie twoja rzecz, sąd postanowi do kogo to jajko ma należeć, pokaż go.

Nie było co robić, wyjąłem z zanadrza jajko. Jak go zoczył urzędnik, porwał go łapczywie, oczy mu błyszczały z radości, jak się zaczął jemu przypatrywać.

Baba mu padła do nóg, prosząc, by to jajko kazał rozciąć na dwie części, i niemi nas obdzielić.

— Nie, moja kochana, rzekł urzędnik, może tobie przysądzą całkowite jajko, a może nic z niego nie dostaniesz; bez sądu nic zrobić nie mogę, jajko zatrzymuję przy sobie jako depozyt, a dopiéro temu go oddam, któremu sąd przyzna do niego prawo, a ty powiédz, co tam masz zawiniętego w swojéj chustce.

Musiałem odsłonić mojego ptaka. Jak go obaczył urzędnik, okazał największe zadziwienie. W saméj rzeczy nie można było widzieć nic piękniejszego, pióra jego błyszczały jak drogie kamienie.

— Bracie, rzekł do mnie łagodnie, podaruj mnie tego ptaka; ty jesteś myśliwy, tobie nie będzie trudno

o podobnego, a za to będziesz miał u mnie łaskę, jeszcze mogę ci się przydać.

— Jaśnie Wielmożny Panie, odpowiedziałem, wielce umiem cenić jego łaskę, ale ten ptak dziś jest jedynym środkiem, który mnie żywić może. Pan zabrałeś mi złote jajo, szeląga nie mam przy duszy, jeżeli jeszcze się pozbędę tego ptaka, w cóż się obrócę?

— A jakiém ty prawem zastrzeliłeś tego ptaka? krzyknął. Ja cię nauczę polować na cudzych gruntach.

— Tę zwierzynę wyniosłem z po zagranicy tego państwa, w czémże mogę być za nią odpowiedzialny?

— Coś ty bardzo rozumujesz, jesteś wolno myślący jak uważam, ale u nas na wolno myślących jest rzemień i koza. Dziękuj mojéj wspaniałomyślności, że ci łuk i strzałę oddać każę, i całego puszczam. Idź-że sobie precz, a siedź cicho, jeżeli się boisz biédy; ruszaj-że sobie z Bogiem.

I tak się skończyło moje posłuchanie. Wyzuł mnie z jajka złotego, z ptaka, a puścił mię z łukiem i zaklętemi kostkami, ale bez halerza.

Wyszedłszy na ulicę, zetknąłem się z babą.

— Panie, rzekła do mnie, między dwoma kłócącymi się, trzeci korzysta; wiodliśmy spór o jajko złote, urzędowa sprawiedliwość nas pogodziła; ni mnie, ni panu, ale sobie zabrała to jajko. Teraz sama żałuję, żem się nie spuściła na sprawiedliwość pańską, pewnie lepiéjbym na niéj wyszła niż na urzędowéj. Co pan teraz myślisz z sobą zrobić?

— Albo ja wiém, tyś mnie tak wykierowała, że nie wiem co z sobą rozpocząć. Mam łuk, ale nie ma zwierzyny dla niego, mam kostki zaklęte, ale nie mam pieniędzy, żeby z niemi grę rozpocząć, zresztą któżby chciał grać z człowiekiem tak nędznie odzianym. Piekielną krzywdę mnie wyrządziłaś, bo moja śmierć będzie na twojéj duszy. Ja tego tylko czekam jak głód doświadczę, a jak to nastąpi, a nie będę miał za co kupić kawałka chleba, rzucę się w rzékę ciebie przeklinając, tego możesz być pewną.

— Pan tak nie myśl, lepiéj pójść do Wielkorządzcy ze skargą na tego łupieżcę, który nas obojga ukrzywdził, i ja z panem pójdę oskarżyć tego rozbójnika, co tak pięknie osądził naszą sprawę. Wielkorządzca jest uczciwy człowiek, nie słychać żeby brał pieniądze, a do tego ma żonę rodem z Skotostańskiego Arcypelagu, kobiétę piękną i rozumną, a słynną z dobrego serca; obaczysz pan, że otrzymamy sprawiedliwość. A tymczasem racz pan przyjąć u mnie śniadanie.

Lubo czułem rankor do baby, nie okazałem siebie twardym, bo będąc gołym, śniadanie ofiarowane nie było do odrzucenia. Powtóre przeczucie miałem, że jako mnie w biédę wprowadziła, tak téż mnie z niéj wyprowadzi.

Zaprowadziła mię baba do swojéj chałupy, wewnątrz czystéj, i gdzie nędza spostrzegać się nie dawała.

— Niech pan u mnie przyjmie kwaterę, rzekła. Byliśmy sobie przeciwni, teraz wspólność interesu, powinna nas jak najściślej łączyć. Spodziewam się, że pan przypuścisz mię z sobą do spółki, jeżeli wydobędziesz swoją własność z rąk sprawiedliwości.

— A nie inaczéj moja kochana, całe życie wyrzucać sobie będę, żem dla ciebie pokazał się tak nieużytym. Waćpani zrobiłaś mnie jednemu wiele złego, teraz staraj się nam obojgu zrobić dobrze.

Nakarmiła mię staruszka koźlęciem pieczoném, które mi się wydało smaczném nad moją nadzieję, a podjadłszy, puściłem się z nią do pałacu Wielkorządzcy.

Widać było, że baba miała swoje stosunki z fraucymerem Wielkorządzczyni, bo nie zaprowadziła mię do sieni pałacowych, gdzie się zbiérali ci, co przychodzili z prośbami, ale kazała mi pójść z sobą przez inny mały dziedziniec do skrzydła pałacu, gdzie sama Wielkorządzczyni mieszkała z swojemi kobiétami. Baba trzymała krubkę napełnioną temi samemi owocami, które za granicą państwa była uzbiérała, w téjże saméj puszczy gdzie ją poznałem. Jakeśmy weszli do przedpokoju, pokazała się jedna z pokojówek, i przywitała się ze staruszką jak z dobrze jéj znajomą, i zamieniwszy z nią kilkanaście słów, bo na kilku baba by nie umiała poprzestać, wróciła do wewnętrznych komnat, żeby swojéj pani oznajmić, że staruszka, która zwykle jéj przynosi owoce, jeszcze ma do niéj prośbę bardzo ważną.

Nie długo czekaliśmy na pokojówkę, ona stanęła na progu, i powiedziała staruszce, żeby z nią poszła do pani, a mnie kazała poczekać w drugim pokoju. Ale kiedy za niemi poszedłem aż do progu drzwi otwartych, obaczyłem w następnym pokoju mojego ptaka w rękach dwóch niewolnic, które zabiérały się go wypchać. Choć piórka tego ptaka błyszczały jak gwiazdy, mnie się zrobiło aż ciemno w oczach. Powiedziałem sobie, ani nadziei otrzymać sprawiedliwości od Wielkorządzcy, kiedy już część łupów na mnie zdobytych, przeniosła się do jego domu. Ale tak postanowiłem w myśli. Nie ma co robić, trzeba od ptaka się recessować, o nim ani wspomnę, i daj Boże, żeby baba z tém się nie wymówiła, boby cały interes utopiła. Niech już Wielkorządzczyni cieszy się moim ptakiem, bylem trafił do połowy jajka.

Wkrótce wróciła baba, żeby mi oznajmić, iż Wielkorządzczyni pozwala mi wnijść do swojéj komnaty. Zastałem ją siedzącą przy klawikordzie, na którym robiła rozmaite akordy. Ja nie będąc obcym muzycznemu kunsztowi, znalazłem ją silną w tymże kunszcie. Nie była to uderzająca piękność, ani kwiat piérwszéj młodości błyszczał na jéj licach, ale trudno było widzieć kobiétę przyjemniejszą, a nawet po jéj dezabilce i czypeczku zaraz można było poznać, że jest mistrzynią w tajemnicach gotowalni. Przestała grać, i zapytała mię o wszelkie szczegóły mojego spotkania z staruszką, i mojego przyjęcia w Kisymie.

Ja jéj to wszystko opowiedziałem, i uważałem w ciągu tego opowiadania, że ciągle wpatrywała się we mnie. Kiedym skończył, ona rzekła do mnie łagodnie:

— Mój kochany, twój interes bardzo sprawiedliwy, ale powiem ci otwarcie, że ani miej nadziei, by nawet mój mąż mógł tobie pomódz. Naczelnik portu, który ciebie obdarł, jest człowiek chciwy, jak wszyscy urzędnicy tutejsi, ale że to jest wada rozpowszechniona, nie można wymagać, by jeden za wszystkich padł ofiarą. Chcieć mu sądownie dowodzić zdzierstwo, jest to samo, co chcieć zawiązać dla siebie sprawę niebezpieczną. Człowiek mający zasługi, związki, a który oprócz tego że wszystkich bez miłosierdzia obdziéra, zresztą dobrze służy, i swój wydział utrzymuje w najlepszym porządku, a do tego bójki w papiérach, wszędzie znajdzie takich co mu zginąć nie dadzą. Ale bez mojego męża ja ci lepiéj dopomogę, że sobie sowicie wynadgrodzisz szkodę bez kłótni, a chociaż widzę ciebie i biédnym, i źle odzianym, wróżę ci, że fortuna nie długo się będzie od ciebie odwracać. Jesteś przystojny, dobrze się tłómaczysz, żebyś jeszcze miał do tego jaki talent, nie miałbyś powodu żałować, żeś przybył do Serendybu.

— Pani, odpowiedziałem klęknąwszy przed nią, już fortuna przestała odwracać się odemnie, kiedy tak piękna i tak utalentowana Pani, bierze udział w mojém przeznaczeniu. Co do talentu, powiem Pani, że ten właśnie, w którym jesteś mistrzynią, jest przezemnie

uprawianym, i do niego od dzieciństwa się przykładałem.

— Jakiż jest twój instrument? odezwała się z pospiechem Nizyda, bo takie było jéj imię.

— Prawie z wszystkiemi instrumentami jestem zpoufalony, odrzekłem, ale najwięcéj miłuję lutnią i arfę. Widzę tu właśnie arfę, jeżeli Pani pozwoli, na niéj zagram.

Otrzymałem skinienie zezwolenia, siadłem przy arfie, zacząłem z niéj wydobywać tony, ciągle patrząc na Nizydę, która na przeciwko mnie siedząc, z natężoną uwagą zdawała się mnie pożerać swojemi pięknemi oczami.

Jéj widok natchnął mnie, i choćby mię miano za chełpliwego, przyznam się Waszéj Sułtańskiéj Mości, że przewyższyłem siebie wtenczas, a nawet najpiérwszych mistrzów. Nizyda była w zachwyceniu, ale gdy zacząłem spiewać balladę, nie mogła jéj się dosłuchać, wstała, biegała po pokoju jakby w gorączce, powtarzając:

— A to skarb chodzący ten chłopiec, musi on być moim, nic podobnego w życiu nie widziałam. I nie uważając na przytomność staruszki, siadła na moich kolanach, dała mi kilka pocałunków ognistych, i powiedziała: Prawda, że będziesz mię kochał?

Ja jéj padłem do nóg i rzekłem: Zawsze, i zawsze.

Nizyda wstała, wybiegła do swojego gabinetu, i wróciła po kilku chwilach, trzymając w ręku worek

napełniony złotem, a obracając się do staruszki: Wyprowadź tego chłopca, rzekła, masz pieniądze, ubierz go jak najbogaciéj, tak jak potrzeba młodzieńcowi wysokiego rodu, a jak się jego metamorfoza odbędzie, żeby zaraz przybył do naszego pałacu, i kazał siebie zameldować mojemu mężowi, jako pan rodem z Benaresu, podróżujący dla zabawy po obcych ziemiach, a już ja w tém, że dobrze będzie przyjęty. Jeszcze po kilkakrotnie obdarzyła mnie rozmaitemi poufałościami nim nas odprowadziła do tych samych drzwi, któremiśmy weszli.

Baba zaprowadziła mię do swojéj chaty, i piérwsze jéj słowa do mnie były:

— Synu, mogę ci winszować szczęścia; nie wiem czy odzyskamy nasze jajo, ale masz teraz kokosz, która ci naniesie złotych jaj ile zechcesz. Znam Nizydę, u niéj kaprys jest wszystkiém, żadnemu też swojemu kaprysowi nigdy się nie oparła. Ona szalenie zakochana w tobie, korzystaj z tego, a o mnie nie zapominaj, jeszcze ci się mogę przydać na coś. Zresztą możesz się oddać swojemu szczęściu z wszelką swobodą, bez najmniejszéj obawy, bo to jest tak rozumna i tak zręczna kobiéta, że choćby mąż ciebie zastał u niéj, ona zdołałaby w niego .wmówić, że mu się to tak tylko przywidziało, i on ją jeszcze będzie przepraszał. On ma dla niéj nie małe obowiązki, chociaż ją wziął ze Skotostańskiego Arcypelagu, nie tylko bez posagu, ale nawet musiał za nią zapłacić jéj piérw-

szemu mężowi, żeby mu ją odstąpił; lecz tego nie ma prawa żałować, bo gdyby nie ona, dawnoby utracił swoją posadę, ale jak tylko się zachwieje, ona zaraz rusza do stolicy Serendybu, i tak jak zacznie gdzie potrzeba szafować swoją osobą, wszystko tak poprawi, że jakąś jeszcze łaskę nową dla męża wyjedna. Poczekaj-że na mnie synu, muszę ci przyprowadzić kupca z bogatemi szatami jakie są w użyciu w Benaresie, bo znam Nizydę, ona musi sceny wygrywać niecierpliwości za tobą; dałaby mi się w znaki, jakbyś o południu nie stawił się jéj mężowi.

Wyszła baba, a ja sam zostawszy, zacząłem się zastanawiać nad sobą. Były siakie takie walki z sumieniem, że puszczam się na drogę niebezpieczną, ale z drugiéj strony Nizyda była tak powabna, to raptowne podbicie serca kobiéty tak zręcznéj tyle podchlebiało mojéj miłości własnéj, że te ostatnie odgłosy sumienia się uciszyły. Niczém już nie byłem zajęty, jak tylko, żeby najrychléj korzystać z mojego nowego położenia. Dobrze to jeden mędrzec powiedział, że wszystkie namiętności są między sobą nierozdzielne siostry. I tak, zaledwo marzyć zacząłem o roskoszach miłości, które mię czekały, aż zaraz do tego przyłączyły się inne marzenia znaczenia, bogactw, przewagi nad innymi. Bo uzyskawszy skłonność namiętną takiéj kobiéty jak Nizyda, czegóż sobie nie mogłem obiecywać? Kiedy tak sobie marzyłem, wróciła baba, a z nią przyszedł jeden kupiec z bielizną, a drugi z najko-

sztowniejszemi szatami. Przypatrywałem się z upodobaniem tym strojom, nie umiejąc uczynić wyboru. Ale stara najbogatszy z tych ubiorów wybrała, i mnie go podała; przymierzyłem go, potém obmyłem się za pomocą baby od stóp do głowy, wymuskałem czuprynę, wziąłem powtórnie na siebie odzież z szkarłatnego jedwabiu, kapającą złotem, jakby dla mnie zrobioną, i tak stanąłem w gotowości. Baba bez targu zapłaciła co tylko żądali kupcy, i obydwóch odprawiła. Nie dość na tém, przyprowadziła z sobą lektykę noszoną przez dwóch murzynów z piérwszéj w mieście austeryi, wręczyła mi kilkanaście sztuk złota na wypadek gry, i kazała mnie siąść w lektykę, nieomieszkawszy zalecić murzynom, żeby mię zanieśli do pałacu Wielkorządzcy. Wszakże na każdy wypadek nie zapomniałem włożyć w kieszeń moje kostki, i puściłem się szukać szczęścia.

Skoro stanąłem w przysionku pałacu, zapytałem niewolników, których tam stało mnóstwo, czy Wielkorządzca pozwala Emirowi Szach al Rahman Ben Ali, przybyłemu z Benaresu, złożyć mu swoje upoważenie. Tak siebie przezwałem z powodu, że im człowiek ma więcéj nazwisk, tém za większego uchodzi pana. Jeden z niewolników pobiegł na schody, i wkrótce niemi się spuścił, żeby mi oznajmić, iż jego pan jest gotów mię przyjąć.

Wszedłem do sali bogato ubranéj, i w niéj zastałem Wielkorządzcę. Był to człowiek średniego wieku,

ozdobiony złotym łańcuchem, który mu wisiał u szyi, i na wstępie dał mi o sobie wyobrażenie, iż nie można znaleźć grzeczniejszego gospodarza. I to trzeba wiedzieć, że wysocy urzędnicy państwa Serendybskiego o ile jakkolwiek po grubiańsku postępują ze swoimi, względem cudzoziemców okazują największą uprzejmość, bo o to wiele dbają, żeby za granicą ich kraju uchodzili za ludzi ukształconych. Wielkorządzca robił mi różne pytania o państwie Benareskiém, i byłby nie małego kłopotu mię nabawił, bo w życiu mojém nie byłem w Benaresie, ale na moje szczęście, sam odpowiadał na swoje zapytania, żeby mnie przekonać, jak dobrze zna moją ojczyznę, bo i to zauważyłem, że prawie wszyscy Serendybianie wyższego towarzystwa mają do tego pretensyje, iż lepiéj wiedzą co się w obcych krajach dzieje, niżeli sami krajowcy. Po tych wszystkich przedwstępnych do bliższéj znajomości etykietalnych grzecznościach, nie zaniedbał mię nauczyć, że posiada ufność Kalifa Serendybu, i niby z niechcenia wyliczył mi wszystkie znaki zaszczytu jakie od niego w różnych czasach odebrał, a których ilość jest tak wielka, że ich wszystkich razem na sobie umieścić nie może. A skończył zapytaniem, czy życzę sobie poznać jego żonę, która bardzo lubi cudzoziemców. Skłoniłem się przed nim, prosząc go owszem, by mnie raczył przedstawić téj zacnéj damie, o któréj mam już najwyższe wyobrażenie, kiedy zdołała uzyskać przywiązanie tak wielkiego męża. Na te

moje słowa, aż wyprężył się z ukontentowania. Powiedział mi, że przeprasza, iż idzie przedemną dla pokazania mi drogi. I tak weszliśmy do pokoju już mnie znanego Wielkorządzczyni.

Ona siedziała przy stoliku nad jakąś białogłowską robótką, a tak zastaliśmy ją gustownie ubraną, że zdała mi się o dwa razy być piękniejszą, niżeli kiedy ją wprzódy widziałem w dezabilce. Powstała, ale kiedy mąż jéj mnie przedstawił, a ona na mnie rzuciła wzrokiem, jéj twarz oblała się karmazynem; może piérwszy raz w życiu swojém pokazała siebie zmieszaną, tak, że czas jakiś zostawała w milczeniu, ale wkrótce przyszła do siebie, i ze zwykłą przytomnością robiła honory salonu, poczém wszczęła się między nami żwawsza rozmowa, podczas któréj chociaż w przytomności jéj męża, umieliśmy sobie powiedzieć wiele rzeczy od nas tylko zrozumianych. Poznałem, że ona miała rozum i dla siebie i dla męża. Wpadliśmy w rozmowie naszéj na muzykę, i rozbiéraliśmy różne szczegóły téj sztuki. Ztąd przyszło, że na usilne prośby męża Nizyda siadła przy klawikordzie, i nie można było zaprzeczyć, że była wielką artystką, i szczególny wyraz umiała dawać wszystkiemu co wygrywała. A gdy skończyła, rzekła do mnie: Widzisz Emirze, jak jestem powolną na wasze wymagania, mam prawo równą powolność otrzymać od ciebie, jestem pewna, że musisz grać nieporównanie, bo dopiéro mówiłeś o muzyce jak prawdziwy znawca. Zrobisz mi prawdziwą przy-

jemność, wybierz między mojemi nótami jaką sztukę, i wygraj ją przed nami. Skłoniłem się, prosząc, iżby raczyła w sądzie jaki wyda o moim talencie, uważać nie tyle wykonanie, ile chęć dopełnienia jéj rozkazu. Wybrałem jakąś sztukę, siadłem przy klawikordzie, ona siadła przy mnie żeby kartki od nót przewracać. Zacząłem dobywać tony, Nizyda drobną swoją stopkę położyła na mojéj nodze, i ciągle nią takt wybijała, często jéj kolano dotykało się mojego, prawdziwie zdawało się, że zapomniała, iż jéj mąż na nią patrzy.

XIV.

Skończyłem mój popis artystyczny; Wielkorządzca przez głośne oklaski okazał zadowolenie swoje, bo chociaż nie miał wyobrażenia o muzyce, wmówił był sobie, że jest wielkim znawcą. Jego żona oświadczając mi swoją wdzięczność, wyciągnęła do mnie swoją rączkę, ja ją całując, uczułem jéj ściśnienie, które przebiegło po wszystkich moich żyłach. Tego dnia nie puścili mię od objadu, i zostałem z niemi wieczór, na którym wiele gości się zebrało. Wszystko co było znakomitego między urzędnikami i obywatelami Kisyma na nim się znajdowało, mnóstwo było dam, wszystkie gustownie ubrane, a niektóre rzadkiéj piękności. Był w tém zgromadzeniu i ten naczelnik portu, który mnie wyzuł z jajka i z ptaka. Nie poznał mię w nowéj mojéj postaci, ja też nie szukałem jego znajomości, a poźniéj opowiem jak umiałem odpłacić jego niepoczciwość. Wszystkie matadory kisymskie zabrały ze mną znajomość, gdyż zauważyły, że gospodarstwo aż do zbytku było dla mnie grzeczne. Wielkorządzca w ich przytomności zapraszając mnie do siebie na

objad jutrzejszy, dodał: „Spodziewam się, że pokąd Emir bawić będziesz w Kisymie, nasz dom będziesz uważał za swój, bo wszystko co w nim jest, jest na twoje rozkazy.“ Może nieborak sam się nie domyślał, ile było prawdy w tém co powiedział.

Pod koniec wieczora, Nizyda coś zaczęła chimerować. Kilkakrotnie ofuknęła męża, kilka rzeczy dość cierpkich powiedziała Wielkiéj Sędzinie tamecznéj, odwróciła się od żony Habudżeja kisymskiego, właśnie gdy ta do niéj obracała mowę. Mężowi swojemu zrobiła scenę, jakoby wyprawił kuryjera do stolicy państwa, bez zapytania jéj, czy nie ma listu do posłania. Zgoła tak się rozchimerowała, że aż się nieco towarzystwo zmieszało, lubo do jéj kaprysów wszyscy mniéj więcéj byli przyzwyczajeni. Nakoniec zaczęła się skarżyć na nieznośny ból głowy, a zostawując mężowi staranie przeproszenia gości, jak najspieszniéj opuściła towarzystwo. On to wszystko składał na jéj stan zdrowia, a goście niby na tém tłómaczeniu poprzestając, jeszcze się cokolwiek zatrzymali na biesiadzie, ale jakoś po wyjściu gospodyni zabawa się nie kleiła. Niektóre damy siedziały rozdąsane, mężczyzni często dobywali zegarki, a uważałem, że Hassan Mustafa, syn Wezyra Serendybskiego, a naczelnik wojska konsystującego w Kisymie, i Bakabuba wójt Kisyma, a najbogatszy kupiec w całém państwie Serendybskiém, mający szczególne względy u Wielkorządzcy, okazywali

wielką niespokojność z powodu słabości Nizydy i czułość nie zwykłą w stanach kupieckich i żołnierskich.

Jeszcze się zgromadzenie nie było rozjechało, kiedy samopas wysunąłem się z sali i dopadłem mojéj lektyki. Kazałem siebie zanieść już nie do mojéj baby, ale do téj austeryi, zkąd byli murzyni noszący moją lektykę. Ale ledwo zostawiłem za sobą próg podwoi wielkich sień, niewolnica która przy nim czatowała, przybiegła do murzynów, i kazała im lektykę zanieść za nią. Posłuszni murzyni poszli ku prawemu skrzydłu, i zastanowili się przed temi samemi schodami, któremi z rana baba mię doprowadziła do komnaty Nizydy. Niewolnica otworzyła lektykę, ja z niéj wyszedłem, a ona dobywszy z kieszeni pieniądz złoty, oddała go murzynom, i rozkazała im, żeby nazajutrz o godzinie dziewiątéj z rana byli na pogotowiu z lektyką przy téj bramie, która prowadzi do ogrodu Wielkorządzcy; a wziąwszy mię za rękę, po schodach już znajomych zaprowadziła do komnaty Nizydy, oczekującéj mnie z gwałtowną niecierpliwością.

Zastałem ją w negliżu, ale wcale nie zaniedbanym, owszem miała na głowie czypeczek koronkowy wielce zdobiący jéj wdzięki. Nizyda z gwałtownością jaka ją cechowała, rzuciła się na moją szyję, i obdarzała mię najnamiętniejszemi wyrazami. Dopiéro..... ale już Wasza Sułtańska Mość domyślеć się możesz, co za następstwo było.

— A jakże się nie domyślam! szczęśliwym jesteś człowiekiem Nazarejczyku!

— Najjaśniejszy Panie, tak jest rzeczywiście, byłem szczęśliwym, bo posiadałem kobiétę nie powiem najpiękniejszą, ale najprzyjemniejszą na świecie.

Wkrótce wszakże przybiegła niewolnica ze światłem, oznajmując, że Wielkorządzca troskliwy o stan jéj zdrowia, przyszedł ją nawiedzić. I w saméj rzeczy on sam niebawem się pokazał, niewolnica tyle miała przytomności, że moje manatki pod łóżko wsunęła, a Nizyda, że mię ukryła pod dywanem, a potém odezwała się do męża z gniewem:

— Jak widzę Waćpanu moje życie dokucza, ledwo w śnie zaczęłam mieć jakąś ulgę w moich boleściach tak silnych, że od rozumu odchodzę, a Waćpan i tę pociechę mi odbierasz. Nie, takiego życia znieść nie mogę, Waćpan ze mną postępujesz jak z niewolnicą. Jak Bóg da, że będę zdrowszą, wyjadę do Skotostanu do mojéj rodzinnéj ziemi, bo chociaż Skotostańczykowie nie mają do Waćpana szczęścia, przynajmniéj z swojemi żonami inaczéj się obchodzą. Po co ja mojego piérwszego męża opuściłam dla Waćpana, on mię prawdziwie kochał, wrócę do niego, a wiem, że on mię przyjmie.

Wielkorządzca zbliżył się do żony prosząc o przebaczenie.

— Dobrze, dobrze, rzekła Nizyda, wszystko odpuszczam, ale idź tylko z Bogiem, i pozwól mi zasnąć.

— Dajże mi pocałunek, odpowiedział małżonek, na znak, że mi przebaczasz.

Były o to targi wcale nie miłe dla mnie, wstrzymywałem mój oddech, i drżałem jak listek, nakoniec Nizyda pozwoliła mężowi siebie pocałować, i tém nas uwolniła od jego natrętstwa.

— A wiesz-że co, przerwał Sułtan, w niepospolitych byłeś opałach, a żebyś broń Boże kichnął, to oczywiście żona by głowę miała odciętą, a ty byłbyś na palu.

— Byłem w wielkim strachu, Najjaśniejszy Panie, ale dla tego tylko, że jeszcze nie byłem obeznany z obyczajami Serendybu, gdyż w rzeczy samej, niebezpieczeństwo nie było tak wielkie jak go sobie wyobrażałem.

— Jak to nie tak wielkie? a cóż może być niebezpieczniejszego dla człowieka, jak zostać schwytanym od męża u swojéj żony?

— Wszędzie, Najjaśniejszy Panie, ale nie w Serendybie. Tam mężowie nie są wiele zazdrośniejsi od tych, których widziałem w królestwie kotów. Ubodzy się żenią, żeby mieć kogo coby im jeść gotował, opierał im bieliznę, i pilnował ich domu, i nic innego od żon nie żądają. Możni się żenią, żeby żony posagiem wyzwolić siebie od wierzycielów; a ci co między niemi jeszcze więcéj są podrujnowani, i ludzie pośredniego stanu, że zwykle szukają chleba i obuwia w służbie Kalifa, żenią się w nadziei, ażaliż gładka żona nie

pomoże im do ich zawodu. Jakoż w saméj rzeczy urzędnik, który ma żonę ładną, a w zaloty hojną, łatwo się wydrapie do korzystnych dostojeństw w Serendybie. W ciągu mojego pobytu w Serendybie, o jednym tylko słyszałem urzędniku, który miał być zazdrosnym, ale o nim mówiono jako o waryjacie.

— A to Serendybianki doskonale muszą się bawić!

— Nie wszystkie, wielka ich część na śmierć się nudzi. Panny z wyższego rodu, jeżeli nie są bardzo posażne, z trudnością w małżeństwach się sadowią, bo tam to tylko popłaca, co cudzego; niechno jaka cudzoziemka pokaże się w Serendybie, wszyscy za nią, jak ćmy za światłem, a na swoje i nie patrzą. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć tyle starych panien, ile w Serendybie, a nie rozumiem dla czego, bo Serendybianki są i nadobne, i dobrze wychowane. Możni ludzie tego narodu wolą brać żony z obcych narodów, zwłaszcza Skotostan, ojczyzna Nizydy, im dostarcza żon, ale i to prawda, że te Skotostanki są tak wabiące, tak zręczne, że trudno im się oprzeć; ile że kto się ożenił z Skotostanką, najczęściéj się wykierował na możnego w rządzie urzędnika.

— Jakąż wyznaje wiarę ten naród? zapytał Sułtan.

— Muslemińską, odpowiedział paź, tylko, że każdy jednę tylko ma żonę ślubną w domu, a nałożnice swoje utrzymują za domem, i ani pierwszą, ani drugie nie zamyka.

Najjaśniejszy Panie, co do mnie, zasnąłem snem tak twardym, że ledwo niewolnica obudzić mię mogła. Już była dziesiąta, a lektyka na mnie czekała. Nizyda nim mię powierzyła swojéj powiernicy, żeby ta mnie przeprowadziła przez ogród do mojéj lektyki, otworzyła biórko i z niego dobyła spory wór złota.

„Mój kochanku, rzekła przy pożegnaniu, tu każdego sądzą po jego powierzchowności, jeżeli dziś na objedzie i balu pokażesz się u nas w tych samych sukniach, w których wczoraj się pokazałeś, już ciebie mniéj uważać będą. Masz pieniądze, kup sobie odzież jeżeli być może jeszcze bogatszą, i w niéj dziś wystąp do nas. W swojéj austeryi wymyślaj co ci do głowy przyjdzie, krzycz dając rozkazy; jak ci przyniosą śniadanie, nie zapomniéj wszystko ganić, i tłuc talerze ze złości; bij chłopców co ci usługiwać będą, wszystko kupuj bez targu, a za nic nie płać, dopóki rachunek dobrze nie napuchnie. Wszystkie sprzęty swojego apartamentu ustawicznie z miejsca na miejsce każ przenosić. Skarż się, łaj, miotaj przekleństwa, że nikt ci dogodzić nie może, potém niby rozdobruchany rzucaj złoto tym, którycheś dopiéro wyszturchał; obaczysz jak ciebie wszyscy szanować będą, i tym sposobem utwierdzisz o sobie opinią, że jesteś możnym i znakomitym panem. Do zobaczenia kochanie moje, pamiętaj tylko, żebyś się mi nie przeniewierzył, bo jestem tak zazdrośna, iż jak spostrzegę, że będziesz mówił z przymileniem do jakiéj kobiéty, to ja jéj oczy

wydrę. Idź, a o czwartéj po południu przybywaj do nas na objad, ale w zupełnie innéj odzieży. Nie żałuj pieniędzy, twoja Nizyda dostarczy ci ich do zbytku. Pocałujże twoją kochankę."

Niewolnica przeprowadziła mię do lektyki przez ciemne szpalery ogrodu, siadłem i kazałem się zanieść do austeryi. Baba już wybrała dla mnie najpiérwszy apartament, który naturalnie zganiłem, i jeszcze drugi obok niego zająłem. Znosili mi z całéj austeryi meble, a dogodzić mi nie mogli. Krzyczałem na gospodarza, że mi stare rupiecie przynosi, i powiedziałem mu nakoniec: „Sprowadź mi najpiérwszych stolarzy i tapicerów z miasta, ażeby mi mieszkanie moje ubrali po ludzku, a swoje każ powynosić, bo one nie dla mnie. Także sprowadź mi kupca z najgustowniejszemi i najbogatszemi mezkiemi ubiorami, a tymczasem przynieść mnie śniadanie. O cenie ani mi mów, tylko wtedy jak przyjdziesz po zapłatę; tego tylko się domagam, żeby wszystko było jak najlepsze."

Cały dom biegał na moje usługi. Jakby laską czarodziejską w kilku chwilach umeblowano z przepychem i smakiem mój obszerny apartament, przyniesiono mi pakę sukien mezkich najwykwintniejszych, z pomiędzy których trzy wybrałem dla siebie, z zaleceniem, żeby nazajutrz jeszcze bogatsze mi przynieśli. Kupcy, stolarze i tapicery, spiesznie odeszli bez domagania się zapłaty, a tylko prosili, żebym się nimi posługiwał póki zabawię w Kisymie. Ale kiedy mi

przynieśli śniadanie, dopiéro jak najściśléj trzymałem się zalecenia Nizydy. Żadne rozpieszczone dziecko podobnych chimer się nie dopuściło; było kilka półmisków, wszystko było jak najlepsze, jadłem za trzech, a wszystko ganiłem. Na jednego z chłopców co mi usługiwał, rzuciłem półmisek za to, że nie dość prędko przyniosł mi lodu, a potém rzuciłem mu parę sztuk złota.

To wszystko nadzwyczajne wrażenie zrobiło w austeryi. Gospodarz skłaniał się przedemną, głową ledwo o ziemię się nie dotykając, i prosił mię, żebym mu pozwolił przedstawić swoją żonę. „Niech przyjdzie,“ odpowiedziałem, nie patrząc na niego. Przyprowadził mi kobiétę wcale przystojną, wielce się śmiejącą, żeby pokazać swoje białe zęby, a która w przytomności męża, umiała dać mi poznać dość wyraźnie, że i ona jak cały jéj dom, jest na moje zawołanie. Na to oświadczenie naturalnie pokazałem się być dość obojętnym, wszakże odprawiłem ją z pańską uprzejmością, a jéj mężowi powiedziałem groźnie, żeby natychmiast był dla mnie koń wierzchowy, a przewodnik roztropny także na koniu, którýby mię oprowadzał po mieście, gdyż rad byłem go poznać; że parę godzin przejażdżki użyję, po któréj za powrotem, żeby była dla mnie wanna. Gospodarz wyleciał jakby z procy, gospodyni weszła pod jakimś pozorem, ale rzeczywiście, żeby mnie swojemi przymileniami spodjazdować. Odeszła niczego się nie doczekawszy, a ja na prędce się prze-

brałem w ubior przydatny do jazdy, a świéżo kupiony i czekałem na wiérzchowca.

W tém przybiegł gospodarz zadyszany z doniesieniem, że Hassan Mustafa, syn Wezyra, a dowódzca wojska stojącego w Kisymie, z którym dnia wczorajszego poznałem się u Wielkorządzcy, wnioskując, że muszę lubić jeździć, ośmiela się przysłać mi swojego ulubionego bachmeta, żebym na nim spróbował przejażdżki, i z nim swojego Edykana, żeby mnie oprowadzał po mieście, i że się będzie miał za szczęśliwego, jeżeli w czémkolwiek okaże się pożytecznym dla Emira Sebach al Rahmana. Kazałem wprowadzić Edykana, oświadczyłem przed nim moją wdzięczność dla Hassana Mustafy, że z jego łaski użyję najprzyjemniejszéj dla mnie zabawy, i że jestem w pełnéj gotowości. Siedliśmy na koń. Wierzchowiec Hassana nosił wybornie, i miał poruszenia wcale nie męczące, lubo był wartki jak saletra na żarze. Edykana dał mi poznać omal że nie wszystkie ulice miasta, pokazywał mi wspaniałe gmachy wyniesione dla czci Boga, lub dla potrzeby ludzi, które oglądałem nie zsiadając. Najwięcéj mi się podobała fontanna, wprawdzie bez wody, ale nadzwyczajnie gustownego kształtu, i ogromny magazyn na zboże, któryby mógł żywić na wypadek głodu przez cały rok wszystkich mieszkańców Kisymu, gdyby był napełniony zbożem. Wprawdzie nigdy w nim nie było ani ziarnka, lubo mnóstwo urzędników rząd utrzymywał dla pilnowania tego rze-

komego zapasu, ale magazyn był tak przepyszny swojém budownictwem, że nie można było go dość podziwiać, ani się spostrzegłem jak dwie godzin upłynęło.

Wracając do austeryi, zatrzymałem się przed sklepem piérwszego jubilera w mieście, narobiłem krzyku, żeby jego właściciel wyszedł. Jak tylko się pokazał, nie zsiadając z konia, kazałem mu przynieść coś pięknego z swojego składu. Posłuszny kupiec przyniosł mi na tacy co mógł na prędce uzbierać klejnotów, i podał mi ją, ja wybrałem dość piękny szafir oprawny w agrafę przypinającą kitę do zawoju, i zapytałem o jego cenę, a jakkolwiek ta cena była przesolona, wziąłem szafir, i kazałem kupcowi przyjść do mnie nazajutrz po pieniądze. Kupiec się skłonił do ziemi, a ja tę agrafę natychmiast dałem Edykanie na pamiątkę, i jak najspieszniéj wróciłem do siebie.

Tam zastałem gotową dla mnie kąpiel, wykąpałem się, poczém wyleżałem się z godzinę, a że już pora objadowa się zbliżała, zacząłem się stroić w nowo nabyte ubranie.

W Serendybie każdy bal zaczyna się od objadu, więc przez ten cały dzień miałem bawić u Wielkorządzcy, a że Nizyda wymówiła się przedemną, iż najlepiéj lubi kolor niebieski, bo ten najlepiéj przypada do twarzy, więc jako amant sentymentalny, wystąpiłem w ulubionéj od niéj barwie. Byłem proszony na godzinę piątą, ale chcąc się okazać wysokiego rodu modnym kawalerem, na którego zawsze czekać trzeba,

dopiéro o szóstéj stanąłem na pokojach, gdzie liczne zgromadzenie osób obojga płci zastałem. Były tam wszystkie matadory Kisymu, a w tém gronie wspaniałym Nizyda ubrana jak królowa, i chociaż my się o to nie umówili, była jak ja całkiem w błękicie. Przeprosiłem Wielkorządzcę za moje opoźnienie, składając je na przejażdżkę konną, którą odbyłem z łaski znajdującego się w tém towarzystwie Hassana Mustafy, któremu podziękowałem za przyjemność jaką z jego łaski doświadczyłem, a że chcąc się odwdzięczyć za grzeczność okazaną mi przez tylu zacnych mieszkańców Kisymu, których tu widzę, a których wizytowe bilety znalazłem na moim stole po moim powrocie, mój gospodarz zajął mi wiele czasu, ułożeniem listy tych osób tak nad moją wartość dla mnie uprzejmych, oraz ich mieszkań, żebym wiedział gdzie mam ich szukać, aby im podziękować za ich pamięć o mnie. Ta wymówka została przyjętą jak zazwyczaj, a wkrótce Nizyda podała mi rękę, i wszyscy za nami poszli do sali jadalnéj.

Nizyda u stołu posadziła mię obok siebie, bo ten wielki objad i bal, który miał po nim nastąpić, był dla mnie, wszyscy téż mną jedynie zdawali się być zajęci, a ja téż prawdziwym kawalerem wielkiego świata się pokazałem. Plotłem co tylko ślina do gęby przynosiła, najbezczelniejsze kłamstwa sypałem o podróżach moich po krajach, o których tyle tylko że słyszałem, o znacznych dobrach jakie posiadałem w Be-

naresie, o moich awanturach miłosnych, o wojnach, w których się wsławiłem, a o których ledwo że słyszałem, o pojedynkach jakie odbyłem, każdą rzecz omal że nie po nazwisku mianując; zgoła byłem sprośny, opryskliwy, bezczelny, co mi nie tylko że nie zaszkodziło, ale owszem dało mi odgłos i wziętość. Mężczyzni zazdrościli i podziwiali mój rozum, kobiéty ani ubocznych spojrzeń, ani wabiących uśmiechów nie zaniedbywały, żeby moją uwagę ku sobie zwrócić, ale przeciwko temu wszystkiemu byłem uzbrojony, bo siedziałem obok Nizydy, i jedynie w jéj wdziękach byłem zatopiony. Ona zaś do tego stopnia była nieostrożną w okazywaniu mi swojego przywiązania, że nie trudno było każdemu domyśleć się jaka już była natura naszych stosunków. Jéj mąż do tego nie zdawał się przykładać uwagi, ale widoczną niespokojność okazywał Hassan Mustafa.

Siedliśmy do stołu o szóstéj, a objad się przedłużył do pół do dziewiątéj. Po jego ukończeniu, jakiś urzędnik przybył do Wielkorządzcy z papierami, co go nie spełna pół godziny oderwało od naszego towarzystwa. Damy, które były na objedzie, żeby się trochę odświeżyć do balu, udały się do apartamentów umyślnie przez Nizydę przygotowanych, gdzie wszystko znalazły co im było potrzebne, i tylko balem wszyscy byli zajęci.

Jednak udało mi się na chwilę wpaść do komnaty, gdzie Nizyda po oprowadzeniu swoich dam po

pokojach dla nich przeznaczonych, udała się, żeby poprawić włosy.

— Nieoszacowany jesteś, rzekła do mnie, Bóg ciebie tu zapędził dla mojego szczęścia; wczoraj ciebie pokochałam od piérwszego wejrzenia, a dziś już bez ciebie żyć nie mogę. Nie zatrzymuję ciebie, bo trzeba mnie być w sali dla otworzenia balu, który do białego dnia się przedłuży; czekaj na mnie w sali, a przy końcu balu wysuń się do ogrodu tobie znanego, oto masz klucz do jego fórty od ulicy, tamtędy zajdziesz zaraz po skończonym balu, i tobie znana niewolnica zaprowadzi ciebie do twojéj Nizydy, która umiera z miłości dla ciebie! Do rychłego obaczenia, o najdroższy skarbie mojego jestestwa!

XV.

Pożegnawszy nie na długo Nizydę, z pół godziny przewietrzałem się po dziedzińcu zamkowym, i napawałem wonią roślin zdobiących ten dziedziniec; poszedłem do sali, i już zastałem Nizydę otoczoną zalotnikami, i damami oczekującemi z niecierpliwością otwarcia balu. Już muzyka zabierała się dać hasło do tańca, kiedy się przybliżyłem do gospodyni. Ona mi powiedziała tyle tylko:

— Emir zapomniałeś chyba, żeś mię zamówił na piérwszy kontredans, żebyś się nie był pokazał jeszcze przez dwie minut, poszłabym do tańca z innym.

Ja ją nie zamówiłem, ale ona to wymyśliła przez sentymentalność, żeby na balu nie z innym tylko ze mną piérwszy raz tańczyć. Byłem tancerzem równie biegłym jak muzykiem, a Nizyda była zawołana tancerka. Ten kontredans dla nas obojga był tryjumfem, i szmer powszechny uwielbienia, łechtając naszą próżność, nas o tém przekonał.

Natańczywszy się do upadłego, spostrzegłem w drugim pokoju stół okryty suknem zielonóm, a

w około niego liczne towarzystwo rzucające między sobą kostki, i hojnie sypiące złoto na sukno zielone. Miałem przy sobie moje zaklęte kostki i kilka sztuk złota, które zdały mi się kipić w kieszeni. Przybliżyłem się do stołu, i poprosiłem grających, żeby i mnie pozwolili na chwilkę pobawić się z nimi. Wiadoma jest uprzejmość z jaką przyjmują do swojego grona gracze, takiego, o którym nie wątpią, że ma dobrze naładowaną kieszeń. Wcisnąłem się między nich, a sami wybrali mi miejsce na ręku tego, który rzucał, żebym nie długo czekał na koléj. Na los szczęścia rzuciłem z niechcenia parę sztuk, wygrałem, i kornet mi się dostał. Ja zręcznie kostki będące w obiegu spuściłem do kieszeni, a moje własne wydobyłem. Rzuciłem, naturalnie wygrałem. Czternaście razy przeszedłem, nic ze stawki nie zdejmując. Nie można sobie wyobrazić graczów tak namiętnych jak Serendybianie. Ogromne téż sumy w dniu tym wygrałem; wszystko złoto leżące na stole, to co każdy gracz miał przy sobie, przeniosło się do mnie, oprócz tego jeszcze więcéj pieniędzy wygrałem na słowo. Wszyscy z rozpaczą podziwiali mojemu szczęściu, a między najnieszczęśliwszymi był ten naczelnik portu, co sobie ze mną tak nie po ludzku postąpił kiedy przybyłem do Kisymu. Był z niego derus najbezczelniejszy, do tego skąpiec, nawet w grze umiał pomagać szczęściu. Siedział pod moją ręką, ale na próżno mu było walczyć przeciwko szczęściu tak oszańcowa-

nemu jakiém było moje. Co narabował przez lat kilka, w jednéj godzinie to mu wydarłem, i jeszcze mi został dłużen. To tylko mi było przykro, że tego wieczora i Wielkorządzca zgrał się do mnie.

Bal się kończył, toż samo i gra. Zdjąłem z siebie szal, który mię opasywał, do niego zgarnąłem całą gotówkę, oddałem to moim murzynom, i za nimi poszedłem do mojéj lektyki, a oni mię zanieśli do mojéj kwatery. Zostawiłem wielką część towarzystwa w rozpaczy, o co wcale nie dbałem, bo już miałem wszystkie przymioty szulerskie. Kiedy wróciłem do siebie, pieniądze zamknąłem w biórze, a co się w nim nie umieściło — w kufrze; a potém zaraz przebrałem się, i kazałem siebie zanieść przed fórtę ogrodową, którą otworzyłem danym mnie od Nizydy kluczem. Odprawiłem murzynów z zaleceniem, żeby o dziesiątéj nie daleko fórty stanęli, a wynadgradzając im znoje jakie dla moich zachceń wytrzymywać musieli, każdemu z nich dałem po kilka sztuk złota.

Za fórtką już zastałem powiernicę Nizydy, którą przywitałem całą garścią sztuk złotych; ona mię przeprowadziła tam, gdzie jéj pani z zapamiętałą niecierpliwością na mnie czekała. Miłość Nizydy zdawała się być podwojoną po tym balu. Nie mogła się ze mną rozłączyć, wymawiała mi, że nie jestem zazdrośny, że jéj pozwalam mówić z Hassan Mustafą, że cierpię by Bakabuba jéj posyłał upominki, że nie zrobiłem jéj sceny na balu gdy przyjęła szklankę sorbetu z rąk

Cyd Hameta, syna Szofeta kisymskiego, który uchodził w Kisymie za największego podbojcę serc niewieścich, nareszcie — czyby kto temu uwierzył, — wyrzucała mi, że jéj nie biję! Wiła się u nóg moich, płakała, śmiała się, czasem zdawało mi się, że oszalała! Dość, że już było po jedenastéj, kiedyśmy się rozstali.

Powróciłem do siebie, zaraz rozebrałem się i rzuciłem na sofę, bo tak czułem się zmęczony, że z trudnością na nogach utrzymać się mogłem. Przez trzy godzin spałem jak zabity, a w czasie mojego snu, jak mi słudzy powiedzieli, drzwi się nie zamykały przed niewolnikami, którzy mi ciągle przynosili pieniądze na słowo do mnie przegrane od ich panów. Po mojém przebudzeniu, więcéj godziny byłem zajęty złożeniem moich skarbów. Wszystkie szuflady mojego biórka zapełniłem złotem, i do połowy kufer zapchałem, a trzeba wiedzieć, że skoro tylko się przebudziłem, porozsyłałem moich sług, których miałem już więcéj dwudziestu, jednego, żeby mi przyprowadził tę babę piérwszą moją znajomość w Kisymie, którą uważałem być sprawczynią mojego szczęścia, innych po jubilerach mnie znanych i nie znanych, i kupcach wszelkiego rodzaju klejnotów i drogich towarów, żeby mi przynieśli co mają najdroższego, a ci, którzy ze mną mieli rachunki, żeby ich w domu nie zapomnieli, gdyż mam w zwyczaju co tydzień ułatwiać się z niemi.

Najpiérwéj pokazała się baba. Ja jéj dałem kilka garści złota, które przyjmując z zadziwieniem od wdzięczności wydatniejszém, tyle tylko powiedziała, że odtąd nie będzie miała potrzeby iść za granicę za owocami, i zaraz zniknęła. Nadeszło mnóstwo kupców, na obszernym stole mojego salonu porozkładali swoje klejnoty i bogate wyroby, nawet na sofach i na dywanach tyle tego było, dość, że u mnie zrobił się istny jarmark. Miałem zamiar nabyć na własność dom, żeby go zupełnie wedle mojego upodobania urządzić i ubrać, co mnie nie trudno było wykonać, mając w gotowiźnie krocie, a w kostkach źródło niewyczerpane bogactw. Kupiłem wiele materyj najdroższych sztukami dla przyszłego mojego domu, a z klejnotów kitę brylantową bardzo wysokiéj ceny do mojego zawoju, gindżał z rękojeścią złotą, nasadzoną brylantami i szafirami ceny mało co niższéj, i wiele innych drobniejszych drogocenności, a że byłem człowiekiem honorowym, leżały na mojém sumieniu te mniéj więcéj tysiąc sztuk złota, któremi Nizyda była mnie obdarzyła. Wybrałem więc dla niéj zupełny ubior na głowę, szyję i uszy z brylantów i rubinów, o kilka razy przewyższające w wartości to, co byłem otrzymał z jéj łaski. I tu postąpiłem wedle wszelkich prawideł honoru. . .

Prawda, że ogromne sumy powygrywałem na pewno, bo jakiż lubownik gier nie korzysta z głupstwa swoich przeciwników? Ale z niczyjego daru nie

chciałem korzystać. Owszem sam lubiłem rozsypywać dary, ubogim i żebrakom garściami rozsypywałem złoto, ile że mię to nic nie kosztowało, a wszystko co kupiłem, gotówką opłaciłem, wraz z dawniejszemi rachunkami, nawet gospodarzowi austeryi w dniu tym uiściłem się z wszelkiéj należności.

Byłem najszczęśliwszym z ludzi. Posiadałem kochankę która tam była najpiérwszą osobą, a mnie kochała do szaleństwa, do tego była pełna wdzięków i dowcipu. Jéj mąż piastujący najwyższą władzę miejscową, żyć nie mógł bezemnie. Codziennie wygrywałem kwoty ogromne, przewyższające wszelkie wymysły mojego marnotrawstwa. Zgoła niczego nie miałem do żądania, bo nawet wszelkie zachciewy władzy miałem zaspokojone. Co tylko zażądałem od Wielkorządzcy, natychmiast i otrzymywałem. Rozkaz Kalifa nie z większą skwapliwością był wykonany, jak lada moje żądanie, a ta wygórowana łaska Wielkorządzcy dla mnie nastąpiła z następnego powodu. On kilkakrotnie próbował grać ze mną w kostki, i zawsze się zgrał do suchéj nitki, aż nakoniec i do mnie przystąpił skrupuł, że jeszcze i jego niszczę na majątku. Powiedziałem mu razu jednego: niech Pan nie puszcza się przeciwko mnie w grę, bo moje szczęście jest nieprzełomne. Wolisz Pan odtąd być ze mną w spółce, ja Pana do czwartéj części wszelkiéj mojéj wygranéj przypuszczam, zaręczam że lepiéj na tém wyjdziesz. Wielkorządzca na to przystał i nie miał powodu tego

żałować. Gra nieustanna była w jego domu. Nikt o naszéj umowie nie wiedział, a tymczasem tak znaczne kwoty mu się dostały, że wszystkie swoje długi opłacił, nietylko bez umiarkowania swoich wydatków, ale owszem żyjąc jeszcze wystawniéj niż wprzódy. Byłem więc dla niego opatrznością, i lubo mógł się domyślać o moich związkach z jego żoną, bo ta nie wiele sobie zadawała pracy by je pokrywać, jakkolwiek był do niéj przywiązany, nadto dobrze mu się z tém działo żeby nie miał być wyrozumiałym.

Naczelnik portu, który już trochę był odemnie ukarany za swoje obejście się ze mną, ciągle chcąc się odegrać, co raz głębiéj wpadał w przepaść. Przegrał do mnie nakoniec wszystko co posiadał; kupiłem od niego kamienicę, jaką dla siebie tylko co był wystawił w mieście, innemu sprzedał willę jaką posiadał za miastem; srebra, bielizna stołowa, kilka zegarów od niego do mnie się przeniosły; dzięki moim kostkom, zgoła nic mu nie pozostało, tylko korzystna posada, a jeszcze wszystkich swoich długów nie opłacił. Nie było konceptu którego nie ruszył na odwetowanie swojéj przegranéj. Raz u Wielkorządzcy podrzucił mi fałszywe kostki, które na słabe numera jedynie padały. Ja właśnie znaczną kwotę wystawiłem, i wziąłem się do rzucania. „Idzie!“ krzyknął stary filut pewny swojego, bo nie wiedział że ja zręcznie jego kostki spuściłem do kieszeni, a swoje włożyłem w kornet. Rzu-

cam kostki i wygrywam. Nie mógł się wstrzymać i krzyknął: „A to prawdziwy czarnoksiężnik!“

Razu jednego taką na mnie zrobił zasadzkę. Zaprosił mnie do siebie na objad, żeby wciągnąć do gry. Jeżeliby mu się udało mnie zgrać, jego byłby oczywisty zysk, a jeżelibym ja wygrał, toby mnie zgubił, bo miał napiętego urzędnika skarbu Kalifa, któryby wyznał, że przegrał do mnie skarbowe pieniądze, w kwocie naturalnie o kilka razy przewyższającéj moją rzeczywistą wygraną, żeby nastraszywszy mnie sprawą kryminalną z Fiskusem, mógł mnie obedrzeć porządnie. Ale i to mu się nie udało. Przyjąłem zaprosiny, za stołem jadłem za trzech, a po objedzie grać nie chciałem, gdyż postanowiłem, odkąd zawiązałem spółkę z Wielkorządzcą, nie grać tylko w jego domu, ażeby moja wygrana, któréj czwarta część była jego udziałem, była mu zawsze wiadoma. Gospodarz po bezskutecznych naleganiach zapytał mnie: „I dla czego Emir grać niechcesz?“ Ja mając zanadto wiele pieniędzy, żebym sobie zadawał pracę być grzecznym, odpowiedziałem sucho: Bo niechcę. Widziałem rozpacz na jego obliczach, ale z tego mi była pociecha, bo moje zmysłowe życie wszelką czułość wygnało było z mojego serca.

Innego skuteczniejszego środka użył stary łotr, już nie dla odwetowania swoich strat, ale przynajmniéj dla pomszczenia się nademną. Doniósł urzędownie Wezyrowi, że w Kisymie bawi jakiś cudzoziemiec,

mianujący siebie Emir Szach al Rahman z Benaresu, że ten rzekomy czy rzeczywisty Emir wiele pieniędzy rozrzuca na ubogi naród, że tronuje w domu Wielkorządzcy, który tak z nim postępuje, jak gdyby zostawał pod jego zwierzchnością, zgoła, że jest podejrzaną i wielce niebezpieczną figurą. Dowiedziałem się poźniéj, że gdy mu było wiadomo, iż Hassan Mustafa ciągle zakochany w Nizydzie, cierpi z mojego powodu wszystkie katusze zazdrości, nabechtał mu bez końca o moich stosunkach z Nizydą, a nakoniec go namówił, że napisał do ojca list w tymże samym duchu, co i jego oskarżenie. I kiedy oddawałem się zabawom i rozkoszom, anim się domyślał jaka straszna burza wisiała nademną.

Miłe to jest położenie mieć możnego a gorliwego przyjaciela w mężu swojéj kochanki, i doświadczałem tego szczęścia do woli. Jednak te moje stosunki z Nizydą wątlić się zaczęły. Nie przestawała ona wprawdzie okazywać a nawet dowodzić swojego przywiązania, ale mógłem poznać, że już nie byłem dla niéj tym co wprzódy. Kiedy jéj oddałem ten bogaty ubior, którym się chciałem odwdzięczyć za jéj dary, upominek prawdziwie królewski, przyjęła go dość obojętnie i nie widziałem w niéj téj radości, jaką zwykle sprawuje na kobiécie dar bogaty, mogący ozdobić jéj wdzięki. Powtarzałem moje upominki, ale postrzegłem, że w miarę tych częstych dowodów mojéj wspaniałości, jéj uczucia dla mnie stygły. Poznałem ale za

poźno, że z podobną kobiétą, to być inaczéj nie mogło.

Nizyda miała serce kochające, dla niéj życie bez miłości nie było życiem, ale nie mogła przypuścić, żeby w miłości niepodległość mogła istnieć z obu stron; w jéj wyobrażeniach poświęcenie z jednéj dla drugiéj strony musiało istnieć koniecznie bez przeciwwagi; inaczéj prawdziwego przywiązania nie pojmowała. I tak była powolną dla swojego męża, jako dla głowy rodziny, dla dozgonnego przyjaciela, i przez to przywiązanie małżeńskie dobrze czy źle zrozumiane, niemniéj była powolną dla tych, od których los tego męża zależał. Nie taiła się z tém, że ile razy pojedzie do stolicy Serendybu, tam nie okazuje siebie srogą dla Teftedara państwa, bo tém jedynie zachowuje mężowi wysokie a hojnie uposażone dostojeństwo, któreby bez tego niezawodnie utracił. Wszystkim było wiadomo, że Teftedar był nieprzyjacielem Wielkorządzcy, a że Nizyda zdołała nietylko go złagodzić, ale nawet przerobiła na największego protektora jéj męża. Tu sumienie niczego jéj nie wyrzucało. Ani szukała, ani by znaleźć mogła z Teftedarem osobistéj przyjemności; poświęcała się jedynie dla losu męża i dzieci. Była to ciężka ofiara z jéj strony. Lubo Hassan Mustafa był dość gładkim młodzieńcem, Nizyda czuła od niego wstręt nieprzezwyciężony, a jednak z nim romansowała na prawdę, bo jakże bez narażenia męża stanąć jéj okuniem synowi Wezyra, od którego pierwszowzglę-

dnie los jéj męża zależał. Jeżeli nie zawsze była srogą dla Bakabuby, tu jeszcze mniéj można by ją obwiniać o uległość namiętnościom. Bakabuba był istnym potworem, i nikt ją nie mógł posądzać o podobne skażenie smoka. Ale ten potwor był najbogatszym człowiekiem w całym Serendybie. Kochał się w niéj namiętnie, i za okazanie z jéj strony lada dowodu wzajemności, swoje skarby jéj otwierał, a ona z nich do woli czerpała. Bo Bakabuba, któryby dla rodzonego brata pięć srebrników nie wyłożył, choćby dla wyzwolenia go od śmierci, na zawołanie Nizydy krocie rzucał, a jeżeli Nizyda wywdzięczała się jemu za takie ofiary, myślał że darmo był szczęśliwym. Nie łatwo wyobrazić sobie, ile ten szaleniec na nią stracił. Ale to było z jéj strony największe poświęcenie dla męża. Jego marnotrawstwo, chęć wystawy, zbytki wszelkiego rodzaju, które się stały dla niego niezbędną potrzebą, były tak wielkie, że gdyby nie pomoc Bakabuby, nie byłoby sposobu utrzymać domu na tonie raz zaprowadzonym, a Wielkorządzca tego upadku by nie przeżył. Była więc, jakem powiedział, nowa a najtrudniejsza ofiara dla męża w tém, iż znosiła czasem pieszczoty ohydnéj i obrzydliwéj istoty, ażeby mężowi nawet na dziwaczne jego wymysły nie brakowało funduszu. A jeżeli spowodowana jedynie życzliwością dla męża, szafowała swojemi wdziękami bez upodobania, czyż godziło by się jéj sprawiedliwie wyrzucać, że kiedy niekiedy jakiś uczyniła wybór dla własnéj

przyjemności, i czy sumiennie jéj mąż korzystając ciągle z tylu jéj ofiar, mógłby jéj tę przyjemność pozazdrościć?

— A czy wiész Wezyrze, odezwał się Sułtan, że ten Nazarejczyk klina mi w głowę zabił. Jak tu powiedzieć, czy ten Wielkorządzca miał prawo gniewać się na Nizydę czy nie? Bo o tém można wyrokować i siak i tak; jakże ty o tém byś stanowił, Wezyrze?

— Jak widzę, Najjaśniejszy Pan najpodlejszego swojego niewolnika chcesz próbować.

— Nie, nie, Wezyrze, chcę wiedzieć jakie o tém twoje zdanie? i jak uważasz Nizydę i jéj męża?

— O Nizydzie trzymam, że była z niéj niecnota, i żeby jéj mąż był prawym Muzułmaninem, toby jéj głowę uciął.

— Ba! a z czegóż potém dom utrzymać? A cóż złego żona mu zrobiła w tém, iż mu wyjednała i zachowała protektorów? Żeby Nizyda była nieposłuszną Teftedarowi lub synowi Wezyra, to mążby miejsce swoje utracił. Jużci muszę być Muzułmanem prawszym od was wszystkich, kiedy mi wielki Allah powierzył władzę nad wami, a powiem wam otwarcie, że mam tego Wielkorządzcę za bardzo mądrego człowieka, i żeby był moim poddanym, możebym go prędzéj zrobił Wezyrem niż ciebie.

— I w czémże tak wielka mądrość jego?

— W czém? ot, tego nie rozumiesz. Czy on

się domyślał spraw żony, czy nie chciał się domyślać, siedział cicho, jakby nie wiedział o nich, a z tém w domu mu szło jak z kłębka. Drugi cieszy się wiernością żony, chociaż mu z jéj wierności nic nie przybywa, a często na rachunek téj wierności jeszcze mu głowę suszy. A i tu nasuwa się pytanie, czy ta wierność jest istotna, bo zwykłe u ludzi twierdzi się co nie jest, a nie to, co jest. Alboż to żony nie umieją oszukiwać mężów? Przynajmniéj że Wielkorządzca miał ze swojéj oberchapki, a najwięcéj mi się podobało, że ten ohydny i skąpy kupiec opędzał wydatki jego domu; dość że rozumiem co mówię i co mówią inni. Niewolniku, twoja Nizyda jest nieoszacowana, winszuję tobie szczęścia. Teftedar odliczy tobie jutro kwotę większą niż zwykłe. Na dziś koniec, ale jutro opowiadać mi będziesz dalszy ciąg twojego życia; wielką ciekawość we mnie pobudziłeś, czy się udało twojemu zyzookiemu kurtę tobie wykroić; ale nie myślę, bo chociażeś dużo nabroił, musiałeś znaleść łaskę u Najwyższego, za to żeś zniszczył urzędnika podłego. Dobra noc niewolnicy!

XVI.

Nizyda jak była wierną w poświęceniu się swojém dla męża, tak też od dawna była się przyzwyczaiła jeden przynajmniéj wybór zrobić dla swojéj własnéj pociechy, a zawsze go wybierała w takiém położeniu, żeby nietylko z jéj miłości czerpał roskosz, ale opatrzenie wszelkich potrzeb począwszy od strawy i obuwia znajdywał. Największa dla niéj pociecha była wzbogacać tego, którego kochała, łupami zdobytemi na tych, których musiała kochać. Miałem kilku przed sobą szczęśliwych i uszczęśliwionych jéj miłością. I tak: był jeden kupczyk, który, że umiał jéj się podobać, został bogatym, a nawet nie nizkim urzędnikiem w skarbie publicznym; po nim był chudy literat, z takich co to wiérsze do cukierków wymyślają za filiżankę kawy, nim postąpią na nauczycieli domowych. Był głupim, co bywa między literatami, ale co między nimi jest rzadkością, był uderzającéj piękności; Nizyda mu wyswatała jednę z najbogatszych panien Kisymu, i został bogatym i szczęśliwym. Najdłużéj był u niéj w łaskach jeden derwisz, którego wykie-

rowała swojemi zabiegami na Imana piérwszego meczetu kisymskiego; był to piérwszy przykład tak młodego Imana. Nawet po jego wyniesieniu, jeszcze czas jakiś ich związki się przedłużyły. Ostatni z kolei przedemną, lecz najkrócéj, był aktor, który się popisywał na teatrze kisymskim. Często się napijał, i raz będąc pijanym, na publicznym spacerze ośmielił się jéj naprzykrzać swojemi poufałościami, że aż zwierzchnik porządku kazał go wyprowadzić i zamknąć. Wszakże i ten źle nie wyszedł na chwilowéj życzliwości Nizydy, bo po dwudniowym areszcie został uwolnionym, i opuścił Kisym opatrzony znaczną kwotą pieniężną od swojéj dobrodziejki.

Otóż, Najjaśniejszy Panie, pokąd widziała mnie ubogim, że tylko z jéj łaski utrzymywać się mogłem przyzwoicie, póty jéj serce posiadałem w pełności. Ona usiłowała mnie wzbogacić, uszczęśliwić z każdego względu, jako takiego, co bez niéj obejść się nie może. Ale jak tylko zostałem raptownie bogatym, jak zacząłem żyć hucznie ze swego, jakem przyszedł do tego, że miałem tłumy niewolników, kamienice, domy wiejskie, że bez liku w prawo i lewo rzucałem pieniądze jak plewy, a jéj powtarzałem prezenta prawdziwie monarchiczne, zaraz ucierpiałem w mojém położeniu jako kochanek. Kochanka podobnego sposobu myślenia czuła się być upokorzoną, że jéj nie potrzebuję. W jéj mniemaniu stałem się podobnym do tych, z którymi była w ścisłych stosunkach, ale bez przy-

zwolenia serca, a jedynie tylko dla jakichś widoków, a to podobieństwo nie było dla mnie korzystne.

Często mi mawiała, kiedyśmy byli z sobą sam na sam: Ty jesteś nadto bogatym dla mnie, teraz przestałam być dla ciebie niezbędną. — Czasem w mojéj przytomności rozkładała na stole wszystkie moje drogocenne upominki, i bywało z gorzkim uśmiechem odzywała się: Nie mam prawa być o ciebie zazdrośną, tyś mnie tak obdarzył, że mógłbyś mię uważać za kobiétę będącą na utrzymaniu. — Często podobnych wymówek doświadczałem; nasze sam na sam coraz rzadszemi się stały, tysiąc było przyczyn, zawsze słusznych, dla których i tydzień i więcéj nie mogła mię przyjąć u siebie. Widywałem ją zawsze poufale w jéj salonie, moje stosunki z jéj mężem otwierały przedemną wszystkie podwoje. Często po tych kwasach wpadałem do jéj gabinetu, następywała zgoda; wszakże aż nadto poznawałem, że moje stosunki z Nizydą tylko na jednym włosu wisiały.

Nie ma przykrzejszego położenia, jak dwóch kochanków, z których zapał miłości się ulotnił, a nie może być zastąpiony przez szacunek, zwłaszcza kiedy strona więcéj ostygła, uczuciem delikatności powodowana, nie śmie przed drugą wyjawić chęci, iż pragnie z nią zerwać, a tylko ku temu przykłada usilność, żeby się sama tego domyśliła. Łatwo jest kłócić się, gniewać, nakoniec zerwać, kiedy strona przeciwna obrażając, dała do gniewu powód, ale bez żadnéj wi-

docznéj przyczyny, raptownie zrywać ściśle związki, jest za ciężko dla serca kobiéty. A jednak niestała kobiéta, sobie i temu co go przestała kochać, wiele przykrościby oszczędziła, żeby się pokazała względem niego szczérą, żeby do niego wręcz przemówiła w ten sposób:

Ty jesteś najgodniejszym z ludzi, zasługujesz na stateczną miłość moją. Ty wiész że ciebie ubóstwiałam, i teraz radabym ciebie kochać po dawnemu, boś wart tego; ale napróżno się męczę nad tém, już tego dokazać nie mogę, bo uczucia nie są mi podwładne. Zachowajmy wszelką życzliwość ku sobie, a niech każdy z swojéj strony szuka szczęścia, bo z sobą już go nie znajdziemy.

Ale przez jakąś delikatność wolała ciągle mnie obrażać ubocznie, niż raz powiedzieć prawdę przykrą, któraby mnie wszakże uspokoiła, tém samém iżby mi odjęła wszelką nadzieję. I tak spostrzegłem że Nizyda, która zdawała się być w obojętności z Hassan Mustafą, była z nim poufalszą niż kiedykolwiek, że często z sobą szeptali, że kiedy do nich się przybliżałem, dość wyraźnie dawali mi do poznania, bez omijania prawideł grzeczności, że mnie znajdują natrętnym, i tysiące podobnych ukłuć; a jednak namęczywszy mnie dość długo, nakoniec Nizyda została ze mną otwartą.

Właśnie przybyła do Kisymu ze stolicy kompania sztukmistrzów obojga płci, skaczących na linie. Jeden zwłaszcza między niemi celował i nadobnością rysów,

i sprężystością muszkułów. Miałem łożę na wszystkie te widowiska zgodzoną, z któréj na te igrzyska patrzałem. Zauważyłem, że w loży Wielkorządzcy Nizyda, która siedziała między swoim mężem a Hassan Mustafą, z natężoną uwagą wpatrywała się w skoki tego sztukmistrza, o którym wspomniałem że między nimi celował. Poszedłem do ich loży i zacząłem jéj opowiadać coś, jak mi się zdawało, bardzo dowcipnego o tém widowisku, ale spostrzegłem, że Nizyda mi odpowiadając, usiłowała zamaskować częste ziewanie. Tak uczułem się upokorzonym, iż zdawało mi się że siedzę na szpilkach. Wyszedłem; przez jakąś pikę, w obliczu całéj publiczności bezczelnie zacząłem się zalecać jednéj z aktorek dość miernéj urody. Blizko nas siedziała jéj matka rzeczywista czy przybrana; z nią więc zawiązałem umowę, i z jakąś przesadą rzuciłem jéj kieskę z złotem, ale tak żeby wszyscy to mogli widzieć. Chciałem wzbudzić zazdrość Nizydy, ale na próżno, ona w takiém była zachwyceniu patrząc na kuglarza, który właśnie w tenczas skakał na linie, że na nic innego nie patrzała. Zgryziony, zirytowany, upokorzony opuściłem teatr, i na próżno .usiłowałem siebie rozerwać.

Poszedłem do ogrodu publicznego, tam wszystkie kobiéty wydały mi się szpetne a mężczyzni nudni. Nie zagrzałem kąta i w ogrodzie; udałem się do rajtszuli, gdzie dla zabicia czasu rzucałem o zakład dzirydę; kilkaset sztuk złota przegrałem i na śmierć się unu-

dziłem. W największém roztargnieniu kilka wizyt oddałem, na których tak się popisałem, że kogo innego ogłoszonoby szaleńcem; mnie wszystko uchodziło, bo czegóż nie może pozwolić sobie ten, o którym wiedzą że ma kieszeń obładowaną! Nakoniec zaprosiłem do siebie na wieczerzę całą kompanią tych skaczących aktorów obojéj płci, i kilku paniczów rozpustnych, którzy się pysznili moją przyjaźnią, jakby wielkim zaszczytem, a na wicegospodarza uprosiłem Edykana Hassan Mustafy, tego samego co nazajutrz po mojém przybyciu do Kisymu oprowadzał mnie po mieście. Wieczerza była suta, nie żałowałem trunków. Oddaliśmy się jedzeniu i piciu, a kiedy mi dobrze zaszumiało w głowie, przyszło mi do myśli nawiedzić Nizydę.

Przeprosiłem moich gości, że na chwilę muszę ich opuścić, ale że Edykana zastąpi moje miejsce aż do mojego powrotu, który nastąpi przed upłynieniem godziny, i tém się zatrudni żeby nic nie brakowało ich zabawom. Kazałem siebie zawieść przed fórtę ogrodu Wielkorządzcy. Tam przybywszy, usiłowałem danym mi od Nizydy kluczem otworzyć fórtę; nie było sposobu otworzyć, kręciłem kluczem, miotałem przekleństwa, trząsłem kratą, narobiłem tyle hałasu, że ledwobym umarłego nie obudził; drzwi jak były tak były zamknięte. Nakoniec na mój hałas pokazał się za kratą ogrodniczek mi znajomy. Zaraz mnie poznał i zapytał:

— Czego Pan stukasz?

— Fórty otworzyć nie mogę, chociaż mam klucz do niéj.

— Życzę Panu udać się do spoczynku, bo żebyś Pan i całą dobę kręcił swoim kluczem, zamku nie otworzysz; dnia wczorajszego na rozkaz pani, ten zamek odmienionym został.

Odszedłem, wściekając się ze złości, i spiesznie wróciłem do moich biesiadników. Ci w mojéj niebytności czasu nie tracili, bo zastałem ich bez przytomności. Dopiéro nazajutrz byli w stanie wrócić do siebie.

Już tedy przekonać się mogłem, że między Nizydą a mną wszystko było zerwane. Byłem w rozpaczy, nie żebym był w niéj zakochany, bo nadto byłem rozpustny, żebym mógł prawdziwie kochać, ale czułem się być srodze dotkniętym w mojéj miłości własnéj. Przemyśliwałem jakby się na niéj zemścić. Tego dnia jak zwykle poszedłem na wieczór do Wielkorządzcy. Widziałem Nizydę, ona wedle swego zwyczaju była wielomowna, dowcipna i wesoła. Próbowałem mieć z nią explikacyją, ale ile razy do tego się zabierałem, ona rozmowę urywała dowcipném szyderstwem, i zawsze z drogi zbijała. Oddaliłem się od niéj rozgniewany.

Gra zwykła się otworzyła. Było tam dwóch panów świéżo przybyłych z stolicy Serendybu, bardzo bogatych a namiętnych graczów w kostki. Wielko-

rządzca na mnie rachował, że część ich łupów jemu się dostanie; gra podczas mojéj niebytności się zaczęła. Wielkorządzca puścił się z nimi w grę i zgrał się porządnie. Nalegał na mnie żebym się zbliżył do stolika, ale ja grać nie chciałem, i wszelkie usilności gospodarza, bym odstąpił od mojego przedsięwzięcia były daremne. Po krótkiéj przerwie odprowadził mnie do okna i znowu zaczął na mnie nalegać żebym grał, choćby tylko dla wyrejterowania przyjaciela. Na to powiedziałem, że będąc w smutku, nie grałbym z dobrym duchem, z wolną myślą i niezawodniebym przegrał.

— I cóż cię mogło zmartwić, Emirze? zapytał.

Mnie wzięła pusta myśl skarżyć się mężowi na żonę, żeby on nas pogodził.

— Nizyda, rzekłem do niego, zupełnie dla mnie się odmieniła, nie wiem z jakiego powodu straciłem u niéj łaskę, i to jest przyczyną, że odtąd kostek się nie dotknę, bo czuję że moje szczęście już mnie opuściło.

Uważałem jak na te słowa się zmieszał, oddalił się zamyślony i zasmucony. Jakaś walka toczyła się w jego duszy. Nakoniec wziął Nizydę na stronę i usiadł koło niéj.

Zaczęli z sobą mówić, zauważyłem że ich rozmowa była żwawa. Nizyda zdawała się opiérać jego żądaniu, on co raz był natrętniejszym. Nakoniec można było poznać, że Nizyda mięknęła w oporze, bo mąż na jéj ręku pocałunek położył. Poczém z obli-

czem uradowaném wstał, przybliżył się do mnie, i rzekł:

— Emirze, rzucaj kostki śmiało. Nizyda mi się przyznała, że czuje, iż przeciwko tobie przewiniła, i oświadcza, że za swoją winę gotowa ci zadość uczynić. — Zrobiłem sobie zabawkę przyprowadzeniem tego nikczemnika do ostatecznych granic podłości, i powiedziałem mu dość sucho:

— Tak to mówisz dla mojego pocieszenia.

— Nie wierzysz? a więc ona sama tobie to powtórzy.

W saméj rzeczy poleciał do żony, i przyprowadził ją do mnie. Ona z wdzięcznym uśmiechem podała mi rękę, i powtórzyła omal że nie co dosłownie, co mi dopiéro był powiedział jéj mąż, który przy nas wygrywał dość nędzną rolę. Powiedziałem jéj, że nie tu miejsce się godzić, że muszę mieć z nią sam na sam explikacyją jak goście się rozejdą, a dopiéro po téj poznam, czy taką jest dla mnie jaką była. Nizyda i na to przystała, a jéj mąż szczerze mnie dopomagał. Uważałem, że trząsł się w ciągu téj naszéj rozmowy, któréj był świadkiem — ktoby myślał że z zazdrości, bynajmniéj, ale jedynie z obawy, żeby gracze się nie rozeszli. A dłużéj nie mogąc wytrzymać, rzekł do mnie niecierpliwie:

— Widzisz Emirze, że nie masz czego wątpić o swojém szczęściu w grze, bo moja żona jest zawsze twoją dobrą przyjaciółką. Resztę opowiécie sobie po

skończonym wieczorze, a teraz idź ukarać tych paniczów co dopiéro mię rozciągnęli.

Wziął mię za rękę, i zaprowadził do drugiego pokoju, gdzie stał stół okolony graczami.

W tym salonie nic innego słychać nie było, tylko stukanie kostek i wyrazy: „idzie", „va bank", a na wtór przekleństwa przegrywających. Gracze mnie zaprosili, ja się wmieszałem do nich. Z początku grałem na szczęście, ale nie daleko zajdzie taki, który mu nie dopomaga. Jak przyszła na mnie koléj rzucać, wedle mojego zwyczaju wziąłem się do moich kostek, i wystawiłem tuzin sztuk złota. Jeden z tych dwóch panów powiedział: „idzie", i przegrał; dwaj kawalerowie to jeden, to drugi dotrzymywali placu, mógłbym ich zgrać do szczętu, ale moderowałem moją grę. Poprzestałem mniéj więcéj na sumie, którą byli wygrali od Wielkorządzcy, a że jeszcze nie była opłaconą, uprosiłem tych panów, żeby mi ją przekazali, jako mającego rachunki z Wielkorządzcą, a pomimo nalegań grających, oddaliłem się od stolika.

Wielkorządzca o krok mię nie odstępował, jakeśmy się oddalili.

— Ach czemu dłużéj nie rzucałeś, rzekł do mnie, krocie bylibyśmy wygrali!

— Nie! ja na to; udało mi się odrejterować ciebie, więcéj nie mogłem zrobić za obietnicę zgody; za samą zgodę, mam nadzieję, że lepiéj pójdzie. Dopiéro moja rozmowa z Nizydą mnie przekona, czy ona

jest dla mnie jak była wprzódy, a jak będę zadowolony, a jutro będzie gra, będę się starał lepiéj się popisać, a dziś nikt mię do gry nie nakłoni. I Panu grać nie życzę, bo choć to wielcy panowie, ale umieją prowadzić grę; oprócz mnie, nikt tu im rady nie da.

Dziwne wyrażenie przybrała twarz Wielkorządzcy; zdawał się nie posiadać z radości, kilkakrotnie mię ucałował, mianując mnie jedynym swoim przyjacielem, jednak nie wytrzymał, i poszedł znowu grać do drugiego salonu.

Póki trwał wieczór, po kilkakrotnie przybliżałem się do Nizydy, znajdowałem ją dla siebie uprzejmą, ale było coś wymuszonego w téj uprzejmości, mógłem poznać, że ona już nie z serca pochodziła, bo nawet w jéj rozmowie układnéj jakaś gorycz się przebijała. Jest to wielce drażliwe położenie kobiéty szlachetnéj i wyniosłéj, kiedy jest skojarzoną z mężem, którym nie może nie pogardzać, i kiedy jéj powiedziałem z miną tryjumfatora: Przyznaj Nizydo, że we mnie masz amanta niepospolitego, kiedy męża użyłem na medyjatora, żeby nas pogodził, postrzegłem, że łza zakręciła się w jéj oku, i żebym daléj mówił do niéj w tym sposobie, niezawodnie łzami by się zalała. Pomimo mojego zepsucia byłem tyle delikatny, że odszedłem od niéj, żeby nie rozdzierać jéj serce. Była z niéj kobiéta wolna, gwałtowna w chęciach, nie umiejąca się opierać pociągom serca i zmysłów, a chociaż z położenia swojego często musiała być obłudną,

wszakże w tém sobie gwałt zadawała, bo szczérość była w jéj przyrodzeniu; nawet w jéj obłudach ta szczérość się przebijała. Na słowo przez nią dane po za krańcami interesów miłosnych, można było rachować. Była ona kobiétą rozwiozłą bez wątpienia, ale nie można było jéj odmawiać jakiego szacunku, choćby dla tego tylko, że gdyby była się urodziła mężczyzną, byłby z niéj niezawodnie mąż najuczciwszy, najznakomitszy. I tego samego wieczora, po rozejściu się gości, o tém mię przekonała.

Towarzystwo się rozeszło; Wielkorządzca, mimo siebie puściwszy moje przestrogi, grał powtórnie, i powtórnie téż się zgrał, więc do mnie jeszcze więcéj się przymilał, bo byłem jemu jeszcze potrzebniejszym. Nie pozostawało mu jak mnie się zasługiwać, żebym nazajutrz jego przegrane mu wynagrodził, tak, że kiedy my zostali w troje, on nam powiedział z przyjacielskim uśmiechem: „No, moi państwo, pogodźcie się szczérze, między zażyłemi przyjaciołmi powinno być wzajemne pobłażanie. Żegnam was, nie chcąc być natrętnym, — i na znak przyjaźni uchwycił moją rękę, ścisnął ją w swoich jak w kleszczach, pocałował żonę w czoło i odszedł.

Jakeśmy zostali sami, zbliżyłem się do Nizydy, lecz zadziwiło mię nie mało, że z lekka mnie odepchnęła od siebie.

— Co to jest, odezwałem się? Czy piękna Ni-

zyda nie przestaje być srogą dla swojego zasłużonego wielbiciela?

— Słuchaj, odrzekła Nizyda, jeżeli jesteś do tego stopnia nikczemnym, że możesz poprzestać na mojéj powolności, z widocznym wstrętem mojéj duszy, ja ci się opierać nie będę. Nie będziesz piérwszym, któremu dla jakichś osobistych widoków, mój mąż mię poświęcił; ale jeżeli jeszcze pozostało w tobie cokolwiek uczciwości, nie zechcesz stanąć niżéj Hassana, niżéj Bakabuby, bo tamtych nigdy nie kochałam, a więc moje stosunki z nimi mogą być nie odmienione, ale ciebie kochałam nad życie, to coś otrzymał odemnie, było darem nieograniczonéj miłości, z któréj się pyszniłam. Posiadałeś we mnie kochankę, która ciebie ubóstwiała. Teraz, kiedy utraciłeś i moją miłość, i mój szacunek, jeszcze zachowuję dla ciebie tę życzliwość, z któréj kobiécie trudno się wyzuć dla tego, bez którego żyć nie mogła. Otwarcie ci zapowiadam, że jeżeli zechcesz być natrętnym z upoważnienia coś go otrzymał od mojego podłego męża, poznasz, czém jest zemsta kobiety, obrażonéj w najdroższém dla niéj uczuciu.

— Powiédz-że okrutna Nizydo, czémże mógłem stracić prawo nawet do twojego szacunku?

— Jakże mało mnie znasz, jeżeli myślisz, że w czémkolwiek mogę być oszukaną! Miałeś niepłonne dowody mojego przywiązania. Miałam sobie za szczęście ciebie wzbogacać, tyś nie umiał poprzestać na

darach miłości; szukałeś bogactw środkami, które niczém usprawiedliwić się nie mogą, gdyż z cudzéj krzywdy wzrastają. Przypuściłeś mojego męża do udziału w twoich oszukaństwach, a ten chciałby ci się wywzajemnić. Teraz powiédz, czy mogę zachować dla ciebie jakieś uczucie przychylne?

Jakkolwiek byłem zepsuty, łez wstrzymać nie mógłem. Padłem jéj do nóg.

— Nie, nie, rzekłem, ani myślę korzystać z takiego upoważnienia. Chętniéj sto śmierci zniosę, niżbym miał ci jednę łezkę wycisnąć. Obyś mię za to obdarzyła jakąś życzliwością!

Nizyda podała mi rękę.

— Moje serce, odpowiedziała, już inny wybór zrobiło. Ofiara widoków podłych, jedynie w miłości szukam wynagrodzenia, bez niéj znieść bym nie mogła położenia, w jakiém zmuszoną jestem pozostać; ale moją przyjaźń tobie ofiaruję. Bądź pewny, że nigdy na niéj się nie zawiedziesz.

Takim sposobem natura moich stosunków z Nizydą się przekształciła. Straciłem w niéj kochankę, ale nabyłem stateczną przyjaciółkę, i na téj zamianie nie straciłem, bo i przyjaźń z kobiétą światłą i zręczną, ma wielkie powaby, a co się tyczy miłości, latałem jak motyl od jednego kwiatu pięknego, do drugiego jeszcze piękniejszego. Będąc przystojnym, śmiałym, mogącym garściami rzucać złoto, nie wiele srogich piękności spotykałem na mojéj drodze. Co

tylko było przystojnego w Kisymie, przeszło przez moje ręce.

Nieraz zabawiałem Nizydę opowiadaniem moich powodzeń, kompromitując jednę, zyskiwałem względy drugiéj. Nizyda nawzajem, nie miała dla mnie nic tajnego, i kiedy wszyscy zaczynając od jéj męża, mieli mnie za jéj amanta, już ja od dawna od niéj saméj wiedziałem, że ten skaczący na linie, tak zgrabny sztukmistrz, był moim nastepcą.

Kostki były niewyczerpaném źródłem moich przychodów, z których Wielkorządzca ciągle swój udział dostawał, zgoła, że on, Nizyda, i ja, składali trio bardzo zadowolnione z siebie. Nawet Nizyda ułatwiała mi u siebie schadzki z różnemi damami, które mię śmiało u siebie przyjmować nie mogły, a tym sposobem zostawszy konfidentką prawie wszystkich pięknych pań Kisymu, jéj położenie jako żony Wielkorządzcy, wiele na tém zyskało. Przez żony albowiem wiedziała co robią mężowie, a to mężowi jéj ułatwiało sprawowanie rządu.

XVII.

Omal że nie codzień przepędzałem wieczór u Wielkorządzcy, zawsze mnóstwo gości tam znajdowałem, i gospodarz i gospodyni umieli bawić gości, że każdy który od nich wyszedł, nie żałował swojego dnia, chyba że się zgrał w kostki. Dom ich był bardzo przyjemny, bo nie tylko że gospodyni rozlewała potoki dowcipu, ale oprócz sorbetów i innych słodyczy co je lokaje roznosili, była jeszcze po północy wieczerza wcale suta i jak najsmaczniejsza. A kiedy jaki obywatel z prowincyi przybędzie, u Wielkorządzcy obiad i wieczór, i protekcyą otrzyma. Więc dom jego był napełniony, i ciągle w nim nowe figury się jawiły.

Otóż w kilka dni potém, na wieczorze u Wielkorządzcy między temi nowemi figurami nadybałem jedną osobliwszą, która na mnie szczególne wrażenie zrobiła. Wielkorządzca nie wiele ją uważał, ale Nizyda była dla niéj nadzwyczaj jeszcze grzeczniejszą. Był to człowiek stary, suchy, wiele mówiący, a każde słowo wymawiający z przyciskiem, miał ogromne

uszy, podobne do oślich, tylko że nie były obrosłe, a te aż na ramiona jego spadały, a co mnie najwięcéj zadziwiało, że to przyrodzone zjawisko nikogo nie zastanawiało. Dopadłszy próżnego miejsca obok Nizydy, zająłem go i zapytałem ją, co to za człowiek z temi oślemi uszami.

— Jest mój ziomek, odpowiedziała Nizyda, obywatel ze Skotostanu, który kiedyś miał w swoim kraju wielkie znaczenie, jakie i teraz w części przynajmniéj zachował. Jestem dla niego uprzejmą jako i dla wszystkich moich ziomków.

— I jakimże sposobem nabył tak długich uszów? Czy to czar na niego rzucony, czy jaka szczególna niemoc?

— Jest to fenomen miejscowy, któremu wielu Skotostańczyków podlega, a ci co podobne uszy dźwigają, nie tylko że tym się nie martwią, ale owszem z tego się chlubią, bo to im daje powagę w Skotostanie. Im kto ma dłuższe uszy, tém większe u ziomków ma znaczenie, i ten gość co go tu widzisz, dla tego został przed laty wyniesiony przez nich na wysoki urząd, że jego uszy o dwa cale były dłuższe niż jego współzawodnika. Wszakże nieborak już podupadł w swoim znaczeniu, bo nie dość mieć długie uszy u nas, trzeba jeszcze ażeby były stérczące, a jak możesz uważać, one u niego opadły z wiekiem. Starość nie radość. Jednak przez wzgląd na dawne zasługi, w czasie zjazdów obywatele jego się radzą.

— I czy wszyscy mają tam podobne uszy?

— Nie wszyscy, ale wielu, zwłaszcza ludzie popularni, odznaczają się uszami swojemi. Ci co takich nie mają z przyrodzenia, sztuczne sobie przypinają na zjazdach obywatelskich, żeby uzyskać na nich jakieś wpływy, bo kto nie ma przyrodzonych, lub przynajmniéj zręcznie przyprawionych oślich uszów, niech się ani odzywa w obradach, nikt mu wierzyć nie będzie.

— Wielce jestem ciekawy poznać ten naród prowadzony przez osłosłuchów. A kobiéty jakże tam wyglądają?

— Wszak mnie widzisz, jestem próbką białéj płci tego kraju. Żart na stronę, Skotostanki są dowcipne, nadobne, starannie wychowane i mają uszka bardzo zgrabne. A muszą mieć wielki zapas rozumu, kiedy go zachowują żyjąc ciągle z mężami i braćmi podobnemi do tego pana Mumika, którego tu widzisz. Muszę cię poznać z panem Mumikiem; jak z nim pomówisz, będziesz miał wyobrażenie o jego ziomkach. Jest to poczciwy człowiek, pomimo swoich śmieszności.

To rzekłszy, porwała mnie za rękę, zawołała pana Mumika, i mnie jemu przedstawiła, jako wędrowca bogatego, z państwa Benaresu, mającego godność Emira, a szukającego w obcych krajach znajomości z ludźmi światłemi i uczonemi. Dodała, że będziemy sobie radzi jak się dobrze poznamy.

Tym sposobem zabrawszy z nim znajomość, siedliśmy obok siebie i wzięliśmy się do rozmowy. Dowiedziałem się od niego, że Skotostan jest Arcypelagiem składającym się z kilkunastu wysp blizko siebie położonych, z których najznaczniejsza nazywa się Panarią, w niéj stolica Arcypelagu Skotostańskiego i rezydencya Satrapy. Powiedział, że ród Mumików w Panaryi ma niepospolitą wziętość, a że on przewodniczy temu rodowi, który, dodał skromnie, jedynie przez przywiązanie dla niego, ma go za najrozumniejszego człowieka nietylko w Panaryi, ale nawet w całym Arcypelagu. Nauczył mnie, że Skotostan posiadał kiedyś wielkie przywileje, które w części utracił, ale zachował jeszcze największy z nich, a ten jest wybór swoich urzędników sądowych i reprezentacyjnych, przynajmniéj w wielkiéj części; że kraj ich po jego wcieleniu do państwa Serendybskiego znacznie się wzbogacił, ale że gdy popędem czasu i wzrostem oświaty, aż wielu obywatelów nawet dotykalne otrzymali oznaki wyższości swojéj nad Serendybianami, naród uczuł swoją godność, bo to jest przeciwne naturze, żeby ludzie z kolosalnemi częstokroć uszami, ulegali uszom pospolitym; lecz ta im uległość jedyną jest rzeczą, która w nim sprawuje niechęć przeciwną rządowi, a że nie umiemy taić naszych uczuć, ta nasza niechęć wzbudziła nieufność Kalifa, który nam odjął wiele przywilejów, i wprowadził do nas rząd satrapów, którzy bez przeciwwagi wszelkiego bezpra-

wia względem nas się dopuszczają, tak, że żadna nasza skarga przeciwko nadużyciom do Kalifa nie dochodzi. Mamy rozum, ale nie mamy szczęścia.

— O tym rozumie Skotostańczyków wątpić nie mogę, zwłaszcza odkąd Pana poznałem. Ale proszę mnie nauczyć, z kąd się u panów wzięli te tak piękne w swojéj wielkości uszy, bo nic podobnego w żadnym kraju nie widziałem, a przecie w moich wędrówkach po świecie nie mało narodów nawidziłem.

— I u nas tego dawniéj nie bywało. Ale odkąd my utracili naszą bezzawisłość, z jednéj strony wygórowana oświata, która się między nami rozprzestrzeniła, z drugiéj niemożność dla téj oświaty, objawić siebie w życiu polityczném, to sprawiła, iż musiało nastąpić oddziaływanie w organizmie materyalnym. Z tąd między obywatelami zaczęły się jawić te uszy, odcechujące nas od narodów potężniejszych w sile, ale niższych od nas w ukształceniu. Jakkolwiek nam tego pozazdrościli, i do góry nogami przewrócili szkoły, z kąd wychodziła młodzież z długiemi uszami, nie tracę nadziei, że i w domowém wychowaniu podobne zjawiska powtarzać się będą, bo nie łatwo cofnąć oświatę tak rozpowszechnioną, jaką się cieszymy w Skotostanie. Tuszę więc, że zdołamy przekazać naszemu potomstwu te oznaki zewnętrzne naszéj wyższości nad innemi narodami. Za dni kilkanaście następuje zjazd obywatelów Skotostanu, dla wyboru niektórych urzędników. Pan, co lubisz wędrować, powinienbyś na

ten zjazd przyjechać do Panaryi. Tam obaczysz ile tam znaczą mężowie z długiemi uszami; ich potęgę nasz rząd na próżno usiłuje zniweczyć. Honorem ręczę, że Pan zachwycać się będziesz nad naszym rozsądkiem, naszą wymową, naszą prawością.

Tu wpadłszy w entuzyazm patryotyczny, zaczął się unosić nad wielkiemi przymiotami swoich ziomków, dopóki nie przybliżył się do nas Wielkorządzca, żeby nas zaprosić do gry. Poszliśmy do drugiego salonu, pan Mumik z poważną dumą, a ja jakby odurzony tém wszystkiém, co dopiéro słyszałem.

W kilka dni potém z rana, właśnie kiedy siedziałem w kąpieli, wpadła do mnie powiernica Nizydy z tém, ażebym jak najspieszniéj stawił się przed jéj panią, i to nie tracąc czasu, gdyż ma do mnie ważny interes. Wyskoczyłem z wanny, ubrałem się z pospiechem, kazałem siebie zawieść do pałacu Wielkorządzcy, i zaraz się udałem do apartamentu Nizydy, gdyż jako powiedziałem, każdego czasu miałem do niéj przystęp wolny. Skoro wszedłem, Ach! kochany Emirze! rzekła, a raczéj krzyknęła, nieszczęście!

— Cóż takiego?

— O to, że musiemy rozstać się z sobą, może na zawsze!

— A to dla czego?

— Oto dla własnego twojego bezpieczeństwa. Miarkuj, ten potwór, tęn naczelnik portu, ten łapigrosz co ci wydarł złote jajko, a któregoś potém

ukarał, wydzierając mu w kilku dniach to, co przez kilkanaście lat służby nakradł, oskarżył ciebie przed Wielkim Wezyrem, że jesteś człowiekiem podejrzanym, że ciebie musiano wyprawić z Benaresu do Serendybu w zamiarze wielce niebezpiecznym dla Kalifa, bo rozrzucasz pieniądze ogromne na ubogich i żyjesz jak gdybyś posiadał niewyczerpane skarby, i taką wziętość uzyskałeś w Kisymie, że więcéj tam znaczysz niż sam Wezyr; do tego ten niegodziwiec dołączył oskarżenie mojego męża, żeś go tak zawojował, iż każdy kaprys twój jest dla niego prawem, zgoła, że nie on, ale ty jesteś Wielkorządzcą Kisymu, i inne podobne potwarze nietylko na mojego męża, ale i na mnie rzucone; dość, że mąż mój jest zagrożony utratą swojego miejsca. Ja dziś jeszcze wyjeżdżam do stolicy Serendybu, ażali téj burzy nie zdołam odwrócić. Ty nie tracąc czasu, wynoś się z tąd i ruszaj do Skotostanu; dam ci list do Babakana, Satrapy tamecznego, który ciągle się oświadcza ze swoją dla mnie życzliwością. Już znasz się z Mumikiem, on ciebie pozna z obywatelstwem Panaryi. Babakan jest srogim dla Skotostańczyków, ale dla cudzoziemców jest uprzejmym. Tuszę, że jak mu złożysz mój list, będziesz od niego dobrze przyjęty, jednak bądź ostrożnym, bo on jest bardzo podejrzliwym, i z tego robi sobie wyżéj zaletę. On ma od urodzenia na czole kozi róg, i może właśnie dla tego powierzyli mu zarząd kraju, gdzie często obywatele się rodzą z oślemi uszami; do

tego jest wielce wymownym, lubi sypać mowy na każdym zjeździe; a że Skotostańczykowie mają siebie także za ludzi wymownych, więc i ta zaleta jemu posłużyła. Ale jeszcze przypominam tobie, żebyś w mowie zwłaszcza był ostrożny, bo z ludźmi tak w wielomówstwie nie oględnymi jak Skotostańczykowie, bardzo łatwo być skompromitowanym. Mój mąż tak jest przestraszony, że pomimo téj wielkiéj przyjaźni jaką czuje dla ciebie, nie chce się z tobą widzieć, i zlecił mi w jego imieniu ciebie pożegnać. Masz mój list, ruszajże sobie nie tracąc czasu, żegnam cię!

Powróciłem spiesznie do siebie, a po takiéj admonicyi zaraz zająłem się moim odjazdem. Że miałem dość wiele wexlów na osoby, które do mnie poprzegrywały sumy na słowo, pobiegłem z niemi do Hassana Mustafy i powiedziałem mu, że muszę opuścić na jakiś czas Kisym, że powracam do Benaresu na Panaryą, gdzie kilka tygodni się zatrzymam, że myślę być nawet w stolicy Serendybu, i uprosiłem go, aby raczył przyjąć moje wexle, a po odzyskaniu mojéj należytości, żeby mi pieniądze odesłał do Panaryi, zostawiając mu prawo zbyć wexle, chociażby za trzecią część ich wartości. Zdałem także na niego mój dom przepysznie umeblowany, moją willę za miastem i tych moich niewolników, których z sobą nie mógłem zabrać. Hassan przez przyjaźń dla mnie, jaką mi zawsze oświadczał, podjął się tych moich interesów, ja z tych wszystkich wexlów w dobréj wierze zrobiłem na

niego cesyją, i naturalnie z tego ani szeląga nigdy nie dostałem. Pożegnaliśmy się czule, a ja po moim powrocie do siebie, nająłem kilka ekwipażów, bo wyjeżdżałem dwornie. Wyjechałem w pięć pojazdów uładowanych kosztownemi sprzętami, mnóstwem drogocennych szat i klejnotów najkosztowniejszych do portu, gdzie miałem siąść na okręt, i na nim jak najrychléj dostać się do Panaryi. Piéniędzy gotowych miałem co niemiara, i już przed nocą toczyłem się z mojemi pojazdami po wielkim gościńcu.

Przybyłem do Hadadżbeju, portu, z którego miałem popłynąć do Skotostańskiego Arcypelagu, i tyle tylko w nim zabawiłem, ile mi było potrzeba czasu do najęcia okrętu, do ładowania moich ruchomości, a tak wszystko urządziwszy, stanąłem na pokładzie, dałem znak, żeby podnieśli kotwicę, i puściliśmy się po wilgotnéj przestrzeni. Wiatr był pomyślny, wszystkie żagle rozpuścili, okręt pruł morze omal że nie tak szybko jak strzała powietrze. Po pięćdziesięcio-godzinnéj żegludze, zawinęliśmy do Panaryi.

Jak mię na ląd wyładowano z mojemi rzeczami, spostrzegłem mnóstwo murzynów snujących się w porcie, żeby znosić do miasta rzeczy przybyłych pasażerów, i tą pracą zarobić cokolwiek. Nie mniejsza była ilość ludzi płci kasztanowatéj, jeszcze nędzniéj niżeli murzyni odzianych, a wyrazu twarzy zupełnie odmiennego. Ci ofiarowali przyjezdnym wszelkiego rodzaju usługi, ale w sposobie tyle natrętnym, że trzeba było

od nich się opędzać. Nająłem kilku murzynów, żeby moim niewolnikom pomogli do zaniesienia moich pak do miasta, i wybrałem jednego kasztanowatego, aby ich zaprowadził do najobszerniejszéj jaką będzie mógł wynaleść kwatery, nie targując się o jéj cenę. Tak udałem się z moim taborem do miasta, ciągle opędzając się od innych naprzykrzonych kasztanowatych, a dopiéro w samém mieście napotykać zacząłem ludzi w wojennéj odzieży, z gindżałami za pasem, których po zuchwałéj postawie poznałem, że to musieli być obywatele zebrani na zjeździe, który właśnie wtedy się zaczynał, tém więcéj, że wielu pomiędzy nimi nosili samorodne, lub sztuczne łokciowe uszy. Przez długi czas było mi trudno znaleść kwaterę, bo miasto było pełne obywatelów, aż na szczęście natrafiłem na dworek, którego wygórowana cena od jego najęcia była wszystkich odstraszyła. Co do mnie, chętnie zapłaciłem co za niego zaceniono. Gospodarz z żoną i dziećmi, przenieśli się do dwóch bud, przy których kurty w dzień byli przywiązani, a kurtów wyrugowano do ogródka. Kazałem oczyścić kwaterę, wybrałem sobie trzy pokoje, jeden na moje łóżko, dwa drugie dla przyjmowania gości, a resztę dla moich niewolników i pak, których otworzyć nie myślałem.

Roztasowawszy przebrałem się, i z listem mojéj dobrodziejki poszedłem do Babakana, żeby mu ten list wręczyć, i przez to z nim zabrać znajomość. Przybyłem do jego pałacu, gdzie w sali audyjencyjonalnéj

kazano mi się zatrzymać. Tam zastałem mnóstwo osób z prośbami w ręku, oczekujących posłuchania u Wielkiego Satrapy. Były tam osoby obojga płci, rozmaitego ubioru, a między niemi kilku przy gindżałach, a nawet tacy, których uszy odznaczały się porządnym rozmiarem. Ci oczekując chwili, w któréj otrzymają szczęście przedstawić się Satrapie, rozmawiali poufale z jego lokajami. Jakem się późniéj o tém dowiedział, byli to urzędnicy na poprzednim zjeździe wybrani, a którzy z drganiem wszystkich nerwów oczekiwali wyborów, z chęcią, ale i z wielką niepewnością, czy obywatelstwo na nowo ich wybierze, czyli téż odrzuci. Muskali swoje uszy, żeby do nich ściągnąć uwagę, ale to było zbytecznem staraniem, gdyż te uszy były tak wielkie, że nie było sposobu ich prześlepić. Czekałem około pół godziny w sali, ciągle urzędnicy z małpiemi twarzami, to wchodzili do gabinetu Satrapy, to z niego wychodzili z ogromnemi pakami papierów, aż nakoniec wyprężony jeden jak było widać z wyższych urzędników jego boku, przybliżył się do mnie, i solennym głosem, jakby pacierz odmawiał, powiedział, że jego wysoko zacna znakomitość Wielki Satrapa, (to wymawiając skłonił się omal nie do saméj ziemi) robi mi zaszczyt, zezwalając bym miał w jego gabinecie prywatne posłuchanie, i zaprosił mię z sobą do gabinetu.

Gabinet był obszerny, i gustownie ubrany. Najpierwéj uderzała oczy wygodna sofa, na któréj w pół

leżąc, Babakan przyjmował tych, którym pozwalał przystąpić do siebie. Kiedy wszedłem, powstał na chwilę, powitał mię podaniem mi ręki, dał znak upoważniający mnie do zajęcia miejsca na stołku blisko sofy, i zaraz się powtórnie na sofie rozwalił. Jakiś czas mierzył mię okiem od stóp do głowy, nieprzerywając milczenia. Zauważyłem, że ciągle patrzał na agrafę brylantową, która przypinała kitę czaplą do mojego zawoju. Ta kosztowna kita bardzo mu się podobała; musiałem zdjąć zawój, żeby się lepiéj mógł jéj przypatrzyć, obracał ją na wszystkie strony w ciągłych wykrzyknikach zadziwienia nad tym wytworem natury i sztuki, i przybrał zaraz dla mnie oblicze jakie mógł uczynić najłagodniejsze.

Był to człowiek nie młody, ale czerstwy i wcale przystojny, pomimo srogości jaka się wyrażała w jego oczach; tylko że róg kozi co go miał w środku czoła, i kark jego prawie nieruchomy, dawało mu jakieś podobieństwo do dzikiego byka. Wręczyłem mu list Nizydy, odczytał go po cichu, i poznałem, że ten list zrobił na nim przychylne dla mnie wrażenie, bo zaraz się rozgadał. W przeciągu pół godziny znalazł dość czasu mnie oświecić o swoich bogactwach, znaczeniu u dworu, nieograniczonéj ufności jaką Kalif w nim pokłada, szczęściu jakie ma do kobiét, nawet o projektach jakie miał dla kraju, którego zarząd jego bezpośredniéj woli został powierzony. Wyliczył mi po nazwisku wszystkie Skotostanki, których łaskawe względy

umiał pozyskać. Na żadnym Skotostańczyku czci i wiary nie zostawił; powiedział że każdy z nich jeden względem drugiego jest zuchwały, ale względem niego i jego zaufanych urzędników jest podły, i że jeden drugiego przed nim tak oskarża, iż mógłby się obejść bez utrzymania szpiegów. Skończył temi słowy: Doszedłem do wielkiego dla mnie zaszczytu, o który od przybycia mojego do tego Arcypelagu zawsze się starałem, a ten jest, że wszyscy Skotostańczykowie mnie nienawidzą. Biada monarchom, kiedy zarządzcy ich prowincyj od ich poddanych są lubieni! Ja chcę żeby mnie się bali, a ciekawy jestem coby mi przybyło z miłości obywatelów!

W ciągu dyskursu swojego upoważnił mnie, żebym często u niego bywał, że zawsze mi będzie rad, i na dzień jutrzejszy zaprosił mnie na objad. Po czém zadzwonił, i urzędnikowi na służbie będącemu kazał wprowadzić osłouchych obywatelów, oczekujących posłuchania. Weszli do niego nisko się kłaniając, i trzymając oczy ku ziemi spuszczone, a dopiéro po powtórzonych naleganiach odważyli się usiąść. Ja po ich wnijściu skłoniłem się znakomitemu panu na znak pożegnania, on mi po przyjacielsku podał rękę, kilkakrotnie w swojéj ją ścisnął, i aż do drzwi mnie odprowadził, jeszcze powtórzył zaproszenie na objad, a uważałem że mojéj kity z oczów nie wypuszczał.

Wyszedłszy, poszedłem przechadzać się po mieście, ażeby się z niém obeznać. Napotykałem grupy

osłouchów, którzy na tych, co mieli tylko zwyczajne uszy, patrzali, jakby ich mieli zaledwo za Boże stworzenie, i przed nimi łeb do góry zadzierali, sypiąc dość cierpkie przymówki ale zawsze swoim, bo jeżeli się pokazał urzędnik porządkowy, ich zuchwałość znikała, a zaraz przybierali cechę uniżoności. Pochodziwszy po mieście, gdzie tylko nieznane mi figury spotykałem, a będąc na czczo, jeść mi się zachciało; a że właśnie natknąłem się na restauracyą, jak mi się wydała z powierzchowności najpiérwsza w mieście, poszedłem do niéj, i kazałem sobie podać na objad to co mają najlepszego, ale na osobnym stoliku, a miałem postać człowieka nadto bogatego, żeby moje rozkazy natychmiast nie miały być spełnione.

Mnóstwo było osób jedzących i pijących, wielu było miedzy nimi takich, co nosili przyrodzone lub sztuczne łokciowe uszy; ci pletli co im tylko ślina do gęby przyniosła, ci co byli bez tych armiralnych uszów, byli skromniejsi, małomówni, i wyglądali jakby od piérwszych zahukani. Uważałem, że oczy biesiadujących często zwracały się do mnie, a to z powodu bogatego mojego ubioru, a zwłaszcza mojéj kity. Nadeszło kilku ichmościów, których przed dwoma godzinami widziałem u Satrapy. Dowiedziałem się od gospodarza restauracyi, że jeden z nich, który mi się zdawał mieć minę tryumfatora, miał płeć koloru swojego nazwiska, bo nazywał się Cytrynką, a miał

ogromne uszy, był kandydatem na urząd Wielkiego Pasiwantucha Arcypelagu Skotostańskiego.

— Co to za urząd? zapytał Sułtan.

— Najjaśniejszy Panie, Skotostan zawiéra kilkanaście wysp, w każdéj z tych wysp obywatele wybierają jednego Pasiwantucha, a znowu wszystkie wyspy razem, nad nimi starszego Wielkiego Pasiwantucha nad całym Arcypelagiem. Ich obowiązek strzedz przywilejów nadanych Skotostańczykom przez Kalifów Serendybskich, od przywłaszczeń Satrapów i Wielkorządzców; a na wypadek nadużyć ze strony tych ostatnich: Wielki Pasiwantuch ma prawo odnieść się wprost do Kalifa.

— A wiesz Wezyrze, że taki urzędnik musi być bardzo niewygodny dla Baszów, bo jak ten coś nabroi, to zaraz się znajdzie taki co o tém oświeci Kalifa.

— Tak to jest rzeczywiście w całym Serendybie, ale nie w Arcypelagu Skotostańskim, bo w nim Wielki Pasiwantuch bynajmniéj nie stoi na zawadzie Satrapom, owszem to robi co mu ten każe, chociaż wedle prawa, nie ma mu nic do rozkazywania.

— A to dla czego?

— Oto dla tego, że Skotostańczykowie od dawna przestali wybierać na wielkich Pasiwantuchów takich co mają zręczność, stosunki w stolicy, zasługi w państwie, i tę szlachetną a nierzekomą odwagę, która nietylko daje się pogodzić z wiernością dla naj-

wyższéj władzy, ale owszem służy jéj za rękojmię. Ale dla pozyskania ich ufności, dość wyzuć siebie z wszelkiéj osobistéj powagi, z piérwszym lepszym ulicznikiem się bratać, wszelkiéj poufałości mu z sobą pozwalać, a nadewszystko mieć długie uszy. A że Cytrynka posiadał wszystkie te warunki popularności w Skotostanie, serca obywatelskie ku niemu się skłaniały. On sam i jego stronnicy głosili, że ma ściśle stosunki z Babakanem, i że od niego wszystko dla ziomków wyrobić może. Najmniejszéj wątpliwości nie było, że zostanie obranym.

Kiedy wszedł do naszéj restauracyi, gdy ujrzał za stołami siedzących wielu głosujących, a między nimi i takich co mieli wiele wpływu w obradach, z nimi serdecznie się witał, sypał im podchlebstwa dość niezgrabne, ale popłatne w Skotostanie, i zaczął się przed nimi popisywać przyjaźnią Babakana: „Dopiéro przychodzę od niego, pokoju mi nie dał, tak mnie całował z radości, że podałem siebie na kandydata, ulegając woli przyjaciół. Kilkakrotnie mi powtórzył, że takiemu Wielkiemu Pasiwantuchowi niczego odmówić nie może, i że mogę wyrobić u niego wiele dla obywatelstwa.“ Odwoływał się Cytrynka do świadectwa kilku swoich stronników, co byli temu przytomni w gabinecie Satrapy, a ci nietylko że mu świadectwa nie odmówili, ale jeszcze przydali wiele rzeczy, których skromność Cytrynki nie dozwoliła mu powiedzieć. On i mnie raczył zaszczycić powitaniem. Wszczęła się

powszechna rozmowa, wszyscy razem mówili, trudno było w tym gwarze siebie rozumieć. Zresztą kawałka sensu uchwycić nie było sposobu, bo jego reszta zatopiona była w winie. Tyle tylko mógłem się dowiedzieć, że nazajutrz z rana miały się otworzyć wybory.

Podjadłszy i nasłuchawszy się głupstw co niemiara, wyszedłem z restauracyi niemniéj znudzony jak syty, i wyszedłem ażeby jeszcze lepiéj się obeznać z miastem. Kilkadziesiąt kroków zaledwo przeszedłem, a spotkałem pana Mumika, z którym miałem zaszczyt zabrać znajomość w Kisymie na wieczorze u Wielkorządzcy. Bardzo czule się ze mną przywitał, wielce mi winszował, że dałem siebie namówić do poznania Panaryi, i to w czasie, kiedy całkowite obywatelstwo Skotostanu jest w niéj zebrane. Pan Mumik był w swoim żywiole, bo z niego był niezmordowany wyborowicz; wprawdzie jego uszy były już obwisłe, ale zawsze tak kolosalnéj miary, że jeszcze zachował był na zjazdach szczątki dawnego swojego znaczenia, i pokrzepiał go gęstemi mowami, któremi usiłował za serce chwytać obywateli, usypiając ich dźwiękiem swojéj deklamacyi.

Poznałem na wstępie, że pan Mumik był gorliwym stronnikiem pana Cytrynki. Kogo tylko spotkał dla niego obojętnego, za nim go prosił, wywyższał jego zdolności, długość jego uszów, sumienną zręczność w najzawilszych okolicznościach, i przekonywał tych

zimnych dla Cytrynki obywatelów, że gdyby nie tyle zasługi, i tyle sławy mu wyjednały rozpowszechnioną zaletę w Skotostanie, sama ta długoletnia przyjaźń, która pana Cytrynkę z nim wiąże, już by za nim przemówiła. Wtedy krasomowczą zręcznością robił zwrot do własnych zasług w obywatelstwie, do tylu urzędów które piastował, do tylu spraw jakie zagodził. Te przypomnienia tak go rozczulały, że mówiąc, obfite łzy wylewał. Przekładał obywatelom, że jeżeli nie zwiążą się ściśle dla poparcia Cytrynki, partyja przeciwna z tego będzie korzystała, i niezawodnie zostanie Wielkim Pasiwantuchem jakiś z małemi uszami, a wtedy poczciwym i światłym obywatelom zostanie wynieść się ze Skotostanu. Byłem świadkiem kilku podobnych scen, i siebie niemi nabawiłem.

Nakoniec kilkakrotnie napłakawszy się, i nagadawszy, obrócił się do mnie, i rzekł:

— Muszę też Pana zaprowadzić do wielce zacnego męża, który prawością, dowcipem i długością swoich uszów, został potężną figurą wyborową. Jest to męczennik dobréj sprawy; był on kiedyś wojskowym, ale że jego uszy prawdziwie obywatelskie, nie mogły się zmieścić w szyszaku, więc musiał opuścić zawód rycerski; wróciwszy do życia obywatelskiego, pozyskał wziętość jakiéj pancerz i miecz nigdyby mu nie dały. Nie ma nadziei otrzymać wyborowego urzędu, taki co nie ma szczęścia podobać się panu Gąsce. Co to za człowiek popularny, a jaki mądry, jak umie

kierować wyborami! słowo honoru daję, że jak go Pan poznasz, sam przyznasz, iż on zasługuje, aby mu ziomkowie kolosy wystawili na jego cześć wiekopomną! Co do mnie, należę do rodziny słynącéj światłem, a będąc jéj głową, miłuję i uprawiam nauki. Pan Gąska nie lubi książek, i nigdy niczego nie przeczytał, ale kto ma przyrodzony rozum tak silnie rozwinięty jak u niego, ten może się obejść bez książek. On jest moim ścisłym przyjacielem, i nie chwaląc się, ja go przywabiłem na stronę Cytrynki. Zapowiadam Panu, że jak go poznasz, będziesz mi potém za każdém spotkaniem dziękować, żem was zbliżył do siebie. Oto właśnie jego kwatera, wnijdźmy. Z przyczyny, że Pan jesteś cudzoziemcem, a ja przywiązanym do swojego kraju Skotostańczykiem, nie posiadam się z niecierpliwości byście się jak najprędzéj poznali, bo podróżując dla poznania krajów i ludzi, Pan będziesz opowiadał swoim ziomkom, to na co patrzałeś w obcych ziemiach. Tuszę, że jak pomówisz z panem Gąską, to opowiesz w Benaresie, że i w Skotostanie są ludzie!

XVIII.

Weszliśmy do dworku, który był własnością pana Gąski. W przedpokoju nie było nikogo, a pan Mumik mnie nauczył, że ludzie popularni w Skotostanie odrzucili obyczaj arystokracyjny, żeby lokaj meldował gospodarzowi gości którzy przychodzą go nawiedzać, gdyż dom prawdziwie obywatelski, dla wszystkich winien być otwarty, gdyż jakkolwiek ważne może być zajęcie gospodarza, nic ważniejszego być nie może, jak przyjęcie współobywatela i z nim obcowanie.

Weszliśmy więc prosto do dość obszernego pokoju, gdzieśmy zastali kilkanaście gości i samego gospodarza. Ale osobliwszy widok uderzył wzrok mój w téj sali: po pod wszystkiemi ścianami stały wanny napełnione wodą zimną, a w nich niektórzy goście zupełnie nadzy się pluskali. Na środku pokoju był stół, od każdéj jego strony stała wanna, a w niéj nagi obywatel, który rzucał na stół kostki. Gra choć jakem uważał po stawkach nie była drogą, ale bardzo animowaną, bo gracze strasznie kłócili się z sobą. I pan Gąska siedział w wannie dla przykładu, i także

rzucał kostki. Pan Mumik mnie jemu przedstawił. Był to człowiek w sile wieku, byłby wcale przystojny żeby go nie szpeciły te jego uszy, wprawdzie nie zupełnie tak wielkie jak u pana Mumika, ale nie obwisłe, a owszem stérczące. Można było poznać po oznakach życzliwości i uwielbienia jakie od swoich gości przyjmował, i podchlebstwach jakie mu sypali, że on przewodniczył silnéj partyi, i że był piérwszym między równymi.

Pan Gąska, kiedy mu zostałem przedstawiony przez pana Mumika, przyjął mnie bardzo grzecznie. Powstał w swojéj wannie, podał mi rękę uprzejmie, poczém znowu się zanurzył w wannie i mnie namawiał żebym poszedł za ich przykładem, żebym się rozebrał i wykąpał. — „Ja ceremonij nie lubię, rzekł, bo ceremonie są wymysłem arystokracyi, a ja jestem demokratą, choć mówią o mnie że jestem z rodu Emirów, ale o ten zaszczyt nie dbam. Otoż że upał wielki, obmyśliłem dla wygody tych co będąc łaskawi na mnie, mnie nawiedzają, fundować zimne wanny. Każdy co do mnie przychodzi, jeżeli wola, rozbiera się, włazi w kąpiel, a nawet jeżeli zechce, może się zgrać. Oto widzisz Pan że moi szanowni goście, kwiat obywatelstwa, pluskają się jak gęsi, bo nazywam się Gąską, a moja ulubiona potrawa, którą częstuję moich przyjaciół, jest gęś z jabłkami.“ Na te słowa śmiech zadowolenia powstał ze wszystkich wanien, jakby po najdowcipniejszym koncepcie.

— Wiwat! nasz Gąska, zaczęli krzyczeć, bo jak był odważnym w boju, tak jest dowcipnym w pokoju; kto go kocha ten poczciwy, a kto go nie kocha, niech go wszyscy djabli porwą!

— No, no, dziękuje wam, odrzekł Gąska, o waszéj dla mnie życzliwości nie wątpię; ale dajcie mi pomówić z tym zagranicznym panem. Wszakże i ja wojował i wędrował po zagranicznych ziemiach. Za piecem nie musiało się siedzieć, kiedy aż takich uszów się doczekało.

Tu znowu powstały okrzyki:

— Co to za rozum u naszego Gąski, gęba mu się nie zamknie, a zawsze coś nowego a dowcipnego ma do powiedzenia. Oto taki żeby się podjął być naszym Wielkim Pasiwantuchem, toby noga żadnego Satrapy u nas nie powstała. Ale on już wyrachował, że jego nadto się boją, żeby go mieli potwierdzić.

Jednak pomimo tego wysokiego dowcipu pana Gąski i jego uprzejmości, nie mógłem dłużéj wytrzymać. Nie dałem się namówić do zrzucenia z siebie odzieży i kompania się w tém towarzystwie, lubo do tego dał mi przykład pan Mumik, bo ten za pierwszém wezwaniem pana Gąski, wyprosił z wanny jednego gościa, i swoją osobą szanowną jego zastąpił, żeby grać w kostki z gospodarzem. Gra nie była dość pieniężna, żebym się pokusił do niéj należeć, a widząc że wszyscy są nią zajęci, wysunąłem się zręcznie na ulicę.

Nazajutrz z rana poszedłem do sali wyborowéj, gdzie już całkowite obywatelstwo Skotostańskie było zebrane i czekało na Satrapę, który miał otworzyć wybory. Snuli się obywatele z oślemi uszami, formowały się grupy z różnych stronnictw, ale już można było poznać, że partyja Cytrynki była najsilniejszą. On sam siedział zadowolony w środku tłumu otaczających go wielbicieli, a Mumik i Gąska biegali po wszystkich kątach sali, żeby obojętnych, a nawet niechętnych skłaniać na stronę Cytrynki. Ci co nie mieli oślich uszów, między sobą rozmawiali o rzeczach obcych wyborom, bo już zawczasu byli na to przygotowani, że żadnego wpływu w obradach publicznych mieć nie będą, że ich głosy na nieby się nie przydały, gdyż osłosłuchy i na tych wyborach będą przewodniczyć. Osłosłuchy pewni swojéj przewagi dokazywali, wrzeszczeli, że jeden drugiego słyszeć nie mógł w tym gwarze, a sieli pogardliwe spojrzenia na przerzadzone szeregi tych, co nie dostali od natury oślich uszów, a nadto byli dumni, żeby takowe sztuczne sobie przyprawiać dla przypodobania się drugim. Po tych gwarach, raptownie nastąpiła cichość, ale taka, że można było lot muchy usłyszeć, a ta cichość objawiła się z powodu, iż dwaj Buńczuczni się pokazali z końskiemi ogonami w prawych rękach, co zwiastowało rychłe przybycie Satrapy do sali obrad publicznych.

Wszystko się skłoniło w głębokiém milczeniu, a

tak nisko, że uszy osłosłuchów aż ziemi się dotknęły. Babakan stanął przy stole, i zabrał głos, w którym oznajmił, że otwiera wybory. Jużem powiedział, że uchodził w państwie Serendybskiém za człowieka wielce wymownego. Sam sobie to przyznawał, i ztąd żadnéj nie opuszczał okoliczności do popisywania się swojém krasomowstwem. W tym swoim głosie do obywateli, między inném powiedział.

— „Mości Panowie! Wiem, że jesteście dla mnie „niechętni, ale ja z tego drwię, bo mnie nie na to „do was posłano, żebym się wam podobał, ale żebym „was rozumu nauczył. Wy jakimi jesteście, takimi „i zostaniecie, ale wasi potomkowie błogosławić będą „moją pamięć, bo jeżeli zadaję sobie pracę wami rzą„dzić, nie mogę w tém mieć innego widoku, tylko „żeby waszych potomków uszczęśliwić, bo cóż innego „mogłoby mię skłonić do opuszczenia tak miłego to„warzystwa stolicy, żeby się nudzić między wami w Pa„naryi, gdzie nie mam z kim żyć. Jestem bogatszy, „niż którykolwiek z waszych najmożniejszych obywa„teli, żaden z was nie ma żony tak pięknéj jak moja, „ani pałacu takiego jak mój w stolicy, a to wszystko „opuściłem, żeby waszego narodu następne pokolenie „uszczęśliwić. Między wami jest wiele osłosłuchów, „ich rozum szanuję, i jestem dla nich życzliwym, do„póki będą mi posłuszni; ale zapowiadam, że jeżeli nie „będą postępywać po mojéj myśli, choć oślich uszów „wiele, a u mnie tylko jeden róg bawoli, ja tym ro-

„giem wszystkie te uszy przybiję do ściany. Widzicie, „że wam się tłómaczę ze szczerością, a wy co na to?“

Tu krzyk uwielbienia powstał z różnych stron sali, ale z grupy osłosłuchów, bo ci co mieli uszy zwyczajne, w głębokiém pozostawali milczeniu. Cytrynka zwłaszcza unosił się nad wymową Satrapy. „Czy uważasz, odzywał się do swoich stronników, jak nasz Satrapa i mądrze i miłosiernie przemówił, szkoda, że nie powtórzył tego co powiedział.“

— Nie ma co mówić, rzekł Sułtan, ta mowa wcale piękna; ale powiedz niewolniku, czy w saméj rzeczy jego żona była tak piękną, jak ją chwalił?

— Widywałem ją często, była z niéj nie zgorsza kobiéta, już nieco przestała; może kiedyś była nieszpetna, lecz wtedy była już bez zębów, i z kaprawemi oczyma, ale tam gdzie mąż włada mężami, oczywiście żona musi być najpiękniejszą z żon, oszalałby chyba taki coby śmiał to zaprzeczać. Dość, że po wysłuchaniu téj tak wymownéj admonicyi cały ten tłum poszedł w porządku do meczetu, żeby posłuchać drugiego kazania, które Iman im przeczytał, a potém wykonali uroczystą przysięgę, że żadnych intryg się nie dopuszczą; jeszcze całkiem nie wypowiedzieli przysięgi, a już potwarze rzucali na swoich nieprzyjacioł, i kłamstwa sypali na korzyść tych, co byli pozyskali ich życzliwość.

Po ich powrocie do sali obradowéj, wzięli się do wyboru Pasiwantuchów wyspowych, bo dopiéro

nazajutrz miał nastąpić wybór Wielkiego Pasiwantucha na cały Arcypelag; wszakże najmniejszéj nie było wątpliwości, że Cytrynka się utrzyma. Po wyborze Pasiwantuchów, przystąpiono do wyboru członków komisyi z każdéj wyspy po jednym, bo trzeba wiedzieć, że Kalif nadał obywatelstwu ważny przywiléj w utworzeniu komisyi do podania żądań obywateli do tronu, i różne projekta, przez które Kalif mógłby się dowiedzieć o potrzebach miejscowych swoich poddanych, ale ten tak ważny przywiléj żadnego pomyślnego skutku nie otrzymuje, bo odkąd go posiada Skotostan, te komisyje nigdy się nie zdobyły na jakiś roztropny projekt, odnoszący się do rzeczywistych potrzeb kraju, ale tylko same bzdurstwa układały, które na żadną uwagę więcéj nie zasługiwały.

I tak na tych obradach komisyja podała projekt, żeby w szkołach publicznych Skotostanu ufundowano katedrę, z któréjby profesorowie nauczali młodzież rozumieć mowę ptaków, zwłaszcza bocianów, czémby się oświata znacznie rozprzestrzeniła; drugi, żeby profesorowie bez wyłączenia byli wybierani przez obywateli, a nienarzuceni im od władzy; trzeci, żeby w każdéj wyspie co trzy lata był popis obywateli, a któryby z nich udowodnił, że ma najdłuższe uszy, żeby mu pozwolono nosić na szyi złoty łańcuch; czwarty, żeby obywatelowi za każdą odbytą sprawę honorową, liczyło się przynajmniéj dwa lata służby, i inne równie roztropne projekta.

— Poczekaj, odezwał się Sułtan, powiedz mi, co to jest sprawa honorowa?

— Najjaśniejszy Sułtanie, w krajach zachodnich jest obyczaj, że jeżeli człowiek zacny, przez siebie równego czuje się być obrażonym, zaprasza go do bitwy, czy na gindżały, czy na łuki, i taka bitwa wynagradza krzywdę jaką poniósł.

— A jeżeli skrzywdzony jeszcze w téj bitwie skaleczonym zostanie, czy także ma siebie za wynagrodzonego z swojéj krzywdy?

— Nie inaczéj.

— A to osobliwsza sprawiedliwość u was. Jeżeli tak jest w Skotostanie, to jedna z dwóch: albo ludzie muszą tam być najgrzeczniejsi, albo tam musi być zabójstw co niemiara!

— Ani jedno, ani drugie. Skotostańczykowie są wielcy grubianie, często obrażają siebie wzajemnie, i ustawicznie wyzywają siebie do bitwy na ostrze, ale rzadko kiedy do bitwy przychodzi, bo bić się nie można bez świadków, których u nich nazywają sekundantami, a ci jakoś tak ukartować umieją, że prawie nigdy do krwawéj bitwy nie przychodzi, a zwykle wszystko się kończy na jakiejś pisaninie w sądzie, złożonym z obywateli między nimi wziętych, a który nazywają honorowym. Bitwa mająca nastąpić, z góry jest wszędzie ogłoszona, a że prawa temu krajowi służące podobnéj zabraniają, więc jest wyborna przy-

czyna zagodzenia sprawy, a potém pijatyka na znak pojednania stron honorowych następuje.

— I nigdy do bitwy nie przychodzi?

— Czasem, jeżeli obraza za nadto była wielka, a publiczności wiadoma, ich sekundanci układają warunki bitwy w ten sposób. Stawią zapaśników o kilka kroków na przeciwko siebie, i każdemu z nich dają łuk, ale bez strzały, i każą im do siebie mierzyć, potém na znak im dany, obydwa razem natężoną cięciwę puszczają, a potém waleczni rycerze ściskają się. I tak się załatwia sprawa honorowa.

— A to wyborny sposób kończenia kłótni i zapobieżenia wszelkiéj zemście. Ale kiedy tak jest mówisz, to ci Skotostańczykowie muszą być i wielkie tchórze, i kolosalnie głupie?

— I to nie, Najjaśniejszy Panie, owszem oni z natury są waleczni, i tego dają dowód i w wojsku i w obcych krajach, toż samo powiedzieć można o ich rozumie, bo i ten na wiérzch występuje, skoro tylko przestają oddychać w atmosferze głupoty. Ledwo się przetrą miedzy obcymi, w zupełnie innych ludzi się przekształcają, z głupców, grubian i tchórzów, robią się światli, grzeczni, waleczni. Jest to jak gdyby odrodzenie. Nawet te uszy długie, z których się chlubią w Skotostanie, a które ich szpecą, tracą opuszczając towarzystwo, w którém żyją.

— Prawdziwie byłbym ciekawy poznać ten Skotostan!

— Więcéj powiem Waszéj Sułtańskiéj Mości, nawet w ich własnym kraju, nie można mieć Skotostańczyków za zupełnie głupich; ich rozum gwałtem usiłuje przedrzeć się przez zapory, które go krępują. Mało między nimi takich, którzy pojedynczo brani, nie okazują zdanie o rzeczach najzdrowsze, pojęcie o potrzebach swojego kraju najwłaściwsze, światło przyrodzone, a często nawet nauką wykształcone, a ci sami zaledwo się zbiorą w masę, najsromotniejszych głupstw się dopuszczają, które sami opłakują jak tylko się rozejdą. I na tym zjeździe, któremu byłem przytomny, Bóg wie jakich głupstw się dopuszczali, jak tych co się wydawali z rzeczywistym rozumem prześladowali, ale ledwo się zjazd rozwiązał, sami żartowali z tego, co dopiéro z takim zapałem robili, bo rozum w okamgnieniu im powrócił; a oprócz u kilkunastu wyborowiczów, jako Cytrynka, Mumik, Gąska, i innych takiego samego kalibru, którzy pozostali zupełnie takimi jakimi byli, nawet te uszy dziwaczne zniknęły, a wszyscy po ludzku wyglądali.

— I cóż o têm myślisz Wezyrze?

— Ja myślę, że Kalif Serendybski dla ich własnego dobra powinienby im skasować te zjazdy, w których rozum tracą.

— Toby było jeszcze gorzéj, Jaśnie Wielmożny Wezyrze. Skotostańczykowie potrzebują, żeby ich kiedy niekiedy zbiérano, bez tego przez domatorstwo by zdziczeli, każdyby zasklepił się w swojém mieszkaniu, po-

mnażał by swoje skarby, których ani cząstki by nie użył ani dla bliźnich, ani dla siebie, i zapomnieli mówić po ludzku. Podobne przykłady nie rzadkie są w Skotostanie. Podczas mojego pobytu w Panaryi widziałem podobną figurę.

Był to obywatel bardzo bogaty, który o niczém inném nie myślał, tylko o pomnożeniu zbiorów. Był z niego zupełny odludek, zasklepił się w swojéj wsi, u nikogo nie bywał, ani téż nikt u niego. Prócz swoich murzynów, żywéj duszy nie widział. Jego dwór składał się z jednéj staréj murzynki, która mu warzyła jadło jak dla wyrobnika, i go opierała. Cała jego zabawa była liczyć pieniądze, które mu ciągle przybywały; nawet się nie ubierał, tak dalece, że kiedy Babakan kazał go przywieść pod pozorem oskarżenia jakie na niego otrzymał, że układa spisek przeciwko rządowi, a rzeczywiście żeby go nastraszyć i obedrzeć, co mu téż się udało, nie mając w czém się jemu przedstawić, kupił sobie na tandecie jakąś starą odzież, i w niéj stanął przed Satrapą. Ten go trzymał przez dni kilkanaście, tak twardy skąpiec był w targu; nakoniec jak mu zagrozili konfiskatą całego majątku, dał odczepnego co od niego wymagano, a za pozwoleniem zwierzchności wrócił do siebie, gdzie jeszcze obrzydliwszemu niż wprzódy oddał się skąpstwu, a to dla załatania dziury jaką mu zrobili. Widziałem go parę razy, chciałem z nim mówić, ale go zrozumieć nie mogłem, bo że z nikim innym nie obcował przez

lat kilkanaście, tylko z swoimi murzynami, złamał swój rodowity język Serendybski, a ja wyobrażenia nie miałem mowy murzyńskiéj. Z wielu względów przekonałem się, że życie towarzyskie jest tak przyrodzone Skotostańczykowi, że gdyby mu je odjęto, wkrótce wszelkie ukształcenie by go opuściło, zostałby barbarzyńcą bez wiary i moralności.

Często bywałem u Babakana, gdyż co drugi dzień prawie zapraszał mię do siebie na objad. Podchlebiać sobie mógłem, żem pozyskał jego względy, bo zdawało się, że mówił ze mną otwarcie. Z niepospolitym dowcipem opisywał mi kraj, którego zarząd był powierzony jego samowolnéj władzy.

— Nie masz wyobrażenia, mawiał do mnie, co to za osobliwsze obywatelstwo, którém zarządzam. Marzy się jemu jakaś niepodległość polityczna. Radeby nas się pozbyć, a nie umie poznać, że jedynie przez nas zachowuje swoje położenie, i nawet swój byt, bo gdybyśmy go opuścili, śladu by jego wkrótce nie pozostało przy rozpowszechnionych teraz wyobrażeniach wolności i równości. To co obywatelstwo tutejsze nazywa narodem, składa się z kilku tysięcy ludzi, uciskających pod naszą obsłoną sam rzeczywisty naród liczący kilka milionów dusz. Ten liczny naród, jak mógłeś zauważyć, jest jemu obcym językiem, wiarą, a nawet kształtem. Obywatele są biali, a naród jest czarnym. Jest jeszcze w tym kraju trzeci stan, liczniejszy od obywatelskiego, stan ludzi oddanych przemy-

słowi, złożony z ludzi obcych obudwom, i językiem, wiarą i pochodzeniem.

Jakże z trzech narodów nienawistnych sobie, utworzyć jeden naród jednolity, i naginać wolą kilku milionów ludzi, do woli kilku tysięcy tych co ich uciskają, a żadnéj rzeczywistéj siły swojskiéj nie posiadają, a tylko tę, którą my im użyczamy. A na domiar nierozsądku ci obywatele tyrani, przed sługami swoimi murzynami, ciągle wyrywają się z zasadami liberalnemi wolności i równości, bez względu, że ci dworscy murzyni te mowy panów swoich roznoszą pomiędzy swoimi do roli przywiązanymi, i te zasady wszczepiają w sercach gminu, który nabywa pragnienia te zasady dla niego pochlebne zamienić w czyny. Obywatele pragną, żeby wojska nasze wystąpiły z ich kraju, a tego nie rozumieją, że gdyby nie nasze wojska, rokby nie upłynął a żaden obywatel nie pozostałby przy życiu. Murzyni w pieńby wycięli i obywatelów i przemyślników. Ich nienawiść przeciwko ich ciemięzcom ciągle wzrasta. Obywatelom się zdaje, że jak obiecają murzynom wolność i przypuszczenie do tychże przywilejów, z których sami wyłącznie korzystają, murzyni im uwierzą, i zostaną dobrowolnie ślepemi narzędziami swoich ciemiężycieli, a tu ja wszelkiéj zapobiegłości używam, żeby tych obywatelów zasłonić od nożów murzyńskich. Ze wszystkich stron donoszą mi o ich gotowości do rzucenia się na tych,

dla których pracują, i dawno by to nastąpiło, gdyby się murzyni nie bali naszego wojska.

Mniéj więcéj każdy należący do kasty właścicieli nieruchomych majątków, jest ciemiężycielem murzynów, ale najniegodziwsi z nich są ci, którzy siebie głoszą za demokratów, i ci też najwięcéj są znienawidzeni od prostego ludu. Rząd przewidując jakie krwawe następstwa wywołać mogą te sprzeczności między idejami kursującemi w kraju, a stanem ludu nieszczęśliwego, już obałamuconego od swoich panów, którzy niebacznie te ideje dla ich samych niebezpieczne rozprzestrzeniają, usiłował skłonić obywatelów, żeby sami udobrodziejstwiali swoich poddanych jakiémś umiarkowaniem w swoich od niego wymaganiach; ale właśnie ci co pomiędzy nimi głoszą się za demokratów, okazali się najprzeciwniejszymi wszelkim ustępstwom dla ludu, i zbawienne zamiary rządu spełzły, przynajmniéj do jakiegoś czasu. Nie można sobie wyobrazić większych tyranów, nad tych właścicieli demokratycznych i liberalnych w mowie. Niszczą swoich poddanych nieumiarkowaną robocizną, katują ich bez miłosierdzia, wyzuli swoich nieszczęśliwych murzynów nietylko z prawa własności nad ich dobytkiem i chlebem, ale nawet nad ich żonami i córkami. I tacy ludzie myślą, że mogą być narodem niepodległym!

Miałem siebie po takich wynurzeniach, za głęboko wkorzenionego w łasce Babakana, kiedy sto-

pniami zacząłem w nim postrzegać jakąś oziębłość, coś wymuszonego ile razy do mnie przemawiał. Zrozumieć nie mógłem jaka była przyczyna takowéj odmiany, ale wkrótce dowiedziałem się o co mu chodziło.

Jednego poranku, kiedy w pół leżąc na sofie, wypijałem moją kawę, służący mi oznajmił, że pan Cytrynka świéżo obrany i potwierdzony Wielkim Pasiwantuchem Arcypelagu Skotostańskiego, oznajmuje swoje nawiedziny i zapytuje czy go przyjmę. Domyśliłem się, że bez interesu tak rano by do mnie nie przychodził. Kazałem go wprowadzić, a ja wstałem i wyszedłem na przeciwko jego osoby z oznaką uszanowania, należnego chociaż nie jego osobie, ale stopniowi na jaki został wyniesiony wolą prawie jednomyślną licznego obywatelstwa, które zasługiwało na moją wdzięczność, dla uprzejmości jaką od niego doświadczałem od chwili mojego przybycia do Skotostanu. Przeprosiłem go że mnie zastaje w zaniedbaniu porannérn, niechcąc sobie odjąć przyjemności z nim się widzieć. On moją exkuzę przyjął najgrzeczniéj, zajął miejsce i prosto przystąpił do interesu.

— Uważasz, rzekł do mnie, że moje przybycie dowodzi szacunek jaki powziąłem dla ciebie. Ja poczciwy człowiek kłamać nie umiem i mnie można wierzyć. Otóż ci powiem, że tu możesz stanąć wysoko, jeżeli zechcesz pójść za moją radą.

— Z wdzięcznością przyjmuję ten dowód nowy

życzliwości pańskiéj dla prawdziwego swojego sługi, proszę więc o udzielenie mi téj jego rady.

— Oto uważaj: twoja kita brylantowa bardzo się podobała Satrapie. Wiész w jakich łaskach jestem u niego; ile razy do niego przychodzę, zawsze mnie pocałuje i otwarcie ze mną rozmawia. Otóż niech to będzie między nami, dał mi do poznania, że jeżelibyś mu tę kitę ofiarował, to nietylko że ten upominek by przyjął, aleby się tobie swoją przyjaźnią odwdzięczył, a tém byś mu pół roku poprawił.

— Za cóż mam darmo tak kosztowny klejnot oddawać? wszakże do niczego złego się nie poczuwam, żebym aż tak drogo okupywał jego łaskę, na którą i bez tego mojém prowadzeniem zasługuję!

— Ale uważasz, z dyplomacyi wypada, żebyś mu oddał tę kitę, bo już̇ci tegobym tobie nie radził, żebym nie wyrachował, że potrzeba byś się na tę ofiarę zdobył. Prawda że kita jest kosztowna, ale przecie przyjaźń Satrapy, ma jeszcze....

— Wdzięczny jestem Panu za jego radę, i przekonany jestem że ona jest powodowana jedynie przez jego życzliwość dla mnie, ale z niéj korzystać nie mogę. Będąc tak oddalonym od mojéj ojczyzny, pieniędzy z tamtąd mi nie dosyłają. Te moje klejnoty, i trochę gotowego grosza które mi jeszcze pozostało, stanowią jedyny środek mojego utrzymania w stolicy Serendybskiéj, gdzie się udać zamyślam, i mojego po-

wrotu do Benaresu. W cóż bym się obrócił, gdyby mnie z nich wyzuto?

I w samej rzeczy, gra w Panaryi była nadto mała, żeby mi moje kostki mogły opędzać moje wydatki. Przewidywałem chwilę, w której będę zmuszony moje precyjoza spieniężyć; jakże mógłem darmo oddać kitę, której wartość o wiele przewyższała wartość wszystkich innych moich klejnotów razem. Odszedł więc odemnie Cytrynka z widoczném nieukontentowaniem, że jego poselstwo nie zostało uwieńczone powodzeniem.

Ludzie wspaniali i dudki, łubo sobie przynoszą uszczerbek tém iż siebie wzbogacić nie umieją, z drugiéj strony w niektórych okolicznościach na tém dobrze wychodzą, i wkrótce o tém się przekonałem. Między urzędnikami posiadającymi zaufanie Satrapy, był jeden mąż prawdziwie cnotliwy, obarczony liczném a drobném potomstwem, a ubogi, bo brzydził się nieprawemi zyskami. Jego koledzy cierpieć go nie mogli, bo jego poczciwość była dla nich, a nawet dla Satrapy solą w oku; ale go wygryść nie mogli, raz że jego cnoty były znane w stolicy Państwa, powtóre że miał nadzwyczajną zdatność i łatwość do pracy. Satrapa bez niego rady by sobie nie dał, i chociaż osobiście go nie lubił, i to mu aż nadto dawał do poznania, jednak od swojego zaufania odepchnąć go nie mógł. Tyle byłem szczęśliwy, że jedynie powodowany szacunkiem jaki dla niego byłem powziął, a

niemniéj i jego szlachetném ubóstwem, stałem się jemu kilkakrotnie pomocnym. On zaprzyjaźniwszy się ze mną, a wiedząc że żadnego nie mam interesu w rządzie, nie wahał się przyjmować odemnie upominki hojne, jako od przyjaciela możnego, umiejącego wchodzić w jego położenie. I nawzajem wywięzywał się mi największém poświęceniem.

Otóż w parę dni po mojéj przeprawie z Wielkim Pasiwantuchem, już dobrze po północy, wpadł do mnie bardzo zmieszany, i powiedział mi te słowa:

— Emirze! byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, żebym ciebie nie ostrzegł o nieszczęściu które wisi nad tobą. Lada dzień będziesz porwany i zamknięty w więzieniu.

— Za co?

— Za to, że Satrapa wiedząc iż masz wiele pieniędzy i kosztownych ruchomości, pożądliwym wzrokiem na nie spogląda, i nie może znieść żeś dotąd z nich nie zrobił jemu udziału. Skotostan jest krajem podejrzanym w stolicy, a chociaż w istocie niesprawiedliwie, lekkomyślność i wielomowność jego mieszkańców, zbyt łatwo to podejrzenie utwierdza, zwłaszcza u tych co tego kraju nie znając, myślą że te przechwałki i ta gadatliwość mają jakieś znaczenie. Zgoła te uprzedzenia wkorzenione w sercu Kalifa, robią całą potęgę Babakana. Kalif jest przekonany, że jego tęgość, surowość i baczność, utrzymują Skotostan w posłuszeństwie, i że bez tego krwi potoki w

nim by się rozlały. On umié z tego mniemania korzystać, a że jest człowiekiem chciwym, ile razy chce się obłowić, wymyśli jakiś spisek, który niby przez niego został wykryty; łatwo pojąć z jaką łatwością to mu się udaje, kiedy on sam naznacza sędziów z boku swojego dla rozpatrzenia wszelkich okoliczności i rozgałęzień téj mniemanéj zbrodni stanu. Wszystko się odbywa tajemnie, prawda na jaw wystąpić nie może, a takowe sprawy zawsze na tém się kończą, że kilku ubogich padają ofiarą, a bogatych wypuszczają usprawiedliwionych, ale wyzutych z części ich dostatków, które się dostają Satrapie i jego agentom. Otóż ma napięty projekt uwięzić ciebie, jako emisaryusza nam niechętnego rządu, który tu przybył dla podburzenia Skotostanu. Wszystko co posiadasz zabierze dla siebie i swoich, a kto wié czy dla pokrycia swojéj czynności, nie każe ciebie udusić w twojém więzieniu, a potém nie ogłosi, żeś sam sobie życie odebrał.

Jak mi to powiedział, aż włosy się najeżyły na mojéj głowie ze strachu.

— Ach ojcze i dobrodzieju, odezwałem się, czémże odwrócę to nieszczęście na włosku wiszące? Przepadłem bez ratunku!

— Jeden ci tylko środek pozostaje. Staraj się skryć twoje drogocenności, żeby ich nie znaleźli jak ciebie wezmą. W takim razie chciwość Babakana posłuży ci za rękojmię twojego ocalenia. Jemu gwałtem się chce dostać twoich klejnotów; jak ich

nie znajdzie, niczego nie zaniedba żeby je wykryć, a bez ciebie ich nie dostanie. W takim razie bądź ostrożnym. Więcéj ci nie powiém, masz rozum, korzystaj z mojéj rady, ale nie trać czasu, bo za dwa dni już będzie za późno.

I odszedł najspieszniéj, zostawiając mnie w najboleśniejszym frasunku.

XIX.

Byłem w rozpaczy, nie wiedząc czego się mam chwycić. Wszakże widać, że Bóg pomimo moich wykroczeń mnie nie opuszczał, bo wyraźne od jego Opatrzności otrzymałem natchnienie. W tymże czasie możny Emir dworu Serendybskiego, który i w Skotostanie znaczne dobra posiadał, bawił w Panaryi, nazywał się Sidi Machmud. Był to człowiek bardzo bogaty, mający zachowanie u Kalifa, a powszechnie znany z wysokich cnót, i wielkiéj pobożności. On wiedział o wszystkich sprawach Babakana, i pogardzał jego osobą. Miałem tyle szczęścia, że ten znakomity mąż ze mną się zaprzyjaźnił, i często mnie o nich mawiał. Razu jednego kiedy wynurzał się przedemną z opinią jaką miał o tych, co zarządzając częściami państwa Serendybskiego, zamiast coby wzniecali między obywatelstwem przywiązanie do Kalifa, pobudzają ich niechęć przeciwko jego rządom, nadużywaniem władzy jaką on im nad nimi powierzył, ja wtedy odważyłem się mu powiedzieć:

— Dziwi mię, że Sidi Machmud, co ma tak wielkie poważanie u Kalifa, jego w tym względzie nie oświeci. Jakem słyszał, Kalif jest pan wielce sumienny, sprawiedliwy i bogobojny, żeby przez ciebie szlachetny mężu prawda do niego doszła, miałbyś pociechę, żeś ukrócił cierpienia licznego ludu.

— Mój kochany, odrzekł Sidi Machmud, Kalif wié, że Babakan jest chciwy i podły, ale pokłada wielką ufność w jego zręczności. Na nieszczęście Skotostańczyków, oni się jemu narazili do tego stopnia, że nie ma sposobu do niego za nimi przemówić, a co gorsza powziął o nich przekonanie, że oni tylko przez niepoczciwego człowieka mogą być rządzeni bez naruszenia spokojności ogólnego Państwa. On sam cierpi, że częste niesprawiedliwości znosić muszą, ale uważa to za wyłączność konieczną, za wypełnienie prawa roztropności, które w okolicznościach danych, każe poświęcić część dla ocalenia całości; a prawdę powiedziawszy, Skotostańczykowie nic nie robią dla ułagodzenia téj złéj o nich opinii Kalifa, owszem nie przestają go irytować. Jest to dziwne zaślepienie z ich strony, wyraźne dopuszczenie Boga, za jakieś grzechy ich ojców, że jak który z nich przed nimi wystąpi z roztropną radą, tego zaraz znienawidzą i spotwarzą, a tylko tych słuchają, co podchlebiają ich namiętnościom.

I to rzekłszy głęboko westchnął.

Otóż Najjaśniejszy Panie, że wiedziałem, iż Sidi Machmud zwykle ze wschodem słońca wstawał, o świ-

cie kazałem niewolnikom moim zabrać moje pieniądze i wszelkie moje kosztowności, i to wszystko za mną zanieść do domu dostojnego Emira. Jak wszedłem do niego, od tego zacząłem, że mu padłem do nóg.

— Wstań, rzekł Emir, i mów śmiało czego żądasz; wszak wątpić nie możesz o mojéj życzliwości dla ciebie.

— Panie, odrzekłem, Babakan chce mię zgładzić, żeby po mnie odziedziczyć wszystko co posiadam. Już przez Wielkiego Pasiwantucha przymawiał się do mnie, żebym mu ofiarował tę kitę brylantową. Byłem tak głupi, że na tak kosztowną ofiarę nie chciałem się zdobyć. Obrażony Satrapa teraz na wszystko zęby ostrzy; lada chwila będę rzucony w ciemnicę, jako emisaryusz obcego rządu, jego siepacze wszystkie moje ruchomości do niego zaniosą, i potém mnie zamordują w więzieniu, żeby ta grabież nigdy się nie wykryła, a rozgłoszą, że ja czując się winnym sam sobie życie odebrałem. Pozwól Panie, żebym wszystkie moje kosztowności tobie powierzył, żeby przynajmniéj mój morderca nie został moim spadkobiercą.

Znalazłem w Sidi Machmucie ojca. Wielce mię pochwalił, i rzekł do mnie:

— Twoje szczęście, żeś pospieszył z swojém przybyciem, bo dziś jeszcze przed wieczorem, nagły a niespodziewany interes zmusza mię udać się do stolicy.

Przyjmuję z wdzięcznością dowód jaki mi dajesz twojego zaufania.

Kazał wejść moim niewolnikom z mojemi pakami i paczkami. Ja mu podałem spis moich kosztownych rzeczy oraz pieniędzy gotowych, które jemu złożyłem; on mi podpisał rewers, w którym to wszystko było wyrażone i opisane dokładnie, a ten był ułożony w taki sposób, że tylko mnie samemu to co jemu powierzyłem odda, że ani list mój własnoręczny, ani pełnomoc odemnie dana, ani mój testament, ani żadne prawo sukcesyjne na wypadek mojéj śmierci, do tego zwrotu go zobowiązać nie może, a tylko własna moja osoba, i to jedynie w stolicy państwa Serendybskiego. Ja z mojéj strony dałem mu także w podobném brzmieniu papier, w którym zastrzegałem sobie, żeby nigdy w żadnym wypadku tego depozytu nie zwracał, tylko mnie samemu, a tak zamieniwszy te rewersa, i czule się pożegnawszy z sobą, wróciłem do siebie, i tam zaraz się wziąłem do palenia wszelkich listów jakie miałem, a nawet książek; dość, że tylko cokolwiek sukien i kilka sekinów zostawiłem przy sobie, i tak czekałem co się ze mną stanie.

Moja ostrożność nie była przedwczesną, bo jeszcze ten dzień nie upłynął, a już nie mało ludzi było uwięzionych; trwoga była w całéj Panaryi, nakoniec i na mnie przyszła koléj. W nocy porwano mię, zabrano wszystko co było w mojéj kwaterze i przy mojéj osobie. Jakem się później o tém dowiedział, wielkie

było zadziwienie Satrapy i jego siepaczy, że nic kosztownego ani u mnie, ani przy mnie nie znaleziono, a jak wytrzęśli z mojéj kieszeni rewers Sidi Machmuda, ledwo że nie oszaleli. Babakan nie posiadał się ze złości, wszystkich obwiniał że musieli mnie ostrzedz, podejrzywał nawet Cytrynkę, że przez głupstwo musiał się wymówić przedemną, nakłaniając mnie do pozbycia się mojéj kity. Powiedziano mi po mojém wyjściu z więzienia, iż tak się na niego rozgniewał, że aż go szturchnął swoim rogiem, z czego Cytrynka nie tyle z bolu, ile ze zgryzoty iż utracił łaskę Satrapy, obłożnie zachorował tak mocno, że aż przez parę dni lekarz zwątpił o jego życiu. Zgoła wielkie było zamieszanie nietylko w Panaryi, ale nawet w całkowitym Arcypelagu Skotostańskim.

Jakkolwiek bądź moje osobiste położenie się poprawiło, bo trzeba oddać sprawiedliwość naturze ludzkiéj, choćby najwięcéj skażonéj, że nie ma człowieka, któryby z wesołości serca bliźniemu życie odebrał. Trzeba żeby do tego był pobudzony chciwością, zemstą, zawiścią lub jakąkolwiek namiętnością, zdolną przygłuszyć wrodzony głos sumienia. Tu zaś Babakan mnie gubiąc, żadnego zysku mieć nie mógł, nie dogodziłby ani zemście, ani zawiści, bo nigdy w niczém się jemu nie naraziłem; a z drugiéj strony lękał się Sidi Machmuda, bo brzmienie jego rewersu aż nadto go przekonywało, że ten zacny mąż przewidywał niebezpieczeństwo mi grożące, oraz powody tego niebez-

pieczeństwa, i że na wypadek gdybym się nie pokazał, mógłby na jaw wyprowadzić cały ten interes przed Padyszachem, bo jakem już powiedział, Sidi Machmud używał wielkiéj powagi u dworu, był zasłużony Kalifowi i powszechnie szanowany. Babakan rad nie rad, musiał zaniechać mojéj zguby, a tylko przemyśliwał jakąby drogą mógł się dobrać do moich klejnotów, które tylko mnie jednemu mogły być oddane.

Od kilku dni męczyłem się w ciemnicy, gdzie nudy, niewygody i zła strawa tak mi dokuczały, że zamyślałem z rozpaczy życie sobie odebrać. Ludzie wzwyczajeni do powodzenia szczęśliwego i oddani miękkości, są wielce czuli na każdą dolegliwość jaka ich spotyka, i chociaż ona jest jak najmniéj ciężką, zaraz wszystkich nią zajmują. Wieleż to razy zdarzyło mi się spotkać tych ulubieńców fortuny, széroko a boleśnie rozprawiających jako o największéj niesprawiedliwości losu, o jakimś wywrocie z pojazdem, który lubo nie był szkodliwym, ale wiele strachu ich nabawił; o jakąś posuszę, która zmniejszyła plon z ich sadów; nawet o nagniotku, który cokolwiek im dokucza, a ci sami ludzie, tak czuli dla siebie, tak niecierpliwie znoszący lada przeciwność, bardzo filozoficznie patrzą na cierpienia, których sami nie doświadczają. Udręczenia bliźnich, rzeczywiste a nie urojone, co najwięcéj pobudzą ich, zwłaszcza jeżeli mają świadków, do jakiegoś datku więcéj opuszczającego niż ratującego, ale współczucia nie wywołają. Cierpienia nieszczęśliwych bliźnich obchodzić ich nie mogą; zdaje

im się, że ci których traf nie umieścił między możnymi, są stworzeni do cierpień, że mają do tego usposobioną naturę, że niesłusznie szemrzą naprzeciw tego, co poniekąd jest prawem ich jestestwa, tak jak ryby co żyją zdrowe i swobodne w tym samym żywiole, gdzie inne stworzenia rychłą śmierć znajdują. Tacy czasem coś rzucą nędznemu, ale stronią od niego jakby uważali nędzę być chorobą zaraźliwą, nie widzą w nim tylko natrętnego, którego jęki przeszkadzają ich zabawom.

— Ty coś bardzo filozofujesz Nazarejczyku, odezwał się Sułtan.

— Prawda Najjaśniejszy Panie, ale nie z książek tylko z doświadczenia; i ja tak zmiękniałem był przez ten mój pobyt w Państwie Serendybskiém, gdzie sobie dogadzałem we wszystkiém, bo rozrzucałem złoto jak plewy, że lada przeciwność była dla mnie nieznośną, a cóż dopiéro więzienie, przy ciągłéj obawie rozstania się z życiem. Jeden dzień tak przepędzony, jest kursem filozofii, więcéj nauczającym niż rok audytoryatu w najmędrszéj akademii.

Cierpiałem wiele piérwszego dnia, jak powiedziałem byłem w rozpaczy, ale nazajutrz już byłem nieco spokojniejszy, tak że nawet twardo zasnąłem. Przekonałem się wtedy, że wyobrażenie nieszczęścia spodziewanego jest straszniejsze i dolegliwsze niżeli jego rzeczywistość. I tak drugiego dnia spałem i to wiele, a trzeciego już tyle się obyłem z mojém położeniem,

że mógłem pożyć ze smakiem nędzną strawę, którą dwa razy na dobę mnie przynoszono. Wszystko albowiem jest względne w naszém życiu, a pomyślność i nieszczęście są zawsze w ścisłym stosunku z wyobrażeniem tego, co je doświadcza. Żebrak może mieć chwile tak szczęśliwe jak król; a król może doświadczać udręczeń, jakichby żebrak nie zniósł; a że śmierć kończy zawód tak jednego jak i drugiego, i robi ich równymi sobie, ztąd wnioskuję, że repartycyja doczesnego szczęścia między ludźmi jest tak sprawiedliwa, że jeden drugiemu nie ma tak dalece czego zazdrościć, i że nic nie jest mniéj roztropnego, jak zbytnia zapobiegliwość o dobra ziemskie, z któremi każda chwila może na zawsze rozłączyć. Rzecz tak pewna, że ci właśnie co ich mieścimy między szczęsnymi świata, są nierównie pochopniejsi do szemrania przeciwko opatrzności, niżeli ci co ich mamy za pokrzywdzonych losem. I tak: ślepy jest zwykle weselszy od tego co widzi, ubogi od tego co ma znaczne przychody, podwładny od rozkazującego, zaczynający swój zawód od tego co w nim został uwieńczony hojnie uposażoném dostojeństwem. I wyznaję Waszéj Sułtańskiéj Mości, że kiedy co chwili oczekiwałem wnijścia siepaczów Satrapskich z postronkiem na moją szyję, gdybym nie miał sobie nic do wyrzucenia, gdybym się nie lękał sądu Bożego na moją rozpustę i szachrajstwa, byłbym zupełnie spokojnym. Nie moje cierpienia mnie dręczyły, ale to przeświadczenie wewnętrzne,

żem na nie zasłużył. Niesprawiedliwość ludzka albowiem, jest zawsze narzędziem sprawiedliwości Boskiéj.

Jednego dnia, nie pomnę czy to był piąty, czy szósty od czasu, w którym byłem podejmowany kosztem Kalifa, zamiast zwykłéj strawy przyniesiono mi kosz, w którym znalazłem kapłona upieczonego, ciasta, frukta i dwie butelek wybornego wina. Zkądże ta łaska pomyślałem sobie? Czy czasem nie chcą smacznie mnie otruć? Mniejsza z tém, będę jeść i pić, coby się potém ze mną nie stało. Zacząłem kapłona pruć zębami i popijać kęsy winem, aż dłubiąc w koszu, napadłem na bilecik bez podpisu. Ręka była mi nie znana, ale w nim wyczytałem pocieszające wyrazy i zachęcenie, żebym był w wesołéj myśli, gdyż usprawiedliwienie moje wątpliwości nie ulega.

Tego samego wieczora nawiedził mię w mojém więzieniu prezydujący w sądzie nad nami, ulubieniec Babakana, który wszystkie podobne sprawy załatwiał. Był to człowiek łakomy, który sobie utworzył ogromny majątek, sądzeniem ludzi podejrzanych rządowi, ale zręczny, rozumny i grzeczny aż do uniżoności; można było tę sprawiedliwość jemu oddać, że gdyby mu wypadło otruć niewinnego, niezawodnie wybrałby najłagodniejszą truciznę. Z miodowym uśmiechem do mnie się przybliżył, ja go też najuprzejmiéj przyjąłem, ile że butelki, które na frasunek wypróżniłem, nie były jeszcze wyszumiały z mojéj głowy. Siadł obok mnie miodowy urzędnik, i tak zagaił:

— Zawsze dobrze wróżyłem o twojéj niewinności Emirze, a teraz jestem o niéj zupełnie przekonany. Bilecik i przysmaczki coś je dziś dostał, są dowodem mojéj dla ciebie życzliwości; ale sam zważ, że żyjemy pośród tak trudnych okoliczności, że i nam wiele przebaczyć trzeba. Już byłbyś wolny, żeby nie nasza obawa, że nasz oczernisz, jak się dostaniesz do stolicy Serendybu.

— Jabym miał was czernić? Chyba bym oszalał. Wypuśćcie mię ztąd, a ja pod niebiosa będę wszędzie wynosił waszą sprawiedliwość.

— Mówmy z sobą otwarcie. Spodziewam się, że swojéj kity żałować nie będziesz dla Satrapy.

— Tego może być pewny.

— A teraz powiedz mi, jakiéj mogę się spodziewać nagrody dla siebie, za moje staranie około twojego uniewinnienia?

— Na to niemniéj otwarcie tobie odpowiem. Oprócz kilku sekinów coście znaleźli w mojéj kieszeni, nic nie zachowałem, tak dalece, że jak mnie uwolnicie, a jeżeli nie znajdę takiego co mnie pożyczy cokolwiek grosza, nie wiem jak się dostanę do stolicy; bo jak wam wiadomo, wszystko co posiadam i w gotowiźnie i w precyjozach jest złożone u Sidi Machmuda, a on ten depozyt tylko w moje ręce odda. Pozwólcie mi udać się do stolicy, a tam jak przyjdę do mojéj własności, zrobię wam z niéj taki udział, jaki zażądacie, i na to daję moją rękę.

— A kto wtedy potrafi przymusić ciebie, żebyś dotrzymał obietnicy? Szukaj potém wiatra w polu.

— Na to nie umiem nic tobie odpowiedzieć, bo tu bez ufności wzajemnéj nic się ułatwić nie da. Wszakże wam nie jest tajno, że żadna ztąd rekwizycyja moja do Sidi Machmuda skutku otrzymać nie może, tu więc koniecznie trzeba spuścić się na moją uczciwość, bo jużci jak mię wypuścicie, możecie otrzymać to co żądacie, a że jak mnie przytrzymacie, niczego nie dostaniecie, to najmniejszéj wątpliwości nie ulega.

— Powiédz że mnie Emirze, kto ci poradził to złożenie twojéj własności u Sidi Machmuda, bo nigdy temu nie uwierzę, byś się sam tego domyślił.

— Sidi Machmud mi tak poradził, i sam ułożył swój rewers, odpowiedziałem z największą bezczelnością, a żem go widział dla siebie łaskawym a do tego możnym, cnotliwym i wziętym u dworu, i że sam mię ostrzegł o niebezpieczeństwie wiszącém nad moją głową, nie mógłem nie pójść skwapliwie za jego radą.

— Jak ciebie wypuścimy, wiem co z tego nastąpi. Ty całą rzecz opowiesz Sidi Machmudowi, nażartujecie się z nas do woli, a my nic nie dostaniem.

— Jeżeli tak źle o mnie trzymasz, żadnego między nami nie może być układu, jednak zdaje mi się, że słowo honoru szlachetnie urodzonego Emira ma

jakąś wartość; wreszcie gotów jestem i przysięgę jaką mi podyktujesz przed tobą wykonać.

— Patrz Emirze, jakiego masz we mnie przyjaciela. Babakan jest wielce podejrzliwym; ani słowu ani przysiędze twojéj nie uwierzy, ale ja zaręczę za ciebie, bo wiem, że nadto jesteś szlachetnym, żebyś mnie naraził na zemstę Satrapy, żebyś zgubił tego co ci daje takie dowody życzliwości i szacunku. Przysięgi od ciebie nie wymagam, bo między ludźmi honorowymi jak my, słowo jest wszystkiém. Dajże mi słowo honoru, że jak się dostaniesz do stolicy Serendybu, wręczysz temu, który z tobą razem ztąd wyjedzie, swoją kitę brylantową dla Babakana, a dla mnie te dwa pierścienie coś je nosił na dwóch ostatnich palcach twojéj ręki, i ten złoty puhar, com go widział na twoim stole, bo przyznam się tobie, że jestem wielkim lubownikiem starożytnych naczyń. Dajże mi słowo, że moja ufność nie zostanie zawiedzioną, a będziesz wolny, i my sami zatrudnimy się tém, byś miał okręt, który ciebie ztąd zawiezie.

Dałem mu słowo, on wyszedł, lecz parę godzin nie upłynęło, a wrócił ale już z orszakiem, a nie jak wprzódy sam jeden. Powinszował mi, żem się usprawiedliwił, i wyprowadził mię do mojéj kwatery, gdzie moi słudzy już o tém zawiadomieni na mnie czekali. Zalecił mi, żebym nazajutrz stawił się przed Satrapą, który jak najspieszniéj pragnie wynurzyć przedemną swoją radość, że okazałem się niewinnym, i że on,

który zawsze mnie lubił i szacował, nie ma powodu odmienić swoich uczuć dla mnie. Resztę tego dnia obróciłem na ułatwienie przygotowań do mojego odjazdu. Sporządziłem akt urzędowy wyzwalający wszystkich moich niewolników. Sprzedałem wszystkie moje sprzęty domowe bogatemu kupcowi z plemienia kasztanowatego, wszystko za bezcen, ale tego było tak wiele, że mogłem opatrzyć i niewolników i wolnych sług, bo trzeba oddać sprawiedliwość, że oprócz dwóch zegarów które przepadły, wszystko mi było oddane przy mojém uwolnieniu. Dla siebie zachowałem tylko kilka sukien, bo w stolicy Serendybu miałem wszystko dla potrzeby i zbytku.

Tak tedy ułatwiwszy się, kazałem przynieść sobie porządną wieczerzę, i starego wina butelkę, czego od tygodnia byłem pozbawiony, a po wieczerzy położyłem się na miękkiéj pościeli, z którą także od tygodnia byłem się rozstał, i tak twardo na niéj zasnąłem, że już była dziewiąta z rana, kiedy stanąłem na nogach.

Około jedenastéj udałem się do Satrapy. A kiedy mnie do niego zameldowano, ani minuty nie czekałem, zaraz mnie wprowadzono do jego gabinetu, gdzie mnie przyjął z największą uprzejmością, i z tą samą poufałością jakiej wprzódy ze mną używał. Między innem powiedział mi: „Za jeden z najmilszych ustępów mego zawodu policzę ten, w którym się przekonałem o twojéj niewinności którą zawsze przeczu-

wałem, ale które przeczucie jeżeli mimo siebie puściłem, to jedynie przez wierność dla Kalifa. Ale tak się oczyściłeś z zarzutów tobie czynionych, że nie pozostanie mi tylko powinszować tobie, oddać ci powtórnie mój szacunek i przeprosić, żeś z mojego powodu przykrość doświadczył.“

To moje usprawiedliwienie niemniéj było dziwne od mojego uwięzienia; aktu oskarżenia nigdy mnie nie pokazano, ani mnie uwiadomiono o co byłem obwiniony, ani z nikim mnie nie konfrontowano, tylko zamknięto mnie w ciemnicy bez światła, gdzie nikogo nie widziałem, prócz odźwiernego który w najgłębszém milczeniu dwa razy na dzień przynosił mi cieniuteńką polewkę i na przemian porcyjkę ryżu lub grochu. Babakan tak się zdawał mnie miłować, że nie mógł się ze mną rozstać. Nie puścił mnie do objadu, i kazał mi na nim zostać, a jeszcze będąc sam na sam ze mną w swoim gabinecie, między innem powiedział mi: — „Dyrektor mojej kancelaryi, który cię wyprowadził z więzienia, uwiadomił mnie, żeś się przed nim Emirze wymówił z tém, że nawet na drogę do stolicy nie masz pieniędzy, i że zmuszony będziesz jeszcze kilka dni tu zostać, azali nie znajdziesz kredytu u znajomych. Miło mi jest tę małą przysługę ci zrobić.“ A niedając mi czasu odpowiedzieć wręczył mi ładunek sekinów dodając: „Nie masz potrzeby tu czasu marnować, i jakkolwiek obcowanie z tobą jest mi nader przyjemne, umiem wchodzić w twoje

położenie, że radbyś jak najspieszniej dostać się do stolicy. Po jutrze przed wschodem słońca, znajdziesz w porcie okręt przeznaczony dla siebie. Urzędnik który z tobą jedzie do stolicy, stosownie do waszéj umowy z dyrektorem kancelaryi, ciebie do niego zaprowadzi, i będzie miał o tobie staranie, w tém spełniając rozkaz odemnie mu dany. Więc resztę dnia niniejszego, i cały jutrzejszy możesz poświęcić zabawom. A jeżeli obcowanie ze mną go nie nudzi, proszę o podarowanie mi, ile tylko będziesz mógł z tego krótkiego czasu, co tu masz pozostać."

Dopiéro blizko północy powróciłem do siebie, a nazajutrz z rana, ledwo wstałem z łóżka, a już urzędnik który z rozkazu Satrapy miał ze mną jechać do stolicy państwa, przybył do mnie z oznajmieniem, że okręt dla mnie przygotowany już jest w porcie, i że nazajutrz po wschodzie słońca będę mógł wyruszyć, oraz że Satrapa mnie zaprasza do siebie na ostatni objad. Prosiłem go, żeby się zatrudnił przeniesieniem mojego niewielkiego pakunku na okręt. Winienem mu oddać sprawiedliwość, że mnie służył jakby był moim niewolnikiem, lubo niepośledne miał miejsce w kancelaryi Babakana i był u niego w łaskach. Cały ranek obróciłem na wizyty pożegnalne, a gdy już pora objadowa nadeszła, udałem się do Satrapy. Znalazłem go jeszcze więcéj niż w dniu wczorajszym dla mnie uprzejmym. Żeby był stracił nawet łaskę Kalifa, nie mógłby być grzeczniejszym; jak to

mówią można było do rany go przyłożyć, tak dalece, że w mojéj przytomności temu urzędnikowi co miał mnie zawieść do Serendybopolu powiedział: — „Powierzam Wpanu mojego przyjaciela, tego znakomitego Emira, i zalecam Wpanu żeby miał wszystkie wygody, on do mnie napisze z Serendybopolu, biada Wpanu jeżeli w czémkolwiek nie będzie zadowolony.“

Dość wcześnie rozstałem się z Satrapą, a kiedy wróciłem do siebie, już moja paka była na okręcie. Oprócz pościeli i podróżnéj odzieży, niczego nie było w kwaterze. Za powrotem zaraz się udałem do wczasu, bo trzeba było raniutenko być w gotowości. Ledwo się położyłem, natychmiast i zasnąłem, bo byłem spokojnéj myśli. Obudzono mnie z rana, ponieważ urzędnik i kapitan mojego okrętu przybyli, by mnie zaprowadzić do portu; ubrałem się jak najspieszniéj. Urzędnik przedstawił mnie kapitana, który z wielką uniżonością do mnie mówił, jednak wymówił się z tém, że jest w zwyczaju z góry zapłacić koszt podróży. W tém z mojéj strony trudności nie znalazł, bo zwłaszcza przy zasiłku, jaki otrzymałem był od Satrapy, nie byłem bez pieniędzy, i jakkolwiek kapitan przesolił mi swoje wymaganie, bo je podniósł do czterdziestu sekinów, to jest pięć razy więcéj niż to było w zwyczaju, odliczyłem mu tę kwotę natychmiast.

Nie tracąc czasu kapitan, urzędnik i ja poszliśmy do portu, i tam szalupa nas zaniosła na okręt. Kapitan zaprowadził mnie do kajuty dla mnie prze-

znaczonéj, tak porządnéj, tak opatrzonéj w wygody, że sam Satrapa byłby z niéj zadowolony. Było oprócz nas dość pasażerów, najwięcéj ze stanu kupieckiego, którzy z produktami udawali się do stolicy; sami mężczyzni, bo żadnéj niewiasty nie widziałem na pokładzie. Na ładowanie towarów tyle czasu zabrano, że chociaż mieliśmy odpłynąć zaraz po wschodzie słońca, już było po dziesiątéj z rana kiedy podniesiono kotwicę, a kapitan mnie i urzędnika, towarzysza mojego w podróży, zaprosił na śniadanie, któróm bynajmniéj nie pogardziłem, bo już głód zaczął mnie dokuczać.

Śniadanie było smaczne i obfite. Kapitan nie małe korzyści prawe i nieprawe ciągnął z swojéj posady, ale niczego z nich nie schował, bo był wielce gościnnym i lubił żyć, tak dalece że dwa końce roku z trudnością z sobą się stykały. On się nie obchodził lada jadłem i napojem, ale najwykwintniejsze potrawy i najwyborniejsze wina miéwał na swoim stole, a bez towarzystwa objadować nie umiał. Za to też flisy okrętowe na sucharach poprzestać musieli, żeby kapitanowi na tuczone kapłony starczyło. Była dla nich naznaczona dystrybucya ranna i wieczorna gorzałki, ale w miarę jego osobistych wydatków, do téj dystrybucyi stopniami tyle przydawano wody, że nakoniec samą wodę im rozdawano. Ale za to kapitan z swoimi oficerami cały dzień spijali wyborne wina, unosząc się nad trzeźwością swoich podwładnych. Kapitan

bywał o to turbowany; najbieglejszych śledzców wyższa władza wysyłała do niego, żeby się przekonać czy żywność przeznaczona dla flisów i żołnierzy ich dochodzi, ale on był tak wielkim czarnoksiężnikiem, że kiedy im dawał objad, a potem na osobności kilka słów do nich przemówił, umiał na nich rzucać takie omamienie, iż kiedy w ich przytomności rozdawano wodę zamiast gorzałki, a oni ją kosztowali, oświadczali z niemałém zadziwieniem flisów, że ta gorzałka jest wyborna, tylko trochę za mocna, i takie świadectwo na pismie dawali.

Po tém śniadaniu tak byłem pełny i jadła i wina, że na nogach utrzymać się nie mogłem, i spać się położyłem. Używszy kilka godzin wczasu, poszedłem na pokład, gdzie zastałem kapitana, urzędnika i oficerów okrętowych, bawiących się z ogromną wazą wina przegotowanego z korzeniami, a wzmocnionego spirytusem ryżowym. Kapitan i mnie zaprosił do zabawy, ale moja głowa była tak ciężka, że do niéj nakłonić się nie dałem. Płynęliśmy wesoło omal że nie całą dobę. Łagodny wietrzyk powoli popychał nasz korab, ale około szóstéj z rana wszelki wiatr ustał. Morze przybrało postać ogromnéj tafli zwierciadlanéj, żagle nieruchome zwiniętemi zostały, a okręt stanął jak wryty.

To nie zdawało się niepokoić kapitana; tłómaczył mi że często kilkunasto-godzinna zupełna cisza, wydarza się na tém morzu, ale że pod wieczór zwykle

po téj ciszy wiatr się podnosi, i nic nie pozostaje, jak życzyć żeby ten wiatr był pomyślny dla naszéj podróży. Doczekaliśmy się wieczora, lecz najmniejszego wietrzyka nie mogliśmy się doczekać. Przyszedł poranek bez odmiany w naszém położeniu. Około południa kapitan zaczął okazywać niespokojność ciągle wzrastającą. Minęła jedna, druga i trzecia doba, a okręt był jakby przybity. Najstarsi wiekiem majtkowie powtarzali że nietylko nigdy nie doświadczyli podobnego wypadku, ale nawet o takowym nie słyszeli. Nie było środka któregoby nie użyto dla pobudzenia wiatru, drażnili go majtki składając dwa palce jak rogi i bodząc niemi powietrze, grubiańskiemi wyrazami go przywołując. Rozpuszczali i znowu zwijali żagle, jak mnie tłómaczono dla rozdrażnienia wiatru. Nakoniec kapitan chwycił się środka, wedle niego najniezawodniejszego do pobudzenia wiatru. Wszystkim małym flisakom, co to po linach się drapią, kazał szarawarki pozdejmować, i rózgami ich ćwiczyć aż do krwi, ażeby wrzaskami swemi poruszyli powietrze. Wszystko było na próżno. Najjaśniejszy Panie, już przez dwanaście dni byliśmy w takiém położeniu, a co gorsza, nasz okręt był opatrzony żywnością tylko na dni ośm, bo zwykle podróż z Panaryi do Serendybopolu najwięcéj trzy doby trwała. Kapitan był tyle przezorny, że już od trzeciej doby tylko połowę sucharów rozdawać kazał majtkom, ale dnia dwunastego i tego nie dostawało. W dniu trzynastym i czternastym

byliśmy w zupełnym głodzie, a pragnienie jeszcze więcéj nas dręczyło, bo już ani kropli wody słodkiéj nie było na okręcie.



Koniec tomu piérwszego.